Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

- Nowe przeciw staremu
- Wioska dziecięca prosi o głos
- Blaszany bębenek
- „Czarownice" i rakiety nad Albionem
- Portret prezydenta

NUMER 14 (1358) ROK XXVII 7 KWIETNIA 1984 RORU CENA 15 ZŁ

Ze szczotką i gromnicą

TERESA JERZYKOWSKA

Tegoroczne, poznańskie Giełdy Krajowe „Wiosna'84" odbywały się — jeśli wierzyć astrologom — w wyjątkowo sprzyjającym terminie. W tym samym czasie rozpoczął się bowiem astrologiczny rok Merkurego, który *„czuwa nad zdolnościami intelektualnymi, obdarza nas jasnością myśli, darem wymowy oraz umiejętnością prowadzenia targów i negocjacji. Szczególne pole do popisu będą miały w tym roku osoby zajmujące się handlem, gospodarką, operacjami finansowymi, komunikacją, racjonalizatorstwem i wynalazczością..."*.

Zapewne niewielu z uczestników Giełd Wiosennych — zarówno ze strony producentów, jak i handlowców — zapoznało się przed wyjazdem do Poznania z treścią astrologicznej przepowiedni, która obie strony powinna natchnąć optymizmem i zachęcić do szczególnie ożywionej działalności. Tymczasem optymizmem jakoś nie wiało, a i ożywienie było raczej mizerne. Owszem, przed boksami producentów ustawiały się długie kolejki przedstawicieli handlu, ale... Do konfliktów typu: „Pani tu nie stała, ja byłam przed panem", jakoś nie dochodziło. Nie było również widać — dość wyraźnych jeszcze w zeszłym roku — prób zapewnienia sobie większych dostaw atrakcyjnych towarów metodą przemawiania do produkcyjnych sumień przedstawicieli przemysłu przy pomocy pękatych butelek czy pudełek z czekoladkami.

— Handlowcy zachowują się tak, jakby w gruncie rzeczy było im obojętne, co i ile dostaną — stwierdził w rozmowie jeden z wystawców, przyjeżdżający do Poznania od lat. — Takiej spokojnej atmosfery nie pamiętam od dawna...

— To, co wynika z programu operacyjnego i objęte jest centralnym sterowaniem przestrzennym i tak muszę dostać, — to głos jednego z handlowców. — Tutaj niby mam wybierać asortyment, uzgadniać terminy dostaw. Robię to, ale bez żadnej gwarancji że umowy zostaną dokładnie zrealizowane. Nerwy, bieganie od jednego do drugiego producenta nic tu nie pomogą. Może dlatego atmosfera na tegorocznych giełdach jest tak spokojna?

Z założenia Giełdy Wiosenne są imprezą skromniejszą od Jesiennych Targów Krajowych, mają także charakter zdecydowanie roboczy (ekspozycja nie jest udostępniona do zwiedzania publiczności). Mimo to producenci stawili się licznie — ponad 1200 wystawców, prezentujących swoje wyroby na 54 tys. m kw. powierzchni.

Przyjechali nawet tacy, którzy nic zupełnie nie mieli do zaoferowania, a pochwalić się mogli jedynie saldem umów zawartych już wcześniej na odbywających się w niektórych rejonach giełdach wojewódzkich lub bezpośrednio w zakładzie. Wśród reprezentantów zakładów kluczowych znalazła się nawet FSM. I co proponowali handlowcom? Samochody? Ależ skąd! Sprzedawali gumowe uszczelki do okien.

Najliczniejsi, jak zwykle, byli rzemieślnicy i spółdzielcy.

Podczas, gdy w roku ubiegłym wartość giełdowej oferty wyniosła 22 mld zł, obroty natomiast przekroczyły 40 mld zł, w roku bieżącym szacunkowa wartość oferty wynosiła aż 100 mld zł (w cenach bieżących). Wcale to jednak nie oznacza, że towary nas zasypią, a w handlu powstaną ponadnormatywne zapasy

BEZ SPODNI, ALE W WEŁNIANEJ JESIONCE

Dla przykładu — przemysł odzieżowy, który nie pokazał nawet w połowie swoich możliwości, „poukrywał moce", oferując handlowi mniej, niż wyniosły ubiegłoroczne giełdowe obroty. Poznań nie jest oczywiście jedynym miejscem kontraktacji i — jak twierdzili przedstawiciele zrzeszenia producentów odzieży — faktyczne dostawy do sklepów będą co najmniej na poziomie roku ubiegłego, a nawet powinny być wyższe. Mimo to należy liczyć się z poważnymi brakami — zwłaszcza trudno będzie kupić koszule i spodnie.

Handlowcy narzekali, że co atrakcyjniejsze wzory okryć i ubiorów okazują się, gdy przychodzi do konkretnych rozmów, „końcówkami" produkcji eksportowej bądź też modelami uszytymi

6

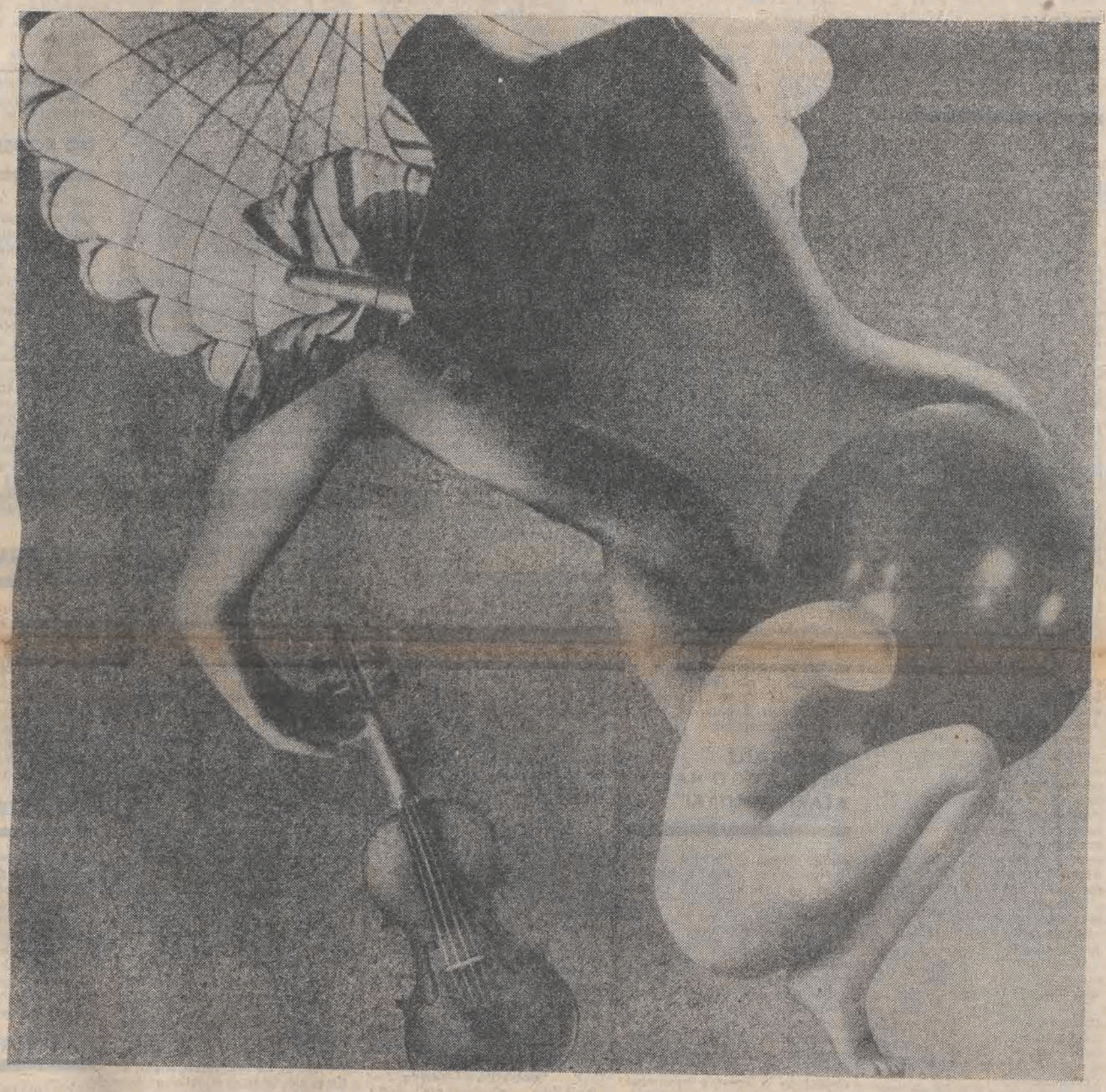

Brutalny wdzięk uwodziciela

EUGENIUSZ IWANICKI

Jest przystojny. To jego atut. Może się podobać, choć trudno uwierzyć, by wszystkie kobiety, które kładły się z nim do łóżka, zakochiwały się w nim od pierwszego wejrzenia. Tym bardziej, iż zaloty trwały zazwyczaj krótko: od momentu poznania się do pójścia do pokoju hotelowego mijało zaledwie parę godzin. Z relacji Piotra K. jak i z zeznań poszkodowanych kobiet wynika, że nie był zbyt błyskotliwym amantem, raczej gadułą rzucającym forsą na lewo i na prawo. Miał gest. Nie był on jednak cechą przyrodnią charakteru Piotra K., lecz wypływał z wyrachowania. Każda, pozostawiona w restauracji złotówka, musiała doń wrócić zwielokrotniona.

ŻYCIORYS, W KTÓRYM SIĘ ZAPOWIADA

Urodził się w 1962 r., a więc ma dopiero 22 lata. Pochodzi z rodziny robotniczej: matka krawcowa, ojciec technik budowlany. Jedynak. Wychowywany niezbyt troskliwie. Jak sięga pamięcią, matka zawsze była na rencie inwalidzkiej. Trzy lata temu ojciec odszedł na emeryturę. Było to jednak bez znaczenia, bowiem Piotr K. od kilku lat pędzi samodzielny żywot. Gdy miał 10 lat, rodzice się rozwiedli. Początkowo mieszkał u matki, potem „zajęła się" nim dużo starsza od niego kobieta wprowadzając go w tajniki dorosłego życia. Miał wówczas zaledwie 15 lat. O szkole jakoś nie pamięta, albo nie chce pamiętać.

Jego samodzielne życie wkrótce kończy się schroniskiem dla nieletnich, gdyż nie mając doświadczenia i wprawy wpada na jakiejś kradzieży. Ale w schronisku czuje się podle. Ucieka przy pierwszej okazji. Włóczy się, trochę pracuje, ale nigdzie nie zagrzewa miejsca.

Mając 18 lat żeni się. Zostaje ojcem dziewczynki. Jednak jego szeroka natura nie mieści się wśród czterech ścian, pomiędzy pieluszkami, krzyczącym oseskiem, zapracowaną żoną. Ciągnie go przestrzeń, szeroki świat, przygoda. Kradnie więc samochód i ucieka. W sierpniu 1981 r. zostaje zatrzymany i osądzony. Dwa lata i sześć miesięcy więzienia. Początkowo ten fakt go przeraża, wkrótce jednak przyzwyczaja się do murów i do współtowarzyszy w celi. Zresztą nie siedzi długo, bo po siedmiu miesiącach zostaje zwolniony warunkowo.

Skruszony, przyrzekając poprawę, wraca do żony i nawet podejmuje pracę jako konserwator. Zarabia 8 tys. zł. Początkowo czuje się nieźle, ale wkrótce nachodzi go nostalgia i tęsknota za przestrzenią, za zmianą, za łatwym życiem. W domu się nie przelewa, mieszkanie ciągle nie urządzone, kłopotów przybywa. Teściowie dają więc 40 tysięcy na kupno mebli. To przesądza sprawę: w czerwcu tegoż roku Piotr K. pakuje do torby co się da, zabiera pieniądze i wyrusza w Polskę. Jeszcze jest trampem, wagabundą, może zwyczajnym łazikiem ze skłonnościami do drobnego złodziejstwa. Ale ten romantyzm topnieje szybciej niż śnieg w wiosennym słońcu.

POCZĄTKI KARIERY UWODZICIELA

Z Warszawy do Łodzi taksówkarz wziął od niego 5 tysięcy. Więc z fasonem zajechał najpierw pod „Centrum" by ostatecznie zatrzymać się w „Mazowieckim". 40 tysięcy w roku osiem-

10

Przegląd prasy

Wszystkich czytelników, którzy w naszej gazecie nie znaleźli w ubiegłym tygodniu — wbrew uświęconemu obyczajowi — żadnych tzw. numerów primaaprilisowych, serdecznie dziś przepraszamy. Chcemy się jednak wytłumaczyć, albowiem nie było to żadne niedopatrzenie, lecz celowy zamiar. Parę powodów nas do tego skłoniło; uważamy przede wszystkim, że

TRADYCJA BEZKARNEGO NABIERANIA PUBLICZNOŚCI

tylko raz do roku straciła swój sens ludyczny — w każdym razie nie jest to już zabawa o znaczeniu oczyszczającym, wyzwalająca raz na jakiś czas owego naturalnego, instynktownego ducha przekory tkwiącego w każdym z nas. Ducha przytłumionego przez konwencję i normy życia zbiorowego nakazujące posługiwać się prawdą lub czymś do niej zbliżonym po to, byśmy się jakoś, z biedą mogli porozumiewać. Odpust od tej reguły też jest znormalizowany — raz do roku, w momencie znanym i oczekiwanym przez wszystkich.

Otóż zauważyliśmy, że wielu, zbyt wielu osobom znudziło się uleganie tej konwencji. W dostępnym nam polu obserwacji, czyli PT Czasopismach Krajowych (naturalnie nie we wszystkich) zapanowała nowa konwencja — Prima Aprilis trwa cały rok, a więc wytężajcie uwagę, drodzy czytelnicy, albowiem nie znacie dnia ani godziny. Przypadek „Veta", które „otworzyło" porno-shop w lutym ubiegłego roku, to tylko klasyczna, najbardziej spektakularna premiera nowego stylu — za nimi poszli inni...

Listy pism, w których pierwszy kwietnia trwa cały rok, nie będziemy przytaczać, nie wygrzebalibyśmy się z procesów. Ale byłyby wśród nich m.in. pisma de nomine satyryczne, w których palącą potrzebą jest wprowadzenie kącika humoru, albo pisma par excellence polityczne, choć powinny być genealogiczne, gdyż ulubionym zajęciem ich redaktorów jest grzebanie w ludzkich życiorysach i protokołach (także Mędrców Syjonu), lub choćby pisma reklamujące się jako organy „literatury faktu", a zatrudniające tak zdolnych preparatorów, że zrobiliby kariery wypychając kolibry...

O parapsychologach, różdżkarzach i bioterapeutach już nawet nie wspomnimy.

Ku naszemu zdumieniu stwierdziliśmy że wyżej wymienieni są mimo wszystko nadal najgorliwszymi wyznawcami idei pierwszego kwietnia. Postanowiliśmy zatem nie współuczestniczyć w dostarczaniu im alibi, czy wystawianiu sui generis świadectwa moralności.

Wszelako dla cynicznej uciechy postanowiliśmy zrobić krótki

PRZEGLĄD NAJCELNIEJSZYCH DOWCIPÓW

z pierwszokwietniowego urobku (Ale to żadna miara nie oznacza, że którekolwiek zacytowane teraz pismo gotowiśmy pomieścić na wspomnianej wcześniej liście — żadna miara.) Prym wiodą niewątpliwie „Polityka" (nr 13 — 31.03.84) i „Veto" (nr 14 — 01.04.84)

„Polityka" sprenarowała piętnastą stronę, drukując pastisze swych ulubionych autorów z ulubionych pism. Do najlepszych zaliczamy kongenialną „podróbkę" stylu Władysława Machejka. Oto próbka: *„Chciała mnie zatrzymać w betach Terenowa Grypa Operacyjna. — Leż, chłopie! — powiada. Ale jak tu leżeć, gdy kokosza się oparu wojny na Bliskim Wschodzie, w której dymach wedza ideowe połgęski różne marcowe liski w owczej skórze, hobrujące na moczarach... (...) Chociaż sytuacja w Trójkącie Bermudzkim ponownie się skomplikowała, miałem spotkanie odbyte w mojej rodzinnej Miechowszczyźnie. Po spotkaniu cała sala śpiewała na pożegnanie: Jakem jechoł przez Iotyrdek/ Urwał mi się tyrdek, myrdek/ A Maryna iupie-siupie /Tyrdek-myrdek trzyma w domu.*

Ten dom jest naszym domem, panie Reagan!"

No znakomite...

Udany jest też wiersz „Henryka Gaworskiego" — „Wiosna'84", z tym finałem *„Słuchajcie: brandysydenci, niedoczekanie wasze"!* Słabiutko natomiast wypadła autodemaskacja „Polityki", czyli „wywiad" z Janem Rurańskim, autorem ostrego ataku na paranaukę, który jakoby poczuł bioprądy i sam zaczął uzdrawiać. Efekt byłby chyba lepszy, gdyby Rurański i wypowiadający się w wywiadzie dla „Polityki" prof. Wróblewski, nagle odwołali swe pogiądy, niemal na wzór Galileusza.

„Veto" natomiast — wśród wielu innych dowcipów, zajmujących połowę numeru wymyśliło bon zamiennikowy — złotówek na dolary, po kursie: 1 dolar US — 350 złotych (czyli państwo w roli cinkciarza...). *„Od pierwszego kwietnia 1984 z dobrodziejstwa przelicznika 1:350 będzie mógł skorzystać prawie każdy. Warunkiem jest ukończenie 18 lat, obywatelstwo polskie oraz przepracowanie najmniej 2 lat w gospodarce uspołecznionej. Każdy, kto spełni te warunki, będzie mógł wymienić 1400 zł miesięcznie na bony zamiennikowe PKO."* Opublikowana reprodukcja bonu ma na rewersie zdjęcie sceptycznie uśmiechniętego ministra Krasińskiego...

Równie śmieszny jest pomysł wprowadzenia reglamentacji na bilety komunikacji miejskiej oraz finezyjne przepisy kulinarne — m.in. łosoś marynowany, sałatka ze szparagów, schab z pomarańczami i banany z jagodami (nb. są to przepisy w normalnych warunkach możliwe do zrealizowania...).

Absurdalne (jak wydawałoby się na pierwszy rzut oka) pomysły „Veta", mają jedną wspólną cechę — właśnie są możliwe do zrealizowania w sprzyjających okolicznościach. A więc jest to także rodzaj przestrogi dla nas, byśmy za daleko nie posuwali się w żmudnym dziele własnoręcznego deformowania otaczającej nas rzeczywistości.

Natomiast nie jesteśmy pewni, czy do kategorii prima-aprilisowych dowcipów należy zaliczyć domniemaną

ODPOWIEDŹ NIENACKIEGO NA ATAKI „POLITYKI"

zamieszczona we wspomnianym tu numerze tego tygodnika. Data tej publikacji jak i pewne „specyficzności" stylu każą przypuszczać, że jest to apokryf. Gdyby tak było istotnie, byłby to jeden z najbardziej niesamowitych numerów" w ćwierćwieczu „Polityki". Ale może Zbigniew Nienacki sam wymyślił, że *„tu nie chodzi o moją prywatę, gdyż stanu ani nieniedzy mu nie brak. Nie ukrywam bowiem ani jednego, ani drugiego (...) Tak więc nie chodzi tu o sprawy prywatne, lecz o rzecz dużo większego kalibru: o d... A konkretnie o to, u kogo młodzież będzie o d... czytać — u nas czy u nich? Z książek legalnie wydanych w PRL? Czy też wydamy młodzież na pastwę druków importowanych, nielegalnych, sprowadzanych do kraju oraz fabrykowanych różnymi pożal się Boże sposobami? Bo od d... panowie z „Polityki" nie ma ucieczki. Zabierzcie ją z sobą do grobu. Rzecz więc w tym, w czyim ręku ma być d...? W ręku naszym czy naszego przeciwnika? Komu i czemu ma służyć?"*

Przyznajemy, że jesteśmy zdezorientowani — albowiem nieco fałszywie to pobrzmiewa, jak na znane nam skądinąd poglądy Zbigniewa Nienackiego. Natomiast wiemy na pewno, że

FENOMEN „SKIROŁAWEK"

nie przestaje budzić zainteresowania opinii. Nawet w organie „każdego konsumenta" („Veto" nr 14 — 01.04.84) niejaki Skropion (któż to taki, ach któż?) donosi, że przebrnął przez dwa tomy powieści Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach" a przy okazji książkę zważył — wyszło mu, że woluminy ważą około kilograma, więc cały nakład 60 ton...

Bohaterski Skorpion, znany do tej pory bojownik o czystość mleka, rozciągliwość gaci i skarpetek oraz o dobre obyczaje w handlu pietruszką (eliminowanie zgniłej naci...), zabrał się za literaturę z właściwą mu jadowitą ironią: *„(...) z całą pewnością w przypadku „Skiroławek" mamy do czynienia z autentycznym arcydziełem — czego można zresztą było się spodziewać po autorze, który na listach bibliotek wyprzedza Mickiewicza, Prusa, Orzeszkową i Barbarę Gordon. (...) Wydaje się, że trzeba jednak odważnie i konsekwentnie stwierdzić, iż Owidiusz, Boccacio, Ariosto czy też Aretino i Brantome nie wytrzymują porównania z naszym reprezentantem. Po prostu jest on od nich lepszy, wie o tym i robi z nimi, co chce, w dowolnej pozycji poczynając od misjonarskiej, a skończywszy na kolankowo-łokciowej..."*

I dalej w tym stylu. Na plus (może plus-minus?) należy Skorpionowi zapisać jedynie podjęcie trudu przeczytania całej powieści Nienackiego. Tak przynajmniej sam wyznaje... Ale i co do tego — jak całej jadowitości tego robala — mamy wątpliwości. Albowiem uważna lektura „Raz w roku w Skiroławkach" doprowadza do wniosku, że jak na reklamowaną powieść pornograficzną, tzw momentów jest w niej stanowczo za mało... nie więcej niż 15 proc. zawartości. Jest to pewnie nieco więcej, niż w przeciętnej ludzkiej egzystencji, lecz przecie z usprawiedliwionych powodów — choćby prawa do twórczego, swobodnego kreowania rzeczywistości fabularnej, powieściowej.

A więc jedna rada po raz wtóry: czytajcie „Skiroławki" jeżeli chcecie o nich pisać. I nie tylko — czytajcie w ogóle, jeżeli interesujecie się współczesnym moralitetem, uwikłaniem człowieka w walkę dobra ze złem.

Do fenomenu „Skiroławek" — jako po trosze współodpowiedzialni za jego narodziny — jeszcze niebawem wrócimy. Teraz zaś będzie o ludziach, którzy

WIESZCZĄ UPADEK REPORTAŻU

w polskiej prasie tygodniowej. Tego reportażu, który niegdyś był fundamentem jej czytelniczego powodzenia.

Przed kilkoma tygodniami Anna Stońska uskarżała się w „Odrodzeniu", że starzy fachowcy odeszli do reporterki, a młodzi się nie kwapią, zaś polska współczesność czeka na rzetelne opisanie... Istotnie, kryzys tygodniowego reportażu jest faktem — warunki uprawiania tej szczególnej profesji dziennikarskiej pogorszyły się znacznie. Wzrosły koszty własne szperania po różnych dziurach w całym kraju, do wyjazdów na delegacje dopłaca się dziś tyle, że żadna, najwyższa nawet wierszówka nie zrekompensuje wydatków. Poza tym ciężko zdobywa się zaufanie ludzi... Ewentualni rozmówcy reporterów uciekają w prywatność, zamykają się w niedostępnych azylach, nie wierzą w dobre intencje.

To wszystko prawda — wnikliwe „osłuchiwanie" życia społecznego jest dziś zajęciem dla szczególnie wytrwałych entuzjastów, nie dbających o byt materialny lub dysponujących pokaźnymi zabezpieczeniami. Nic dziwnego, że ich mało.

A nadto w najbliższej przyszłości

DO UPADKU REPORTAŻU PRZYCZYNI SIĘ PRAWO PRASOWE

— tak przynajmniej twierdzą uczestnicy dyskusji w redakcji „Tu i Teraz" (nr 13 — 28.03.84) — Stefan Kozicki, Kazimierz Koźniewski, Stanisław Podemski i Jerzy Urban, mając przeciw sobie zdanie doc. dr hab. Bogdana Michalskiego najlepszego w Polsce znawcy prawa prasowego.

Dziennikarze twierdzą, że reportaż zostanie uśmiercony przez szeroko wprowadzony w nowym prawie prasowym obowiązek autoryzacji. Oto co sądzi Jerzy Urban: *„Istnieje rzeczywiście poczucie sakralności słowa drukowanego, przekonanie, że jeśli ja mam coś powiedzieć do druku, to muszę to powiedzieć w zupełnie specjalnej konwencji. I ludzie niepotrzebnie, tylko w imię tego przesądu, tego nawyku społecznego niszczą wszelką oryginalność swojej myśli, wszelką oryginalność sposobu wypowiadania się. Obawiam się, że nowy przepis prawa prasowego może tę tendencję poprzez wymóg autoryzacji — umocnić".*

Na co Bogdan Michalski: *„To nie jest tak groźne (...) prawo prasowe dotyczy tylko tzw. wypowiedzi dosłownych. Nie dotyczy to formy reportażowej, czy syntezy literackiej (...) To dotyczy tylko takiej sytuacji, kiedy pisze się, że „X powiedział" i potem podaje dosłownie to, co on powiedział... nie wydaje się, aby ten przepis miał zubożyć reportaż. (...) Opisowa relacja będzie już poza obowiązkiem autoryzacji przewidzianym w prawie prasowym."*

W tym miejscu istotną wątpliwość podnosi Stanisław Podemski: *„Każdy rozsądny człowiek — kiedy prześle mu się do autoryzacji jego słowa wyjęte z większej całości, odmówi autoryzacji. Nie znam kontekstu — powie. I tym samym może uniemożliwić publikację, bo tekst bez jego wypowiedzi może stracić sens, (...)"*

Bogdan Michalski godzi się, że: *„Rzeczywiście niebezpieczeństwa takie istnieją. I będą istnieć, dokąd się rzecz nie utrze w praktyce."*

Otóż to. Trudno być zwolennikiem takiego prawa, które ma się „ucierać" dopiero w praktyce, którego reguły interpretacji mają powstawać w wyrokach sądowych czy opiniach Rady Prasowej.

Uczestnicy dyskusji zwracają uwagę na kilka innych nie do końca oczywistych — na gruncie nowego prawa prasowego — kwestii. Jedną z ważniejszych jest sprawa reportażu sądowego, a ściślej: ograniczeń nałożonych na swobody dziennikarskie w tej mierze — m.in. chodzi tu o zakaz dyskusji nad postępowaniem sądowym do czasu wydania wyroku w pierwszej instancji, zakaz ujawniania danych identyfikujących, czy ostatnio sformułowany przez Sąd Najwyższy zakaz korzystania z akt.

Piszący te słowa przez kilka lat zajmował się reporterką sądową, spędził wiele godzin na rozprawach, przewertował setki tomów akt sądowych. Zawsze chciałem możliwie szybko i w miarę obiektywnie *pisać o wielu sprawach tego* typu, zwłaszcza, gdy stawały się przedmiotem szerokiego zainteresowania społecznego. Po pierwsze dlatego, by uniknąć zarzutu, że prasa się nie interesuje tym, co nurtuje opinię publiczną, po drugie — by w miejsce plotek wprowadzać rzetelne informacje o faktach. A że zdarzało się (niezbyt często) polemizować z wyrokami — trudno, sądy nie są ex lege wolne od krytyki w naszym kraju. Częściej wszakże udzielałem wsparcia orzeczeniom sądów.

W obecnych warunkach prawnych uprawiania reporterki sądowej chyba już nie wróciłbym do tego zajęcia, tak ściśle reglamentowanego — pozostało jeszcze parę swobodniejszych dziedzin pracy dziennikarskiej...

Niestety, jest tych dziedzin coraz mniej. Prawo prasowe wprawdzie ściśle dekretuje swobodę krytyki i dostęp do informacji, ale wszystko sprowadzać się będzie w istocie do prowadzenia procesów sądowych, mających uprawnienia te wyegzekwować. Prasa jako narzędzie opinii publicznej została ujęta w rygory proceduralne, nie zawsze pozwalające szybko reagować na zjawiska życia społecznego — zanim np. wyprocesuje się prawo do informacji, ta przestanie kogokolwiek obchodzić; gazety żyją z dnia na dzień, procesy trwają miesiącami....

A obrażonych i obrażalskich będzie przybywać. Oto np. gazety doniosły, że na stołek dyrektora Fabryki Pras „Hydomat"

POWRÓCIŁ OSŁAWIONY INŻYNIER EDMUND NOWAK

wokół działalności którego toczył się namiętny spór przed trzema laty. Powrócił legalnie, w drodze konkursu. I już pierwszego dnia oświadczył, że on sam jest wart tyle, co trzystu, a może nawet tysiąc inżynierów...

No i zwróć takiemu uwagę, że nawet geniusz techniczny może być śmieszny jako człowiek. Proces murowany.

TOMASZ SAS

Minął tydzień

IX KONGRES ZSL

zakończył czterodniowe obrady w Warszawie. 768 delegatów reprezentujących 480 tys. członków chłopskiego stronnictwa podjęło decyzje o przełomowym znaczeniu dla przyszłości ZSL — uchwalono deklarację ideowe, program i nowy statut stronnictwa, które — jak powiedział wybrany przez Kongres prezes NK ZSL Roman Malinowski — powstały w wyniku walki politycznej i dokumentują niezachwianą wolę partii chłopskiej odpowiedzialnego współuczestnictwa w kształtowaniu dnia dzisiejszego i przyszłości Polski.

DEKLARACJĘ WYBORCZĄ PRON

opublikowała Rada Krajowa Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Dokument ten zawiera w sobie określenie płaszczyzny i pryncypiów politycznych, z jakimi wszyscy obywatele akceptujący ideę porozumienia, odnowy i konieczność koncentracji wysiłku narodowego na wyjściu z kryzysu, staną do wyborów do rad narodowych — tego podstawowego ogniwa władzy państwowej, decydującego o praktycznym obliczu i konsekwencjach zasady ludowładztwa i współuczestnictwa wszystkich w akcie rządzenia.

Do politycznych treści tego dokumentu powrócimy niebawem szerzej — w przedwyborczym cyklu komentarzy „Odgłosów".

DO KONSULTACJI SPOŁECZNEJ

skierowano trzy projekty ustaw mających na celu wzmożenie ochrony interesów państwowych i społecznych w obszarach szczególnie narażonych na wzmagające się przypadki naruszania porządku publicznego. Pierwszy z projektów to nowelizacja prawa lokalowego, mająca na celu ochronę substancji mieszkaniowej przez zdyscyplinowanie użytkowników i administracji. Drugi projekt dotyczy nowelizacji kodeksu postępowania karnego poprzez objęcie niektórych szczególnie uciążliwych przestępstw — m.in. włamań, pobić, oszustw w obrocie towarowym i spekulacji — możliwością ścigania i karania w trybie przyspieszonym. Trzeci projekt poddany konsultacji to ustawa o wzmożeniu bezpieczeństwa i dyscypliny na PKP. Jak się okazało, osiągnięcie poprawy funkcjonowania kolei nie jest możliwe przy stosowaniu obecnie obowiązujących przepisów ogólnych — potrzebne są szczególne środki dyscyplinujące — w tym także wzmożenie represji karnej — dla zapewnienia bezpieczeństwa pasażerów i ochrony mienia powierzanego przewoźnikowi oraz wymuszenia sprawności działania całego systemu transportu kolejowego.

Propozycje Komitetu Rady Ministrów do Spraw Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej, po konsultacjach, zostaną skierowane do Sejmu w trakcie bieżącej sesji.

ZIMA BEZLITOŚNIE PRZYPOMNIAŁA

o swym istnieniu i możliwościach wszystkim tym, którzy już uwierzyli w ostateczne i nieodwołalne nadejście wiosny. Śnieżyce, *które objęły ponad połowę kraju, szczególnie dały się we znaki* mieszkańcom Łodzi i sąsiednich województw. Obfite opady z piątku na sobotę częściowo sparaliżowały komunikację drogową w rejonie Łodzi, a w mieście spowodowały ogromne zakłócenia w ruchu tramwajów i autobusów. *Na ulicach i drogach nikt* nie uprzątał śniegu, zabrakło sprzętu i ludzi — zimowa mobilizacja została odwołana na sygnał kalendarzowy. A przecież w naszym klimacie dość częste są przypadki takich „ekscesów" pogody nawet w kwietniu czy (na szczęście rzadziej...) w maju. Kto odpowie za niefrasobliwość i brak wyobraźni?

PODWYŻKA CEN BENZYNY

od 1 kwietnia br. to nie prima aprilis, tylko narzucona przez możliwości zaopatrzeniowe konieczność — stwierdzili przedstawiciele Urzędu Cen i Centrali Produktów Naftowych. Tak więc — jednocześnie z wprowadzeniem nowego, ponoć „szczelnego" systemu reglamentacji paliw — benzyna żółta kosztować będzie 50 złotych a niebieska 42 (olej napędowy nie zdrożał — właściciele silników wysokoprężnych nadal uprzywilejowani...). Zdrożały też przejazdy taksówkami — obecnie 15 zł za kilometr. Wzrost cen paliwa, mający wpływ na ogólne koszty działalności gospodarczej, zapewne spowoduje nieznaczny wzrost innych cen towarów i usług, zwłaszcza w sektorze nie uspołecznionym...

AŻ CZTERY DZIEWCZYNY Z ŁODZI W FINALE

wyborów najpiękniejszej Polki roku bieżącego — doniósł „Express Ilustrowany" — Agata, Katarzyna i dwie Iwony... Do stawki 41 finalistek trafiły po wielogodzinnym turnieju (m.in. dwuskupytaniowy test — po jaką cholerę właściwie — czy badano intelekty, czy urodę?); odizolowane od świata, poddane seansom fotograficznym i wszechstronnemu szkoleniu wystawione będą niebawem na widok publiczny w Sali Kongresowej. Wybory te ze wszystkiego na świecie nam najbardziej przypominają kontraktację surowca dla chłonnego przemysłu rozrywkowo-reklamowego — cała ta hucpa, obojętnie przez kogo i pod jakimi szlachetnymi hasłami organizowana, po prostu nie jest fair...

ZAROST JEST SZKODLIWY DLA ZDROWIA

— stwierdził radziecki lekarz M. Dmitrijew, albowiem broda i wąsy nie są filtrem oczyszczającym wdychane powietrze, ale swoistym magazynem trujących substancji. Jeżeli tak jest w istocie, to liczni ostatnio brodacze i wąsacze będą musieli zrewidować swe poglądy na tę ozdobę męskiej urody. Zapewne zwiększy to nacisk na rynek sprzętu do golenia...

Tymczasem dziennikarz „Rzeczypospolitej" (nr 69 21. 3. 1984 r.) z troską pyta, czym będziemy się golić, albowiem u monopolisty żyletkowego, w łódzkim „Wizamecie" produkującym 400 mln żyletek rocznie, wyczerpano już niemal wszystkie możliwości produkcyjne. Jedyny ratunek, to opanowanie nowej technologii produkcji ostrzy w plastykowych oprawkach.

PIERWSZY SUKCES W WYBORACH MISS

należy do Łodzi. Tyle, że nie w „branży" pań — jest to sukces kynologiczny. Jak donosi dobrze poinformowany nie tylko w ludzkich, ale i psich sprawach „Express Ilustrowany" z 23 marca, suka rasy cocker spaniel — Eza z Zielonej Czantorii (należąca do mieszkanki naszego miasta) została Międzynarodowym Championem Piękności. Czekamy na sukcesy międzynarodowe dwunożnych miss.

VICESEKATOR

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nowe przeciw staremu

Przed zapowiedzianymi na 17 czerwca 1984 roku wyborami do rad narodowych miały miejsce dwa ważne wydarzenia, które niejako otworzyły polityczną kampanię przedwyborczą. Mam na myśli Krajową Konferencję Delegatów na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR oraz IX Kongres ZSL. Krajowa Konferencja Delegatów przyjęła „Rezolucję o zadaniach partii w wyborach do rad narodowych", w której czytamy między innymi:

„Członkowie partii świadomi swej odpowiedzialności za dzień dzisiejszy i przyszłość kraju, skonsolidowani ze wszystkimi siłami skupionymi w PRON, wezmą aktywny i powszechny udział w tworzeniu lokalnych programów wyborczych, w wyłanianiu kandydatów na radnych i w samych wyborach. Naszym zadaniem jest rekomendowanie spośród członków partii, a także spośród bezpartyjnych najlepszych kandydatów na radnych oraz udzielenie im wszechstronnego wsparcia w kampanii wyborczej. Wybór najlepszych leży w interesie społeczeństwa.

Partia dążyć będzie do kampanii wyborczej charakteru ogólnonarodowej debaty nad umacnianiem socjalistycznego państwa oraz doskonaleniem metod rządzenia i sposobów rozwiązywania spraw społeczeństwa i obywateli. Wybory powinny przyczynić się do dalszego umocnienia sojuszu robotniczo-chłopskiego, partnerskiego współdziałania PZPR, ZSL, SD i wszystkich sił społecznych stojących na gruncie zasad ustrojowych naszego państwa".

W referacie Romana Malinowskiego wygłoszonym na IX Kongresie ZSL powiedziano na ten temat między innymi:

„Rady narodowe uzyskają daleką idącą samodzielność w kierowaniu całokształtem rozwoju społeczno-gospodarczego, w doborze i ocenie kadr, w gospodarowaniu środkami na potrzeby społeczne. Rady będą łączyć funkcje władzy państwowej i samorządu terytorialnego. Szersze niż dotąd uprawnienia rad stawiają większe wymagania przed kandydatami na radnych. Muszą oni przezwyciężyć stare schematy funkcjonowania rad, zaspokajać aspiracje społeczności lokalnych, muszą dowieść, że sprostają oczekiwaniom wyborców.

Dlatego też mandaty radnych powinni uzyskać ludzie odważni i rozumni, łączący wiedzę fachową z chęcią działania, ofiarni społecznicy, ludzie różnych zawodów, członkowie partii politycznych i bezpartyjni — ci wszyscy, których łączy chęć działania dla dobra ogółu, dla lepszego jutra nas wszystkich.

Wybory do rad narodowych stanowić będą ważny akt w procesie urzeczywistnienia demokratycznych reform i konsolidacji społeczeństwa".

Stanowisko zajęte wobec zbliżających się wyborów do rad narodowych zawarte w dokumentach Krajowej Konferencji Delegatów, jak i IX Kongresu ZSL jest zbieżne, co przypomina tę prawdę, że w budownictwie socjalistycznym

WAŻNĄ ROLĘ SPEŁNIA SOJUSZ ROBOTNICZO-CHŁOPSKI

stanowi on podstawę socjalistycznego państwa, jest warunkiem prawidłowego rozwoju socjalizmu, przeobrażeń społecznych. Natomiast podstawą tego sojuszu jest klasowa wspólnota celów.

W przeszłości cele te rysowały się jasno. Była nimi walka z wyzyskiem w mieście i na wsi. Robotnicy walczyli z wyzyskiem kapitalistycznym w mieście, z burżuazją. Chłopi na wsi walczyli z wyzyskiem obszarników. Obszarnicy i burżuazja łączyli się w klasowym sojuszu w walce z robotnikami i chłopami, w walce o utrzymanie swojego klasowego panowania. Robotnikom i chłopom nie pozostało nic innego jak połączyć się w klasowym sojuszu w walce z kapitalistami i obszarnikami. W praktyce rewolucyjnego działania wyrażało się to między innymi strajkami solidarnościowymi, bezpośrednią pomocą wsi świadczoną strajkującym i walczącym robotnikom.

Wspólna walka robotników i chłopów musi doprowadzić do obalenia panowania wyzyskiwaczy i spełnienia demokratycznych dążeń ludzi pracy. Bez tego zwycięstwa spełnienie tych marzeń i dążeń jest niemożliwe. Historia potwierdziła już wielekroć, że w walce o demokratyczne ideały chłopów niezbędne jest przewodzenie klasy robotniczej. Zarówno w Rosji, jak w Polsce, czy w innych krajach wschodniej Europy spełnienie marzenia chłopów o ziemi możliwe stało się tylko po zwycięstwie klasy robotniczej, po rewolucyjnych przemianach. Hasło: *„Ziemia dla chłopów!"* może być w pełni zrealizowane tylko jako część rewolucji prowadzonej przez klasę robotniczą.

W powojennej Polsce, gdy realizowały się demokratyczne i rewolucyjne reformy, robotnicy dowiedli, że nie tylko obejmując władzę stworzyli warunki dla spełnienia reformy rolnej, ale obronili ją przed zakusami reakcji. Wielu robotników wspólnie z chłopami oddało życie w obronie prawa chłopa do ziemi, realizowanego poprzez reformę.

Zwycięstwo klasy robotniczej, dokonujące się w rewolucji, stwarza warunki dla realizacji szerokiego programu reform, dla realizacji marzeń wielu pokoleń robotników, chłopów i inteligentów: upowszechnienie oświaty, rozwój kultury, rozwój nauki, ochrona zdrowia i cywilizacyjny postęp wsi. Po objęciu władzy przez klasę robotniczą zmienia się treść sojuszu robotniczo-chłopskiego. Obie klasy łączą się, aby wspólnie spełnić te cele i dążenia, o które walczył lud polski, walczyli działacze ruchu ludowego i robotniczego. Dochodzą do tego inne cele, które stają się wspólne dla obu klas: umacnianie państwa socjalistycznego, obrona interesów ludzi pracy, rozwój demokracji socjalistycznej, rozwój kultury i oświaty, rozwój nauki, wyżywienie narodu.

Wyżywienie narodu nie jest przecież sprawą tylko chłopów. Dla prawidłowego rozwoju rolnictwa niezbędne jest prawidłowe funkcjonowanie przemysłu, jego prawidłowy rozwój, dostarczenie na wieś niezbędnych maszyn, urządzeń, artykułów technicznych, jak też nawozów, środków chemicznych do walki ze szkodnikami oraz sprzęty niezbędne dla wyposażenia mieszkań. Wieś natomiast ma dawać w zamian produkty rolne. Ten przepływ produktów między miastem a wsią powinien dokonywać się bez zakłóceń. Ale wiemy, że tak nie jest.

Naruszenie sojuszu robotniczo-chłopskiego powoduje zakłócenia w budownictwie socjalistycznym. W ostatnim dziesięcioleciu nastąpiło takie właśnie zakłócenie i to nie tylko na płaszczyźnie ekonomicznej, ale też w sferze demokracji socjalistycznej. Dopiero po Sierpniu 1980 roku powstały warunki, aby robotnicy i chłopi występowali jako partnerzy w dążeniu do realizacji wspólnych celów — do urzeczywistnienia socjalistycznych przeobrażeń społecznych. Układ współdziałania sojuszniczo-partnerskiego nie wyklucza różnic i odmienności, jakie dziś jeszcze występują pomiędzy wsią a miastem.

Naruszony w niedalekiej przeszłości sojusz robotniczo-chłopski musi zostać odbudowany i wzmocniony. Nie jest to ani łatwe, ani proste oraz wymaga czasu. Politycznym wyrazem umacniania się sojuszu robotniczo-chłopskiego jest partnerskie współdziałanie PZPR i ZSL. Zespół IV Krajowej Konferencji Delegatów, zajmujący się sprawami rolnictwa, przyjmując wnioski dla dalszej pracy partyjnej na wsi we wniosku 13 stwierdza:

„Członkowie partii swym ofensywnym działaniem powinni przewodzić w dokonywaniu zmian społeczno-gospodarczych w środowisku wiejskim. Z partyjnej inicjatywy należy rozszerzyć formy współpracy z członkami ZSL, opierając je na zadaniach wynikających z uchwały IX Zjazdu i XI wspólnego Plenum KC PZPR i NK ZSL".

O znaczeniu sojuszu robotniczo-chłopskiego mówił na Krajowej Konferencji Delegatów Józef Majcher — elektromonter w POM w Kopalinach, zastępca członka KC PZPR, delegat z województwa tarnowskiego:

„Sojusz obu klas jest podstawą naszego narodowego odrodzenia, gwarantem pomyślnego wyjścia z kryzysu. Ten sojusz w różnej urzeczywistniał się formie. Zawsze ma jednak swoje klasowe oblicze. Sojusz robotniczo-chłopski realizuje się między innymi jako zacieśnienie więzi ekonomicznej między miastem i wsią, między rolnictwem a przemysłem".

Krajowa Konferencja Delegatów wykazała też, że

LINIA POROZUMIENIA, WALKI I REFORM

nie realizuje się samoczynnie, automatycznie, że dokonuje się ona w toku walki starego z nowym, w toku walki z tym wszystkim, co nam przeszkadza, co ciągnie w tył. Tak, jak nie można zadekretować przewodniej roli partii, a trzeba ją realizować poprzez działania członków partii w ich codziennej pracy, tak nie można zadekretować, ustalić raz na zawsze postępu, odnowy, linii reform. Jest to proces. A każdy proces musi dokonywać się w walce, we wzajemnym oddziaływaniu sprzeczności, poprzez rozumne i dialektyczne ich rozwiązywanie. Postęp dokonuje się w skomplikowanych uwarunkowaniach politycznych i społecznych.

„Są tacy — mówił Wojciech Jaruzelski z trybuny Krajowej Konferencji Delegatów — *którzy spoglądają ku formom ze starego świata, łudzą mirażem w ogóle nierealnej i nigdzie nie istniejącej „demokracji bez granic". Inni próbują hamować, krępować socjalizm doktrynerskim schematem, a potem dopatrują się herezji w każdym wychodzącym poza ich schemat wzroście obywatelskiej aktywności.*

Odstrasza również to, co „nieznane" — brak doświadczenia, niedostatek politycznej kultury. Działa przeciwnik. Nawołuje do bierności, bojkotu, odmowy".

Również w wystąpieniach na Krajowej Konferencji Delegatów dały znać o sobie dwa nurty: patrzenia w przeszłość i wyrażania zadowolenia z tego, co zrobiono i drugi — patrzenia w przyszłość i kreślenia bliższych i dalszych zadań. Oba te nurty same w sobie nie są złe. Rzecz tylko w tym, czy widzi się jedynie to, co dokonano bez próby nakreślenia najbliższych zadań, czy też umie się te dwa nurty połączyć w całość, zachowując właściwe proporcje między patrzeniem w przeszłość a patrzeniem w przyszłość.

Trafnie, choć drastycznie, ujął to na zakończenie pierwszego dnia obrad Julian Kraus, członek KC, delegat z województwa bielskiego:

„...Było dzisiaj dużo głosów chwytających za serce na naszej konferencji. Ale chcę powiedzieć, zgodnie zresztą z odczuciami kolegów, z którymi rozmawiałem w kuluarach, że większość to tak glansowana, że aż w oczy szczypie. Bo jeżeli jest tak dobrze, jak tu niektórzy przedstawiali, to dlaczego w terenie działa się tak ciężko? To znaczy działa się, ale tak ciężko nam to idzie...".

Następnego dnia polemizowała z Julianem Krausem delegatka z województwa gorzowskiego, I sekretarz KM PZPR w Kosznie, Janina Dzielak-Grześkowiak:

„Życie wróciło na normalne tory, i dzień za dniem, borykając się z różnymi jeszcze niedoskonałościami, dźwigamy się ku lepszemu. Dla każdego, kto chce i umie ocenić rzeczywistość sprawiedliwie, jest to pierwszy niepodważalny sukces partii, a nie żadnej innej siły w naszym społeczeństwie. I to nie jest lakierowanie, towarzyszu Kraus. Taka jest prawda!".

Mieczysław F. Rakowski ujął to tak:

„Nie ma i nie powinno być w naszych szeregach poczucia samozadowolenia, choć osiągnęliśmy już wiele. Nie może w naszych umysłach zagnieździć się przekonanie, że teraz można już odpocząć".

W procesie kształtowania społeczeństwa socjalistycznego, w procesie przeobrażeń nie może być przerw. Jest to proces ciągły. Mogą w nim — i jak pokazała praktyka lat minionych występują — występować zahamowania, skrzywienia i wypaczenia. Staje się to wtedy, gdy narusza się podstawowe zasady, gdy nie szanuje się praw rozwoju społecznego. Dlatego niezbędna jest stała krytyka tego wszystkiego, co hamuje i przeszkadza, walka z nawrotem do starych skompromitowanych metod i form działania, do arogancji, administrowania zamiast kierowania, biurokratyzmu, zrywania więzi z ludźmi pracy. Stąd też proces odnowy nie może mieć przerw. Często rozumujemy schematycznie. Następują wypaczenia, ujawnia się je w toku walki z tym, co przeszkadza, wynikiem tej walki jest odnowa. Kończy się odnowa i znów wraca stare, pojawiają się kolejne wypaczenia. W takim schemacie wypaczenia i następująca po nich odnowa są nie procesem a cyklicznie powtarzającymi się okresami w rozwoju społecznym. Otóż Krajowa Konferencja Delegatów wykazała, że odnowa musi być ciągłym procesem — rezultatem nieustannej walki nowego ze starym.

„Socjalistyczna odnowa — powiedział Wojciech Jaruzelski na zakończenie obrad — *jest dialektycznym procesem. Pada nieraz pytanie, kiedy wreszcie proces odnowy zostanie zakończony? Socjalistyczna odnowa to nie jednorazowy akt, to nie kryzysowy przejściowy etap. Jest on i powinien być dialektycznym, nie kończącym się procesem".*

WALKA ZE STARYMI NAWYKAMI

musi również dokonywać się w kulturze. Otwierając posiedzenie zespołu VI, który zajmował się sprawami kultury, Hieronim Kubiak zapytał zebranych między innymi o to, *„w jakim stopniu potrafiliśmy się wyzwolić od balastu starych nawyków w polityce kulturalnej?".*

Sądzę, że kryzys w kulturze, choć może nie tak jaskrawo widoczny jak w innych dziedzinach naszego życia, jest głębszy, bardziej niebezpieczny i wywołuje długotrwałe skutki. Dlatego w zagajeniu Hieronima Kubiaka padło również pytanie: *„czy zdołaliśmy zatrzymać momenty regresu w różnych dziedzinach kultury?".* Jest to bowiem bez wątpienia sprawa zasadnicza — powstrzymanie regresu. I choć być może nie wszędzie się to jeszcze udało — wymaga to niekiedy po prostu pieniędzy i to nie tylko złotówek — to przecież takie bariery się stawia, próbuje się niwelować skutki kryzysu, spłacać je.

Rzecz bowiem w tym — i tak to próbowali robić zabierający głos w czasie obrad VI zespołu — aby widzieć nie tylko zajwiska powierzchniowe, ale dostrzegać również i to, co kryje się pod ich powierzchnią. Próbuje się prostować politykę wydawniczą, to prawda, ale na skutki trzeba jeszcze poczekać. Stwarza się warunki dla działalności stowarzyszeń i związków twórczych — to również prawda, ale i tu na skutki trzeba poczekać. Jerzy Putrament na przykład uważa, że związki i stowarzyszenia twórcze jakoś sobie poradzą i wyjdą z impasu — bądź już wychodzą — natomiast poważnym niebezpieczeństwem jest fakt, że wydawnictwa nie mają wielu książek o tematyce współczesnej, że takie książki być może dopiero będą powstawać, a czytelnik czeka na nie z niecierpliwością. Jego zdaniem również rzecz nie w tym, że prasa łapie czytelnika *„gołymi dziwkami"*, a w tym, że traci ostrość widzenia, zaciera kontury prezentowanych zjawisk, kamufluje rzeczywistość zamiast ją pokazywać w uwikłaniu w sprzecznościach. Trudno się z takimi zastrzeżeniami nie zgodzić.

Skutków kryzysu w kulturze nie da się tak łatwo zlikwidować, czy tylko zahamować. Na to też potrzeba czasu i skutecznego działania. Dlatego warto może — choć w dużym skrócie — pokazywać, jakie założenia zostały przyjęte w tezach do perspektywicznego programu PZPR.

Pierwszym ważnym stwierdzeniem jest określenie roli polskiej inteligencji w procesie budowania socjalizmu. Inteligencja współuczestniczy w tym procesie. Wychodząc z założenia, że proces odnowy jest ciągły, w kulturze polegać on ma na osiąganiu dominacji tendencji socjalistycznych, pozyskiwaniu dla niej twórców, przeciwstawianiu się wszystkiemu, co jest sprzeczne z socjalizmem, wrogie mu, co nie przystaje do naszej rzeczywistości — zarówno pusta frazeologia, jak i sekciarskie uproszczenia. Partia deklaruje swoje poparcie dla wszystkich nurtów, dla swobody poszukiwań artystycznych. Sprzeciwiać się będzie jedynie temu, co *„cyniczne, szydercze"*, co nieodpowiedzialnie traktuje wartości ideowe socjalizmu, podważa interesy państwa, co sprzyja wynaturzeniu obyczajów.

Niezwykle ważne jest stwierdzenie, że *„w procesach rozwoju kultury narodowej partia dąży do przewagi socjalistycznej, marksistowsko-leninowskiej inspiracji".* Ważne dlatego, że zwrócił uwagę w dyskusji w zespole VI Andrzej Wasilewski, nie dorobiliśmy się systemu ocen prosocjalistycznych, własnych, a często ulegamy ocenom importowanym do nas z Zachodu. Bez dorobienia się takiego systemu ocen polityka kulturalna będzie kulała, a odbiorca będzie mówił o „białych plamach" i propagandowej tendencyjności.

Założenia do programu perspektywicznego zwracają uwagę na pilne zadania: unowocześnienie poligrafii, kinematografii, fonografii, rozwijanie sieci bibliotek oraz przezwyciężenie kryzysu placówek kulturalnych — klubów i domów kultury. Jerzy Hoffman — zaproszony gość na obrady VI zespołu — zwrócił uwagę na rzecz kapitalną. Unowocześnienie bazy kinematografii jest konieczne, ale to jedna sprawa. Druga sprawa — to zwrócenie koniecznej uwagi na rozwijający się już przemysł video. W Polsce realizuje się dopiero pierwszy film tą techniką. Reżyseruje Edward Dziewoński. Ale nie ma bazy do odtwarzania filmów tą techniką. Może nowy film video sprezentować nam telewizja, ale nie o jeden film przecież chodzi. Otóż zdaniem Jerzego Hoffmana powinny w osiedlach powstawać salki wyposażone w urządzenia do korzystania z filmów video. Będzie ich przecież niedługo dużo więcej. Dziś cieszą się nimi tylko nieliczni, których stać na nabycie sprzętu video w „Pewexie" i mają możność sprowadzania takich filmów od znajomych z zagranicy. Ale sytuacja ta będzie się musiała zmienić...

W kulturze dziś trzeba przede wszystkim myśleć o tym, jak najlepiej, najpełniej wykorzystać to, co już jest, a jednocześnie myśleć — właśnie dlatego, że jest kryzys — jak przygotować się do tego, co nas będzie czekało jutro. Dziś trzeba wyzwalać się z gorsetu starych przyzwyczajeń i stereotypów.

Buchwald rozmawia z Bogiem

Nie rozmawiam z Bogiem tak często jak powinienem, ponieważ wiem jak jest w obecnych czasach zajęty. Jednakże co cztery lata, podczas kampanii prezydenckiej, wpadam, aby upewnić się czy to, co mówią o Nim kandydaci, jest prawdą.

Przedwczoraj wieczorem, gdy usłyszałem po raz któryś prezydenta Reagana mówiącego, że Bóg został wykluczony z pomieszczeń szkolnych Stanów Zjednoczonych, zapytałem Go: „Czy jesteś zakazany w amerykańskich szkołach?

— Nic mi o tym nie wiadomo — odpowiedział Bóg.

Prezydent Reagan powiedział, że dzieci nie mogą modlić się w szkole.

— Jeśli nie mogą, to z pewnością robią — stwierdził Bóg. — **Cały dzień słyszę modlitwy dzieci szkolnych. Oczywiście, słyszę ich więcej od tych, które nie odrobiły lekcji lub zostały złapane na jakimś wykroczeniu, po którym mają być odesłane do gabinetu dyrektora. Jest także wiele modlitw, gdy ogłaszane są stopnie i wyniki egzaminów na uczelniach. Słyszę także głosy niemal każdego dziecka w miarę jak zbliża się termin ukończenia szkoły. Nie mogę zrozumieć dlaczego prezydent Reagan powiedział, że zostałem wykluczony z pomieszczeń szkolnych.**

— Myślę, że nawiązywał do decyzji Sądu Najwyższego zakazującego zorganizowanej modlitwy w szkołach publicznych na początku dnia. Czy ta decyzja Cię zaniepokoiła?

— Wręcz przeciwnie. Nie jestem zwolennikiem modlenia się, jeśli ludzie nie mają takiego zamiaru. Na szczęście w Ameryce ludzie mogą modlić się o każdej porze, wszędzie gdzie chcą.

— A więc dlaczego prezydent Reagan miałby mówić, że zostałeś wykluczony ze szkół publicznych, jeśli tak nie było?

— Nie mam pojęcia — powiedział Bóg. **— Ludzie zawsze używają mego imienia, aby uzyskać głosy w roku wyborczym. Szczerze mówiąc, szkoda, że prezydent nie porozumiał się ze mną zanim się źle wyraził.**

— Czy uważasz, że separacja Kościoła od państwa jest dobrym pomysłem?

— Uważam, że znakomitym. Wasz kraj przetrwał przeszło 200 lat bez mieszania mnie z waszym rządem i gdy spojrzy się wokół, wydaje się, iż macie większą swobodę wyznawania wiary niż w jakimkolwiek innym miejscu na powierzchni ziemi. Istnieją pewne kraje, których wolałbym nie wymieniać, gdzie przywódcy posługują się moim imieniem do popełniania niektórych z najpotworniejszych zbrodni, jakie zna ludzkość.

— Jakie byłoby Twoje zdanie o dobrowolnej porannej modlitwie w szkołach, takiej, że dzieci nie musiałyby się modlić, gdyby tego nie chciały?

— Trapiłoby mnie to. Wszystkie moje dzieci są bardzo delikatne i spowodowałoby to wielkie tarcia między tymi, które się modlą a tymi, które tego nie robią. Wolałbym, aby dzieci szkolne modliły się, gdy skłania ich do tego dusza, a nie wtedy gdy nakazuje im to nauczyciel. Wasz prezydent powinien wiedzieć, że Bóg jest wszędzie i gdy mówi, że nie ma mnie już w szkołach publicznych, to nie wie, do diabła, o czym mówi.

— A więc nie powiedziałeś mu, że pragniesz, aby modlitwy oficjalnie wróciły do szkół?

— Z pewnością nie — powiedział mi Bóg. **— Ale mówiłem mu o problemie azbestu.**

— Problemie azbestu?

— Jest on bardzo poważny. W bardzo wielu szkołach azbest odpada z sufitów i ścian, dostaje się do płuc dzieci i mogą one od tego umrzeć. Sugerowałem, aby prezydent wprowadził w trybie pilnym program zabezpieczenia małych dzieci przed tą straszliwą chorobą. Z tego jednak, co wiem, nie wspomniał on jeszcze o tym. Gdybym ja był prezydentem Stanów Zjednoczonych, troszczyłbym się o wiele bardziej o zdrowie amerykańskich dzieci, niż o porę dnia, w której mogą się modlić.

— No, cóż — dziękuję za poświęcony mi czas — powiedziałem. — Nie chciałem Cię niepokoić, ale obawiałem się, że gdybym był przeciwny obowiązkowej modlitwie w szkołach publicznych, pomyślałbyś, że już w Ciebie nie wierzę. Czy mógłbym opublikować tę rozmowę?

— Proszę bardzo. Politycy mówią zbyt wiele o tym, czego chcą i czego nie chcą i jako Boga naprawdę mnie to irytuje.

(„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE")

„Mniej Osmańczyka" po raz trzeci (ale już ostatni)

1.

Mój domysł, wyrażony w odpowiedzi na list pana St. Lasockiego („Odgłosy" nr 11 — 17.03.84), że w tzw. kwestii emigracyjnej jest „coś z Pawłowa", zyskał niespodziewanie dodatkowe potwierdzenie. Oto bowiem do mojej z panem Lasockim polemiki włączył się Edmund Tulko w swych cotygodniowych „Zapiskach współczesnych" w „Dzienniku Łódzkim" (nr 65 — 16.03.84). Komentator „Dziennika" zareagował dokładnie tak samo jak pan St. Lasocki — przeczytał mą odpowiedź na list, ale zupełnie nie zrozumiał, o co w całej sprawie chodzi, albowiem hasło „atak na emigrację" odebrało mu zdolność logicznego myślenia, czego zresztą w swych „Zapiskach" dał liczne dowody (o nich za chwilę). A ja zawsze mniemałem, że Edmund Tulko — ten doświadczony publicysta polityczny, znawca problematyki współczesnej i historii — potrafi nad każdym problemem pochylić się sine ira et studio...

2.

Wobec tego poddajmy wiwisekcji tok wywodów i poglądy Edmunda Tulki.

Już na wstępie twierdzi on, że wszczął em w („Odgłosach' dyskusję o emigracji, co jest jakoby wyważaniem otwartych drzwi, gdyż *„w istocie wszystko zostało już dokładnie powiedziane w setkach publikacji, także książkowych"*

Nieprawda — nie wszczynałem żadnej dyskusji o emigracji. Moim zamiarem było wyłącznie zaprotestowanie przeciw koncepcjom Edmunda J. Osmańczyka, koncepcjom zakładającym zbudowanie solidnych pomostów do naszej emigracji na Zachodzie, nawet stowarzyszeń młodzieży polsko-polskiej czy bliskich związków politycznych, religijnych, kulturalnych, gospodarczych — ponad te więzi, które funkcjonują obecnie. Aby tę niechęć wobec koncepcji Osmańczyka podeprzeć argumentami, musiałem odwołać się do kwestii tzw. emigracji, a ściślej: ustosunkować się do jej przeszłego i aktualnego obrazu politycznego. Postawiłem tezę, że współcześnie istniejąca emigracja polska w krajach tak zwanego umownie Zachodu wcale nie jest w swej masie indyferentna politycznie - zwłaszcza wobec realnie istniejącej Polski, konkretnego państwa, należącego do wrogiego dla tegoż Zachodu obozu ideologicznego i politycznego. Nieprawdą jest, że tylko wojujący antykomunista, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, niejaki Mazewski i najnowsi emigranci polityczni spod znaku byłej „Solidarności" są *„zaangażowani jednoznacznie po tamtej stronie barykady"* — jak pisze Edmund Tulko. Tych „jednoznacznie zaangażowanych' jest znacznie więcej. Zresztą sam Edmund Tulko przyznaje, że tak jest, gdy pisze: *„Jedno co można zarzucić organizacjom polonijnym w USA, to wodzenie ich na pasku przez administrację waszyngtońską. Dowodem koronnym będzie w ostatnim czasie poparcie sankcji ekonomicznych Reagana"*.

No więc jak to jest? Czyżby ten wstrętny Ronald stosował jakieś magiczne sztuczki? A może to było tak jak z „zaczarowaną dorożką" mistrza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego: *„Cóż, według Ben Alego, czarnomistrza Krakowa, to nie jest nic takiego, dorożkę zaczarować, dosyć fiakrowi w oczy błysnąć specjalną broszką i jużeś zauroczył dorożkarza z dorożką..."* Tak, Reagan *„błysnął specjalną broszką"* i *„wodzi na pasku organizacje polonijne w USA"*!

3.

Z przykrością stwierdzam, że ten pogląd Edmunda Tulki jest naiwny, i to na sposób zupełnie dziecinny, niegodny rzetelnego komentatora politycznego.

Moim zdaniem, organizacje polonijne w USA – jeżeli już tylko przy tym kraju pozostaniemy — wcale nie zostały ostatnimi czasy omamione przez niegodziwą administrację Waszyngtonu. One od dawna były gotowe do poparcia aktualnej amerykańskiej polityki w sprawie Polski!

Organizacje polonijne w USA, nawet jeżeli nie skupiają w sposób formalny większości tzw. Polonii, to jednak reprezentują jej rzeczywiste poglądy. Gdyby było inaczej, głosy protestu przeciwko ich polityce byłyby tak głośne, że usłyszelibyśmy je i po tej stronie Atlantyku — może nawet powstałaby organizacja opozycyjna wobec owego Kongresu Polonii. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło — protesty, jeśli były w ogóle, to słabe i odosobnione.

Cóż to oznacza? Ano, oznacza, że środowiska obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia zawsze były w swej masie konserwatywne, reakcyjne i antykomunistyczne. Wystarczy przeanalizować opcje wyborcze Polonii amerykańskiej w wewnętrznych grach politycznych USA — nie tylko na szczeblu federalnym, ale stanowym i lokalnym. A kto w 1964 roku popierał prezydenckiego kandydata, senatora z Arizony Barry Goldwatera (superjastrzębia, przy którym Reagan jest oskubanym kurczakiem)?

Na amerykańskiej lewicy, a nawet wśród liberałów i umiarkowanych demokratów nie znajdzie się zbyt wielu ludzi o polskim rodowodzie. Polonusy są na pewno bliższe ideom John Birch Society niż Komunistycznej Partii USA, a takich, jak radykalny działacz związkowy Yablonsky (zamordowany przez prawicowych konkurentów z AFL-CIO, jak można domniemywać) można by pewnie zliczyć na palcach jednej ręki.

Nie ma co ukrywać — konsekwencją tej prawicowości Polonii (w USA, choć w innych krajach Zachodu nie jest wcale lepiej, wyjąwszy może robotnicze środowiska na północy Francji i emigrację brazylijską, odleglejszą od polityki, za to niezwykle ortodoksyjną religijnie, nawet obskurancką...) — konsekwencją tej prawicowości jest antykomunizm, ergo: wrogość do dzisiejszej Polski — konkretnego kraju, z jego ustrojem, systemem władzy i granicami (nie ma co ukrywać: wschodnimi). Dlatego poparcie dla antypolskich sankcji nie jest efektem *„wodzenia na pasku"*, ale faktycznego stanu umysłów większości obywateli państw zachodniej hemisfery, legitymujących się polskim pochodzeniem.

To tylko my w dość niebezpieczny, całkowicie bezkrytyczny sposób wyidealizowaliśmy sobie obraz Polonii, zapominając, że jej deklarowana polskość to jedno, a drugie — to polityczna konfiguracja struktur, w których emigranci tkwią i które popierają. Edmund Tulko też padł ofiarą owej idealizacji, gdy napisał: *„liczymy (...) na masy polonijne, w których miłość do rodzinnego kraju jeszcze nie zetlała"*. Jaka miłość? Do czego? Nie do żadnej realnej Polski — raczej miłość do paru emocjonalnych wyobrażeń, wizji i marzeń. Ich Polska w rzeczywistości nie istnieje — nawet jeśli ją znają, odwiedzając od czasu do czasu, to zupełnie nie rozumieją. Ich Polska jest mieszaniną folderów, głupich, żebraczych listów od rodziny (po paczki i „zielone"), równie żebraczych wizyt krewniaków z kraju, folklorystyczno-chałturniczych imprez w parafiach, niewybrednej antypolskiej i antykomunistycznej propagandy i niepojętych obrazków z naszej rzeczywistości. Być może nawet większość z nich na swój sposób kocha Polskę — szkopuł w tym, że Polski, którą oni kochają, po prostu nie ma...

4.

Edmund Tulko konstatuje, *„że weszliśmy w okres wzmożonych poszukiwań tożsamości narodowej emigrantów i następnych generacji. Sukces filmu „Korzenie" to jeden z przykładów tych poszukiwań. Etniczne mniejszości we wspomnianych Stanach kultywują tradycje krajów ojczystych, czy to będą Włosi, Niemcy, czy też Polacy"*. Jest jednakowoż sporo przesłanek wskazujących na to, iż sięganie do „korzeni" to tylko sezonowa moda w USA — jak zresztą wiele innych mód, fobii i ekscesów, którymi my, tu w Europie, podniecaliśmy się ponad wszelką istotną potrzebę. Nie przypuszczam, aby sezon na „korzenie" zmienił w istotny sposób trwający od dwustu lat mechanizm amerykańskiego tygla, owego wielokrotnie opisanego „melting pot", mającego właściwości uśredniające, homogenizujące. Drugie, trzecie i dalsze generacje są silnie zamerykanizowane — nie łudźmy się co do ich polskości. Ta polskość to raczej rodzaj hobby, skądinąd pożytecznego. Nieliczne jednostki silniej to przeżywają (np dzieci Polonusów podejmujące studia w Polsce), ale zdaje się, że z wiekiem im przechodzi. A już zupełnie pojedyncze są te osobniki gatunku homo polonus, które rzeczywiście rozumieją współczesną Polskę i mimo wszystko skłonne są akceptować ją taką, jaka jest.

5.

W gruncie rzeczy nie dziwię się temu zupełnie. Jest to po prostu prawidłowość. Każda emigracja to zatracenie poczucia rzeczywistości byłej na rzecz aktualnej. Odbudowa wymaga ogromnego indywidualnego wysiłku — nie każdego nań stać, nie każdemu też jest to potrzebne. (A na ogół przeciwnie — zbyt silne związki z ojczyzną szkodzą w miejscu nowego pobytu...).

Poza tym przez całe lata sympatia choćby do realnie istniejącej Polski, czyli socjalistycznej, była źle widziana przez tamtejszy establishment, a nawet mogła być przestępstwem — Joe Mc Carthy i jego Komisja do Badania Działalności Antyamerykańskiej w latach pięćdziesiątych to nie był żart. Za cień poparcia dla Polski można było dostać na długie lata etykietkę „czerwonego" — z surowymi tegoż konsekwencjami. Znam kilka takich, odosobnionych, przypadków. Ale na ogół szpicle i oskarżyciele „krwawego Joe" *nie wytaczali polskim emigrantom spraw o Polskę — tę realnie istniejącą*. Nie było powodów.. Smutne, lecz prawdziwe.

6.

Edmund Tulko pisze, że *„liczymy"* na — jak to określa — *„masy polonijne"*. Szkoda tylko, że bliżej nie precyzuje, w jakiej właściwie mierze liczymy na Polonię. Ta istotna luka w wywodzie Edmunda Tulki pozwala się tylko domyślać, na co on sam liczy. Może na miłość emigrantów do Polski, może na ich poparcie, na pomoc moralną i materialną (nie ma co taić, że wielu obywateli PRL na taką pomoc — wymierną w dolarach — liczy, i wielu ją otrzymuje), a może na stworzenie propolskiego lobby przy władzach federalnych USA: w Kongresie i administracji. Szkoda, że nie wiem, na co dokładnie liczy Edmund Tulko, więc ten fragment jego wywodu pozostawię bez komentarza, gdyż nie chciałbym skrzywdzić go niesłusznymi — być może — podejrzeniami.

7.

Natomiast by dokładnie skomentować inną myśl Edmunda Tulki i samemu uniknąć zarzutu wyrywania zdań z kontekstu i manipulacji, pozwolę sobie zacytować pewien fragment z jego „Zapisków".

„Właściwie jedynym sposobem (podejścia do kwestii emigracji — przyp. TS) *jest akceptacja faktów, a mówią one, że los polskich emigrantów stanowi cząstkę naszej historii. Wydajemy pamiętniki emigrantów, opracowania monograficzne dziejów Polonii i w końcu mamy Towarzystwo Polonia dla utrzymywania kontaktów z rodakami w szerokim świecie. Przed wojną zrodziła się nawet koncepcja Światowego Związku Polaków.*

Propozycje Edmunda Osmańczyka, doświadczonego działacza polonijnego przed 1939 r., nie są tak zupełnie pozbawione sensu, jak by tego chciał T. Sas. Do Polonii trzeba budować pomosty, a nie kopać przepaście".

Analizę tej wypowiedzi zacznę od sprawy drobniejszej, drugorzędnej jakby, ale też obrazującej stan świadomości Edmunda Tulki. Otóż nazywa on Edmunda Osmańczyka *„doświadczonym działaczem polonijnym przed 1939 r."*. To tak, jakby frontowego weterana, komandosa, zwiadowcę i snajpera zaliczyć do kombatanckiej organizacji kompanii wartowniczych i straży pożarnych... Edmund Osmańczyk był przed wojną działaczem Związku Polaków w Niemczech — organizatorem, publicystą, historykiem polskości; pracował w Berlinie i na Śląsku Opolskim. Ideą przewodnią Osmańczyka i jego współtowarzyszy było przywrócenie Polsce ziem zamieszkałych przez Polaków — nie tylko terenów utraconych w wyniku niemieckich fałszerstw plebiscytowych. Była to walka — dosłownie na śmierć i życie — równie niebezpieczna w czasach Republiki Weimarskiej, jak w Rzeszy Adolfa Hitlera; dla setek Polaków skończyła się w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, więzieniach (m.in. w celach śmierci berlińskiego Moabitu, gdzie ścinano toporem...) czy wprost pod kastetami i podkutymi obcasami bojówek SA. Nie wolno tego wszystkiego kwitować sloganem — „doświadczony działacz polonijny przed 1939 r."!

8.

Ale wróćmy do głównego wątku wywodów Edmunda Tulki. Zgadzam się z nim, gdy powiada, że emigracja jest częścią naszej historii. I dlatego nie mam nic przeciw wydawaniu pamiętników i monografii, przeciw organizowaniu festiwali polonijnych, przeciw letnim szkołom i kursom dla młodzieży, przeciw ich studiom *w Polsce, przeciw więzom kulturalnym* (chociaż o ich jakości można by podyskutować...) — a nawet nie mam nic właściwie przeciw tzw. firmom polonijnym, skoro już zdecydowaliśmy się jeść tę żabę. Akceptuję szeroką działalność wydawniczą i radiową dla Polonii, łączność z naukowcami pochodzenia polskiego, wycieczki polonijne do kraju, nie mam nic przeciwko kwestom wśród Polonii na różne szlachetne cele ogólnospołeczne, (a jej ofiarność jest niemała i powszechnie znana). A przede wszystkim nie jestem wrogo usposobiony do Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia".

Nie protestuję przeciw tym wszystkim wymienionym i niewymienionym więziom, nie domagam się ich ograniczenia, nie nawołuję do *„kopania przepaści"*, o co mnie niesłusznie posądzają (nie przeczytawszy zbyt uważnie tego, co napisałem), St. Lasocki i Edmund Tulko. Co więcej — uważam, że więzi te powinny być kultywowane tak długo, jak długo emigranci pochodzący z Polski będą mieli wolę podtrzymywania swych powiązań z ojczyzną przodków: więzi te należy wzbogacać i dbać o ich wysoki poziom. Poczucie polskości jest sprawą osobistą każdego z emigrantów i ich potomków. Nie wolno im w pielęgnowaniu poczucia tego przeszkadzać; a ich więzi emocjonalne z naszą kulturą narodową winniśmy traktować jako przyrodzone prawo wychodźstwa.

9.

Ale nic więcej! Fałszywe jest mniemanie Edmunda Tulki, gdy imputuje mi, jakobym propozycje Edmunda Osmańczyka uważał za pozbawione sensu. Otóż nie — sądzę, że mają one głęboki sens, ale ja właśnie przeciw temu sensowi występuję, gdyż szkodliwość polityczna (spójnych skądinąd i logicznych) koncepcji Osmańczyka może być znaczna.

Edmund Osmańczyk wie doskonale, że tzw. Polonia zwłaszcza amerykańska (dwie trzecie Polonii w ogóle), nigdy nie zaakceptuje Polski takiej, jaka jest obecnie i jaka będzie w przyszłości — państwa socjalistycznego, w obozie komunistycznym, z ustrojem i władzą daleko odbiegającą od tamtejszych, amerykańskich ideałów. W podzielonym ideologicznie i politycznie świecie jest to niemożliwe, zwłaszcza, że członkowie Polonii nie żyją w świecie abstrakcji (jak to się wielu osobom u nas wydaje). Wszyscy są lojalnymi obywatelami swych państw (większość ych państw — to członkowie NATO) i nie wyobrażam sobie, aby mogli kiedykolwiek wystąpić przeciw racjom stanu państw, w których żyją, nawet w sytuacji, gdyby te racje stanu znalazły się w jawnym konflikcie z naszą — polską — racją stanu, z naszymi żywotnymi interesami. Oczywiście wyjątki są możliwe, ale nie będą się liczyć — tak jak nie liczyły się dotąd.

Szkoda, że Edmund Tulko tego aspektu sprawy Polonii nie zauważył... A więc ustalmy ostatecznie — Polonia to przede wszystkim obywatele swych państw, pracownicy firm lub samodzielni biznesmeni, płatnicy podatków, a na końcu — z pochodzenia Polacy. Mając tę hierarchię w pamięci łatwiej będzie uniknąć błędnego optymizmu.

10.

Sądzę, że Edmund Osmańczyk doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Wie też, jak przypuszczam, jaka jest Polska z marzeń naszych Polonusów — jest to kraina sielska ale bogata, demokratyczna, liberalna, przy tym ultrareakcyjnie katolicka, wręcz królestwo Matki Boskiej Częstochowskiej, nadto dozwalająca na swobodną inicjatywę gospodarczą, niegraniczoną prywatną własność środków produkcji i nieograniczone bogacenie się (najlepiej *bez podatków), silnie związana* z Zachodem i trzymająca ów „bezbożny komunizm" z dala od granic.

Czy Edmund Osmańczyk, realista i pragmatyk skądinąd, próbuje zdezawuować tę wizję? Czy próbuje swym rodakom zza granic powiedzieć, jaka jest Polska naprawdę? Czy chce ich przekonać do naszej racji stanu? Czy chce silnych związków z Polonią na gruncie akceptacji polskiej rzeczywistości doby obecnej i dającej się przewidzieć przyszłości?

Nic z tych rzeczy nie mieści się w koncepcji Osmańczyka — ona jest zbudowana jakby a rebours...

Otóż Edmund Osmańczyk pragnie zbudować swój pomost zupełnie inaczej: on chce Polskę maksymalnie przybliżyć do wizji większości naszych środowisk polonijnych! Chce, aby zmieniła się tak, by stała się możliwa do zaakceptowania przez emigrację — na gruncie ich poglądów i marzeń.

Dlatego poseł Osmańczyk prowadził tak gwałtowną kampanię o liberalizację polityki paszportowej, łącznie z walką o paszporty konsularne i bezpłatne wjazdy do Polski dla wszystkich ich posiadaczy. Stąd jego bezwarunkowe poparcie dla polityki przyciągania polonijnych kapitałów. Poseł Osmańczyk postulował też paszport dla każdego i zorganizowaną emigrację zarobkową młodych Polaków (rodzaj państwowego, koncesjonowanego i potwierdzonego rządowymi zobowiązaniami gastarbeiterstwa). Celowi wymyślonemu przez Osmańczyka służyłaby też — skądinąd w odleglejszej przyszłości sensowna wymienialność złotówki jako waluty w obrocie międzynarodowym. A pomysł zawiązywania klubów i stowarzyszeń polsko-polskich, między naszą i polonijną młodzieżą — przecież nie w celu wspólnej gry w brydża czy uprawiania tańców dyskotekowych lub korespondencji przez ocean; wedle Osmańczyka piaszczyzna owych młodzieżowych kontaktów byłaby niewątpliwie polityczna — patriotyczna na pewno, ale przy tym katolicka i konserwatywna, w ideowym i kulturalnym duchu zachodnim. Nie sądzę, aby w klubach tych, prawdopodobnie pod kościelnym patronatem czy jakichś wyznaniowych organizacji świeckich, dyskutowano o marksizmie i programie IX Zjazdu, czy o ideach PRON, albo nad przyszłością Polski socjalistycznej. Zresztą oparcie owej wspólnoty polsko-polonijnej o katolicyzm, którego przypływ (w jego zewnętrznej, demonstracyjnie dewocyjnej formie) notujemy ostatnio w kraju i wśród Polaków na Zachodzie (zdaniem Osmańczyka — z powodu wyboru Polaka na papieża), nie służyłoby dobrze — jak sądzę — naszemu państwu, w którym obowiązuje konstytucyjna zasada oddzielenia Kościoła od spraw władzy państwowej. Oficjalne deklaracje hierarchów Kościoła katolickiego bywają coraz częściej sprzeczne z praktykami w parafiach i organizacjach — toczy się ostry spór ideologiczny, nasila się konfrontacja, w której Kościół katolicki usiłuje forsować działania ofensywne. Osmańczyk proponuje, by do tego sporu wciągnąć Polonię — ciekawe, po co?

W sumie koncepcje Osmańczyka zmierzają do uczynienia Polonii współgospodarzami kraju — kraju przekształconego zgodnie z jej wyobrażeniami. Jest to koncepcja „okcydentalizacji" (czyli „uzachodnienia") Polski przy pomocy emigracji. Wszystko to zmierza do budowy pomyślności i dobrobytu *Polaków*, do gospodarczej stabilizacji *kraju* — w to nie wątpię. Wszelako cena wydaje mi się za duża — myślę, że Edmundowi Tulice wyda się także, gdy się nad tym dłużej zastanowi.

Oczywiście koncepcja Osmańczyka ma jakiś sens, tyle, że jest ona nie do przyjęcia dla współczesnej Polski i na pewno nie będzie zrealizowana, choć być może w jakimś nieznacznym stopniu mogłaby przyspieszyć nasze wyjście z kryzysu i zajęcie należnego *miejsca w rodzinie narodów*. Ale ja wolę poczekać, niż oddawać Polskę w ajencję wujaszkom z Chicago lub Kurytyby...

11.

Jeszcze dwie kwestie podniesione przez Edmunda Tulkę wymagają mego ustosunkowania się. Otóż Edmund Tulko jest wytrawnym polemistą — aż tak, że gotów jest wymyślić domniemane poglądy swego adwersarza, by tylko przygwoździć go ogromem swej erudycji, która — rzadko ostatnio używana — rdzewieje.

Pisze Tulko tak: *„Zacznijmy od abecadła. Zjawisko emigracji nie jest, jakby to wynikało z obszernej repliki Tomasza Sasa na krótki list Czytelnika St. Lasockiego* (no proszę, nawet długość tekstu mu się nie podoba — od tego pewnie odwróci się ze wstrętem...), *typowe dla Polski, w przeszłości i współczesności"*. No to niech mi Edmund Tulko wskaże, gdzie ją napisałem i z czego dokładnie to wynika, że emigracja jest zjawiskiem typowo polskim. Niczego takiego nie napisałem — po prostu pisałem tylko o polskiej emigracji, bo jej tylko moja polemika z Osmańczykiem, a później z St. Lasockim, dotyczy. Nie widzę powodu, by wspominać przy tej okazji o innych emigracjach. Edmund Tulko imputuje mi ten nieprawdopodobny pogląd chyba tylko po to, by sypnąć danymi z amerykańskich statystyk imigracyjnych. Nie sprawdzałem już tych liczb — mam zaufanie do erudycji i źródeł, którymi posługuje się Edmund Tulko.

12.

Ale zupełnie nie wiem, co oznacza takie zdanie: *„Oczywiście, emigracja oznacza upust krwi i utratę jednostek często najprężniejszych, ale alternatywy emigracji dotychczas nie wymyślono"*. Alternatywa to jeden z elementów tzw. logicznego rachunku zdań, a polega w uproszczeniu na tym, że mamy do czynienia ze zda-

niem typu: „co najmniej jedno z dwojga: *p* lub *q* (*p* i *q* — symbole zmiennych zdaniowych) bądź też „co najwyżej jedno z dwojga: albo *p*, albo *q*" alternatywa wyłączająca). A zatem alternatywa to dwie możliwości — żadna z nich sama w sobie nie jest alternatywą, ani wzajemnie dla siebie. Dopiero obie razem stanowią alternatywę. Emigracja zatem jako pojęcie w sensie logicznym jest częścią składową alternatywy: emigracja lub pozostanie w kraju.

13.

Tak więc niczego nie trzeba wymyślać. Tym bardziej nie musiał Edmund Tulko wymyślać swego *„modelowego wzorca politycznego"* dla amerykańskiej Polonii, mianowicie Żydów tamtejszych, tak dbających o państwo Izrael. Jest to absurd, o jakim dawno nie słyszałem... Przeinaczenia i naiwne mniemania są w tym wywodzie Edmunda Tulki o Żydach spiętrzone w sposób zupełnie nieprawdopodobny.

Istotnie, państwo Izrael powstało po II wojnie światowej — konkretnie 14 maja 1948 roku, w konsekwencji realizacji decyzji Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 29 listopada 1947 roku w sprawie powołania Komisji dla Przeprowadzenia i Strzeżenia Podziału Palestyny — dawnego brytyjskiego terytorium mandatowego, gdzie od końca I wojny światowej, czyli kresu panowania tureckiego na tym terenie, zaczęli się osiedlać Żydzi, realizując dziewiętnastowieczną ideologię syjonizmu, a zarazem żywe od czasów diaspory marzenie o powrocie do *Judei i Galilei. Ale ta alija* — powrót Żydów, organizowana w całym świecie, silnie popierana przez niemal wszystkie środowiska żydowskie — nie odbyła się bez konfliktów. Żydzi nie wracali na pustynię, by *założyć własne państwo, sztuczny twór, wyizolowany ze świata*. Na ich ziemi wybranej i obiecanej od półtora tysiąca lat gospodarowali Arabowie. Edmund Tulko zapewne pamięta taką nazwę: Deir Yassin...

A poza tym — nie pozwolono Żydom wracać do Palestyny tylko po to, by sprawić im przyjemność. Już u podłoża tzw. Deklaracji Balfoura z 1917 roku (rodzaj gwarancji osiedleńczych dla ruchu syjonistycznego, wydanych przez rząd brytyjski), leżała chęć uczynienia z Żydów czynnika równowagi dla płynnego i nieobliczalnego żywiołu arabskiego, boć przecie od początku było jasne, że obie te narodowości wejdą w konflikt.

I rzeczywiście — od swego powstania Izrael toczył cztery regularne wojny z sąsiadami (1949, 1956, 1967, 1973), za każdym razem powiększając terytorium, a obecnie znajduje się w stanie kolejnej wojny: w Libanie i na froncie syryjskim na Wzgórzach Golan, gdzie wojna nie wygasła od roku 1967.

Edmund Tulko powiada, że większości Żydów amerykańskich nie odpowiada nacjonalistyczna, agresywna polityka państwa Izrael, ale prawicowca Szamira popierają tak, jak „socjalistkę" Goldę Meir. Są bowiem solidarni ze swym ukochanym państwem, dzieckiem i dumą wszystkich Żydów — dzięki temu Izrael ma pieniądze, broń i wszystko, co mu potrzebne do przetrwania we wrogim żywiole arabskim. To lobby amerykańskich Żydów sprawia, że *„wszystko (...) z kasy rządu amerykańskiego płynie, i to szeroką strugą"*.

Pewnie zdziwiłby się Edmund Tulko, gdyby mu ktoś powiedział, że nie byłoby inaczej, gdyby nawet w USA nie było ani jednego Żyda, lub gdyby państwo Izrael zdecydowali się założyć np. Eskimosi, grenlandzcy, którym znudziła się ich chłodna wyspa. A byłoby tak bez wątpienia. Istota problemu tkwi bowiem w przeinaczeniu przez Amerykanów brytyjskiego punktu widzenia.

Dopóki świat arabski tkwił w odwiecznych, sfetryfikowanych strukturach władzy i społeczeństwa, w feudalnych monarchiach islamskich, rządzonych naprzód prawa Koranu, wszystko było w porządku naftowe interesy USA były niezagrożone, a Izrael, na Izrael patrzono z pewną umiarkowaną sympatią (tu jednak był jakiś wpływ lobby syjonistycznego i jego głosów w amerykańskich wyborach) i z pobłażaniem karcono, gdy nadto się rozbrykał. Przykładem klasycznym jest wojna w 1956 roku — trzej sojusznicy: Anglia, Francja i Izrael zostali właśnie skarceni przez USA, gdyż pomieszali globalne szyki polityczne swemu patronowi.

Ale gdy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych zagotowało się w arabskim kotle, Izrael nabrał szczególnego znaczenia. A zdarzyło się sporo — w Egipcie młodzi oficerowie pogonili króla Faruka (1952), a w 1956 ich prezydent Gamal Abd el Naser znacjonalizował Kanał Sueski! W Syrii twardy postkolonialny reżim wojskowy został zastąpiony przez młodych oficerów i działaczy partii Baas; parę lat później Syria zjednoczyła się z Egiptem (1958). W Iranie ledwo się udało Amerykanom obalić „łagodną rewolucję" premiera Mossadeka (1953). W Algerii trwała regularna wojna antyfrancuska. Niespodziewanie zupełnie (także dla CIA) nagle padła twarda monarchia haszymidzka w Iraku (1958 — znów młodzi oficerowie z Abdul Karimem Kasemem na czele): dla ratowania ostatniego ogniwa amerykańscy marines lądowali w Libanie, by spacyfikować ten kraj, znienacka ujawniający silne nastroje pronaserowskie, i ubezpieczyć ostatnią w regionie monarchię w Jordanii (1958).

Ten szereg poważnych kłopotów na Bliskim i Środkowym Wschodzie, zwieńczony mocno niepopularną (choć skuteczną) interwencją w Libanie, zwrócił uwagę USA na potencjalne możliwości Izraela w roli naftowego żandarma, utrzymującego regionalną równowagę poprzez stwarzanie stałego zagrożenia. Od tego czasu rzeczywiście popłynęła broń, pieniądze, surowce i ludzie. Realne zagrożenie izraelskie mogło wprawdzie zjednoczyć Arabów, ale na tyle absorbowało ich problemami wojny, że odciągało uwagę od radykalizacji i komunizacji — w mniemaniu USA — a tego Amerykanie zawsze bali się najbardziej: postępów światowego systemu komunistycznego (nawet gdy były one tak mało realne, jak na Bliskim Wschodzie). Do zrozumienia tej roli Izraela, obcego i nienawistnego „wrzodu" w arabskim organiźmie, administracja USA nie potrzebowała Żydów, ani ich kongresowego lobby... chociaż wykluczyć nie można, że owo lobby wydatnie przyśpieszyło takie rozwiązanie strategiczne, dając gwarancje nieustępliwości i niechęci do przyszłego możliwego rozwiązania pokojowego. Ale nie Żydzi amerykańscy są jedyną siłą sprawczą izraelskiej prosperity — taki pogląd byłby nazbyt naiwny.

14.

Zaś co do czerpania możliwego wzorców przez naszą Polonię z żydowskiej służby dla „Erec Israel" — właśnie depesze agencyjne przyniosły nową porcję informacji: w Izraelu uwolniono od kary obywatela amerykańskiego pochodzenia żydowskiego, który zamordował dwie prawosławne zakonnice: za „niepoczytalnego" uznano innego Amerykanina, służącego w armii izraelskiej, który przed dwoma laty strzelał do wiernych, wychodzących z meczetu w Jerozolimie: amerykańscy syjoniści ostrzelali palestyński autobus niedaleko okupowanego Hebronu na zachodnim brzegu Jordanu... i tak dalej.

Czy takich wzorców solidarności ze swym narodem i jego państwem mają się uczyć obywatele amerykańscy pochodzenia polskiego?

* * *

Przepraszam wszystkich zainteresowanych za ten niezmiernie długi wywód — i to przeprowadzony po raz trzeci. Ale musiałem wszystkie argumenty zebrać raz jeszcze i powtórzyć, w obawie przed kolejnym możliwym nieporozumieniem. Posła Ziemi Opolskiej Edmunda Jana Osmańczyka zaś przepraszam za — być może nadmierne — demonizowanie jego osoby i koncepcji. Ale takie są prawidła walki politycznej w podzielonym świecie. Ufam, że koncepcje te nigdy nie zostaną zrealizowane, jednak obawiam się, że mogłyby na trwałe zakotwiczyć się w świadomości mych współobywateli.

TOMASZ SAS

RELACJA JANA JAKUBA PATZA POSŁA SASKIEGO W WARSZAWIE

Patz do Lossa, Warszawa 19 kwietnia 1794.

Dzień przedwczorajszy, czwartek 17 bieżącego miesiąca był tutaj dniem krwi i pogromu. Rosjanie byli na to zupełnie nie przygotowani. W tym dniu miał był rozbrojony pułk Działyńskiego. Już o czwartej z rana oddziały konnej gwardii zagwoździły dwie armaty rosyjskie, znajdujące się nie opodal Żelaznej Bramy Ogrodu Saskiego i zagarnęły skrzynie z amunicją. Alam w mieście ogłosił wystrzał armatni. Rosjanie rozproszeni w rozmaitych dzielnicach, usiłowali połączyć się, lecz oddziały polskie wraz z mieszczaństwem opanowały Arsenał rozdzielając ludowi broń: palasze i pistolety. Rozproszone oddziały rosyjskie walczyły w pojedynkę i zaatakowane ze wszystkich stron, ginęły masowo w sposób pożałowania godny. Książę Gagarin, naczelny dowódca słynnego pułku syberyjskiego, poległ walcząc na czele jednego ze swych batalionów, podobnie zresztą jak i inni oficerowie. Batalion ów został zmasakrowany niemal całkowicie obok kościoła Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Ulice są jeszcze dotąd usłane trupami, o których pochodzeniu nikt nie myśli.

Najbardziej były narażone: kwatera generała Igelströma, Krakowskie Przedmieście i Bielino (obecnie Plac Trzech Krzyży). Nie wiadomo nawet, czy ów generał żyje, nikt też nie może uzyskać informacji o jego zarządzeniach, ponieważ komunikacja z ulicą Kapucynów, gdzie mieszka, jest całkowicie przerwana.

W ciągu dnia przedwczorajszego i wczorajszego Rosjanie zostali niemal wszędzie pobici. Część z nich zmuszono do wycofania się u miasta w kierunku Woli. Dotychczas nie wiadomo, kto jest naczelnym dowódcą Polaków i kto kieruje tymi strasznymi, wywołanymi rozpaczą wydarzeniami, które — mówiąc szczerze — należało od dawna przewidzieć.

Widocznie generał Igelström czuł się całkowicie bezpieczny, ponieważ przed czterema czy pięcioma dniami zdecydował się odkomenderować przeciwko Kościuszce prawie połowę swych wojsk stacjonujących tutaj. Jeszcze cztery dni temu polecił przesunąć stacjonujący w okolicach Warszawy korpus Prusaków pod dowództwem generała Brücknera, złożony z 1200—1500 żołnierzy, celem skuteczniejszego zabezpieczenia przejścia przez Pilicę. To wprost nie do wiary, jak wiele błędów zostało popełnionych w obecnej sytuacji. Wzburzenie było bowiem powszechne, i nie należało doprowadzać nieszczęśliwego narodu do ostateczności, natomiast trzeba było przedsięwziąć inne środki, by powstrzymać te chwile grozy i klęski.

Pomyślną okolicznością jest fakt, iż król nadal znajduje się w Zamku. Gwardia przyboczna opuściła go natychmiast po rozpoczęciu powstania. Ale lud jest za królem. Jego Królewska Mość przemówił do tłumów na dziedzińcu Zamku i często ukazuje się na balkonie.

Przez cały wczorajszy dzień, a także nocą, działo nie przestawało huczeć, jednak dobry Bóg ocalił nas przed pożarem. Nikt nie zdoła obliczyć liczby zabitych i rannych. Szereg domów, szczególnie przy głównych ulicach, uległo silnemu uszkodzeniu, a wszystkie kwatery oficerów rosyjskich zostały splądrowane. Domy eks-hetmana wielkiego Branickiego i pani Ogińskiej (gdzie mieszka wielki hetman Ożarowski i baron Buhler, jak również większa część tych, które należą do osób oddanych Rosjanom) zostały wydane na pastwę pospólstwa, którego zaciekłość przeciwko swoim gnębicielom jest trudna do opisania.

Lud uwięził od razu biskupa Kossakowskiego i kazał go zatrzymać w Arsenale, gdzie znajduje się już około 400 jeńców rosyjskich, którzy oddali się na łaskę i niełaskę. Dowiedziano się, że Ożarowski schronił się w Zamku Królewskim, gdzie prawdopodobnie mieli znaleźć ocalenie także hrabiowie: Moszyński i Ankwicz. Wiele osób piastujących wysokie stanowiska, jak również pan Buchholtz z rodziną, szukało schronienia w Pałacu Saskim, jest bowiem rzeczą jasną, że elektor cieszy się powszechną sympatią Polaków.

Przedwczoraj miała tu miejsce dwukrotnie zaciekła walka, która toczyła się pod bramami pałacu, przy czym kule z dział i strzelb świszczały ze wszystkich stron. Przy tej okazji major Gleichmann został ograbiony przez strzelców rosyjskich, którzy wtargnęli do jego mieszkania przebywając tam trzy kwadranse, strzelali do Polaków. Ci sami strzelcy włamali się do kasy elektorskiej, która była u majora, i okradli ją.

Dzień wczorajszy był równie krwawy jak poprzedni. Kilka batalionów rosyjskich znalazło się na ulicy Kapucynów, by bronić domu generała Igelstroema. Dzielnica ta była ostrzeliwana ogniem artyleryjskim przez cały dzień. Rosjanie bronili się rozpaczliwie. Około południa ogień ogarnął ten dom na skutek wybuchów granatów rzucanych przez Polaków. Generał Igelström schronił się do klasztoru kapucynów, położonego naprzeciwko jego mieszkania. Broniono się tam aż do wieczora, wreszcie ogień ogarnął również to miejsce. Nieliczni pozostali jeszcze przy życiu Rosjanie zostali zmuszeni do poddania się. Generał Igelstroem nie dostał się w ręce Polaków, ale nie wiadomo, co się z nim stało. Niektórzy utrzymują, że gdzieś się ukrył, inni zaś przypuszczają, iż razem z baronem d'Asch znaleźli schronienie u króla.

Te dwa dni miały kosztować Rosjan ogółem 3000 ludzi, wliczając w to zabitych i rannych, reszta — 4000, którzy tu przebywali, znalazła, jak się zdaje, ocalenie poza miastem. Bez wątpienia będą oni plądrować i rabować okolice.

Kasa wojskowa i cała artyleria rosyjska, podobnie jak i generałowie, wpadły w ręce Polaków. Trzy pożary wzniecone tu wczoraj szczęśliwie ugaszono, lecz wiele domów zostało całkowicie zrujnowanych. Obecnie zapanował tu względny spokój, należy się jednak obawiać, że zbliżenie Prusaków lub Rosjan może spowodować dalsze zgubne następstwa. Marszałek wielki (Fryderyk Moszyński — red.) znowu bardzo aktywny i wydaje niezbędne rozporządzenia.

RELACJE POSŁA PEŁNOMOCNEGO SZWECJI JOHANNA CHRISTOPERA TOLLA (19.IV.1794)

Jaśnie Oświecony Książę, Dziedziczny Książę Szwecji
Wielki Admirale, Jego Królewska Wysokość!

Moje ostatnie uniżone sprawozdanie pochodziło z 16 bieżącego miesiąca i zaopatrzone było numerem 23. W ubiegły czwartek wybuchła tu rewolucja jakiej porównanie trudno znaleźć w księgach biblijnych Starego Testamentu.

Garnizon polski, liczący około 2 tysiące żołnierzy i pospólstwo miejskie rozpoczęły walkę wczesnym rankiem z garnizonem rosyjskim w ile 5 tysięcy żołnierzy. Arsenał, składy broni i amunicji zostały otwarte. Widziało się nawet uzbrojonych Żydów biorących udział w walce. Cały dzień aż do godziny 7 wieczorem ostrzeliwano się wzajemnie ze 100 armat. W wielu miejscach były umieszczone ciężkie działa. W tym samym czasie strzelano z ręcznej broni, z mniejszych ulic i bram, gdzie natykano się na Rosjan. Wieczorem opanowali Polacy całe miasto z wyjątkiem kwatery generała Igelströma i Apraksina, jak również zamku i ogrodów królewskich, które przez swoje ulice i połączenia stwarzały możliwość obrony. Przeciwko tej głównej pozycji kontynuowano atak z dział i broni ręcznej bez przerwy aż do godziny 10 wczoraj przed południem, kiedy to jeden punkt oporu, kwaterę Apraksina opanowano. W tym samym czasie utorowali sobie drogę Polacy na innym miejscu, mianowicie podeszli pod gradem kul od tyłu część rosyjskich linii obronnych i wszystko co tam się znajdowało, w tym garnizon dragonów, cofnął się w kierunku pałacu Rzeczypospolitej. Garnizon ten wydostał się na tereny nie objęte działaniami wojennymi i zbiegł z miasta, dzięki kilku wystrzałom z jednej baterii, która broniła składów amunicji. Pomoc w ucieczce udzielił Rosjanom korpus pruskiej kawalerii, która w czasie walki znajdowała się w bliskiej odległości od miasta. Przypuszcza się, że generałowie Igelström, Apraksin, Pistor i Zubow znaleźli się w wyżej wymienionym garnizonie kawalerii i w ten sposób wydostali się z miasta.

Skoro podpalono rezydencję Igelströma został on podobnie jak pałac Rzeczypospolitej po rozpaczliwej obronie ostatecznie o godzinie 6 wieczorem zdobyty szturmem.

Trzech generałów i jeden brygadier zostali wzięci do niewoli. Mówi się, że około 1800 żołnierzy i oficerów zostało wziętych do niewoli. Liczba poległych nie jest znana, podobnie jak i nie wiadomo również ilu uratowało się ucieczką. 33 działa zostały zdobyte. Dom generała Igelströma i te domy, w których mieszkali rosyjscy generałowie, archiwum ministerstwa, kancelaria, kasa wojskowa, wszystkie rosyjskie chorągwie, bagaże i ekwipunek zostały splądrowane i zniszczone. Wszyscy należący do misji rosyjskiej zostali wzięci do niewoli jako więźniowie wojenni. Król i jego rodzina wyszli bez szwanku. Cały korpus dyplomatyczny, w czasie tej zawieruchy, podczas której miały miejsce trzy pożary — ocalał; również personel naszego poselstwa nie poniósł żadnych szkód.

Z najgłębszym oddaniem
Jaśnie Oświecony Dziedziczny Książę Szwecji i Wielki Admirale,
Jego Królewska Wysokość,
Oddany głęboko sługa J. C. Tool.

W 190 rocznicę Powstania Kościuszkowskiego

Dyplomatyczne depesze z Warszawy

Dwie Relacje posła pełnomocnego Austrii Benedykta de Cachégo

**DE CACHE DO THUGUTA
WARSZAWA, 19 KWIETNIA 1794 r.**

(fragmenty)

(...) B. Już w moim ostatnim sprawozdaniu z 15 bieżącego miesiąca wskazywałem na stale wzrastające napięcie i oczekiwanie na to, że stacjonujące tutaj wojska rosyjskie opanują warszawski arsenał i rozbroją pułk Działyńskiego w sile 800 ludzi, jak i królewski pułk gwardyjski.

Według szerzących się pogłosek generał Działyński — dowódca stacjonującego tutaj pułku, który od dawna wydawał się Rosjanom podejrzany, miał zostać aresztowany na Wołyniu. Taki sam los spotkał generała Tyzenhauza, szefa gwardii pułku litewskiego oraz szereg innych wybitnych osobistości. Ostatnio nawet mówi się, że wszystkie wojska litewskie w sile 12 tysięcy żołnierzy, z uwagi na możliwość powstania zostały całkowicie rozbrojone.

Panowało powszechne przekonanie, że Rosjanom nie uda się opanować arsenału, ani rozbroić pułku Działyńskiego bez przelewu krwi.

Jakkolwiek nie próbowano ani jednego, ani drugiego to jednakże 17 bieżącego miesiąca, wczesnym rankiem między godziną 4 a 5 doszło w jednej z dzielnic miasta do olbrzymiego zamieszania, które szybko objęło inne dzielnice i przekształciło się w powszechne zbrojne powstanie. Głównym powodem było ustawienie przez Rosjan w szyku bojowym kilku armat w kierunku kwater koronnej królewskiej gwardii konnej. W związku z tym wywiązała się pomiędzy szeregowymi żołnierzami polskimi i rosyjskimi obelżywa wymiana słów. W następstwie tego strona polska zabrała jedną lawetę z armaty polskiej. Na tę prowokację Rosjanie pierwsi odpowiedzieli ogniem.

Po tym wystrzale armatnim, który został uznany za sygnał do ataku na arsenał warszawski, zaczął się gromadzić rozwścieczony tłum. Już o godzinie 6 rano biły na alarm wszystkie dzwony, około godziny 7 widziano uzbrojonych ludzi, pochodzących z niższych warstw społecznych, biegnących rozmaitymi ulicami. Gwardyjski pułk konny opanował częściowo wytoczone przeciwko niemu armaty rosyjskie. Pułk Działyńskiego, który pospieszył mu z pomocą, zaatakował Rosjan na jednej z większych ulic i rozbił ich, przy czym książę generał Gagarin poniósł śmierć, a generał Miłaszewicz został ciężko ranny. (...).

W tej tak trudnej sytuacji przy olbrzymim poświęceniu i zawziętości, Rosjanie wytrzymali pod ogniem armat i muszkieterów aż do wieczora i dopiero wówczas znaleźli schronienie w pałacu swego głównodowodzącego generała. Regularnemu wojsku polskiemu, które nie liczyło więcej jak tysiąc żołnierzy towarzyszyły wszędzie duże grupy ludzi uzbrojonych w szable, pistolety i strzelby oraz inną broń wydobytą z arsenału. Liczba tych ludzi urosła do blisko 40 tysięcy. Wśród nich można było spotkać również uzbrojonych Żydów. Ci właśnie ludzie nie posiadając nawet przywódców ani dowódcy uderzali wszędzie na Rosjan, wypierali ich zewsząd, zdobywali armaty i żadnemu z wrogów nie dawali pardonu. (...).

Około południa dopiero przez trębacza zaproponowano generałowi Igelstroemowi kapitulację, i prawdopodobnie byłby on skłonny ją zaakceptować, ale lud wmieszał się do akcji i zażądał wydania głównodowodzącego. Wówczas oblężenie jego domu rozpoczęło się ponownie. Generał Igelström skorzystał w międzyczasie z okazji i zdołał zbiec z resztkami swego wojska do stojącego o jakieś pół mili od Warszawy generała Wölcky z dwutysięczną załogą pruską. (...).

Przed kilkoma dniami na ratuszu miejskim ogłoszono przystąpienie do proklamowanego w Krakowie aktu powstańczego Kościuszki. Prawdopodobnie król wkrótce przystąpi do tego aktu. Król, władze miejskie i generał Mokronowski postanowili przydzielić mi, jako przyjacielowi Polaków odpowiednią straż, która ma mnie zabezpieczyć przed grabieżą, jaka mogłaby mi zagrozić ze strony pospólstwa. Wyraziłem podziękowanie za to, ponieważ mój dom, sekretarz i ranny stangret wiele ostatnio wycierpieli.

Dzisiaj można dostrzec wiele trójkolorowych kokard. W gruncie rzeczy lud decyduje tutaj o wszystkim. Tyle na razie w wielkim pośpiechu.

Opracował: HENRYK KOCÓJ

Dokończenie ze strony 1

specjalnie do Poznania, aby zaprezentować to, co zakład mógłby robić — ale czego robić nie będzie — gdyby miał odpowiednie tkaniny, dodatki i większą załogę...

W takich warunkach zdarzało się podpisywać umowy-dziwolągi. Np. zakład zobowiązywał się dostarczyć określoną ilość ubiorów dla dzieci w wieku 0—15 lat, nie wynikało z niej jednak, jakie to będą ubranka, dla raczkujących niemowląt czy młodzieży szkolnej, ani też kiedy dokładnie podpisane obok przedsiębiorstwo handlowe je otrzyma.

Nawiasem mówiąc, ekspozycja odzieży dziecięcej dawno nie prezentowała się tak nieciekawie. Uwagę zwracały nieliczne zaledwie wzory ubranek — głównie w stoiskach spółdzielczości — naprawdę udanych. Reszta to odzienie w nieciekawych kolorach, już na manekinach wyglądające jak po kilku praniach, na dodatek ozdobione sporą ilością pstrokatych łatek i naszywek. Zapewne zakłady wykorzystują w ten sposób resztki tkanin. Oszczędność chwilebna, lecz efekty mizerne.

Nagminnie występowały również w umowach rozmaite klauzule, uzależniające ich realizację od sytuacji materiałowo-surowcowej bądź dopuszczające zmianę tkaniny, dodatków, itp. A więc to, co zobaczymy w sklepach w II półroczu, może okazać się nie tylko dla nas, klientów, ale i dla handlowców niespodzianką — oby radosną.

Ze szczotką i gromnicą

Mimo trudności z zakupami, handlowcy, występujący często, dla zwiększenia siły przebicia, kolektywnie, podejmowali próby wpływania na zmianę asortymentu, naciskali producentów, domagając się produkcji takich wyrobów, jakich oczekują klienci. Dotyczyło to m. in. okryć, czyli mówiąc zwyczajnie — płaszczy i kurtek. Zaprezentowano ich sporo, w tym także wiele interesujących wzorów — wykonanych z wełny lub mieszanek wełnianych. Tymczasem, do Polski dotarła moda na noszenie przez cały rok okryć z tkanin bawełnianych, uzupełnianych w sezonie zimowym rozmaitymi cienkimi i lekkimi ocieplaczami. Tych nie było wcale. W zaopatrzeniu w bawełniane tkaniny okryciowe sytuacja jest katastrofalna. Na ostatniej giełdzie tkanin nie kupiono dla zakładów ani jednego metra. Niektórzy handlowcy, starając się zadowolić swoich klientów, podpisali jednak umowy, uzupełnione klauzulą, że sami dostarczą tkaninę zakładowi. Będzie to oczywiście materiał „zdjęty z rynku", czyli ten, który pierwotnie był przeznaczony do sprzedaży w sklepach z metrażem. Decyzja taka wydaje się słuszna, mimo że sklepy z materiałami zaopatrzone są bardzo ubogo, nikt bowiem nie uszyje w domu naprawdę ładnego i dobrego płaszcza. Przemysł kluczowy zaś zrobi to z pewnością lepiej niż prywatni wytwórcy zaopatrujący butiki, do których z reguły trafia, kupowana często spod lady, większość okryciowej bawełny i elanobawełny.

Dla porządku dodać należy, że płaszcze wełniane zostały również sprzedane, ale już w przyszłym roku czy nawet jesienią może okazać się, że zakłady będą miały trudności z ich zbyciem, podobne, jakie dotknęły obecnie przemysł obuwniczy: przy ilościowym nasyceniu rynku handel nie chce odbierać od producentów nieudanych wzorów obuwia i w niektórych zakładach magazyny wypełniły się po brzegi niechodliwym towarem.

MAŁA SPRAWA — DUŻA DYSKUSJA

Dały się zaobserwować również i inne przykłady, świadczące o tym, że choć do rynku konsumenta jeszcze nam daleko, to jednak handel powoli dochodzi do głosu i wszystkiego nie da już sobie wepchnąć. Na giełdach wiosennych kontraktowano także towary z grupy objętej zamówieniami rządowymi: bieliznę osobistą dla dorosłych i wyroby pończosznicze. Dzień przed oficjalnym otwarciem imprezy dokonano ich oceny jakościowej. Niestety, wypadła ona zdecydowanie negatywnie. Niektóre zakłady zaprezentowały wyroby-bible, marnując tym samym cenne, importowane surowce. Wycofano z kontraktacji 13 wzorów bielizny i pończoch pozostałe — także nie budzą entuzjazmu, choć wobec znacznego wygłodzenia rynku zostaną oczywiście sprzedane. Zakłady wykontraktowały na rok bieżący 68 mln sztuk bielizny dla dorosłych, tj. prawie tyle, ile wynosi zamówienie rządowe i o 24 proc. więcej od ubiegłorocznych dostaw. Z ocen handlu jednak wynika, że potrzeby w tej dziedzinie sięgają 144 mln sztuk. Niedobór będzie więc znaczny, tym większe gratulacje dla handlowców, że jednak bubli postanowili nie kupować.

Druga, liczna grupę towarową objętą zamówieniami rządowymi stanowiły środki czystości — mydła, proszki, itp. Trudności w zaopatrzeniu nie powinny w tej dziedzinie wystąpić, chociaż... umowy z zakładami nie są podpisane do tej pory. Wynika to z faktu, że producenci, czując się chyba zbyt pewnie, próbują narzucić przy realizacji umów swoje, niekorzystne dla odbiorców warunki: zwolnienie od konieczności atestacji wyrobów i od obowiązku oznaczania opakowań ceną. Z tą ostatnią, zdawałoby się marginalną sprawą, związana jest trwająca już wiele tygodni dyskusja. Proszki, mydła itp. produkty przeszły do grupy towarów, na które obowiązują ceny umowne. Warto więc, aby klient, kupując, wiedział przynajmniej, ile płaci i komu. Dotychczas ceny na opakowaniach jednostkowych umieszczał producent, obecnie obowiązek ten próbuje scedować na handel, który przecież nie ma do tego celu odpowiednich urządzeń. Przemysł je ma — ale znaczyć nie chce. Dlaczego? Bo nie i już. Konflikt urósł do takich rozmiarów, że potrzebne są rozstrzygnięcia „z góry".

Poprzez proszki i mydła doszliśmy do chemii. W jednej z dziedzin przemysłu chemicznego, nie najważniejszej może, ale przecież dość istotnej, zwłaszcza dla pań, osiągnięty został taki stan, że można już mówić o konkurencji między zakładami o poszukiwaniu klienta. Tę dziedzinę upodobały sobie przedsiębiorstwa polonijno-zagraniczne. Od wielu miesięcy we wszystkich większych miastach wybór perfum, kosmetyków, kolorowych wód kolońskich i dezodorantów jest spory. Prawda, że są one dość drogie, ale też z wyglądu znacznie bardziej atrakcyjne, a często również lepszej jakości od wyrobów zakładów państwowych. Te ostatnie dość ostro przystąpiły do walki o klienta, proponując sporo atrakcyjnych nowości. Na uwagę zasługuje zwłaszcza propozycja fabryki „Miraculum" — firmy, która nawet w najgłębszym kryzysie potrafiła zaproponować kobietom atrakcyjną nowość, nie tylko pokazując ją w targowej gablotce, ale również wkrótce potem w sklepach. Tym razem są to perłowe cienie do powiek w sztyfcie, w pięciu modnych kolorach (w tym najmodniejszy, choć nieco ekstrawagancki, różowy) oraz tzw. kremy brokatowe. Cena tego kosmetyku, który ukaże się w sklepach na początku II półrocza, nie przekroczy 300 zł, podczas gdy obecnie, w sklepie prywatnym małe pudełeczko kosztuje 900 zł. „Miraculum" produkowało również doskonałe kremy z serii „hipo", odpowiednie także dla osób cierpiących na schorzenia alergiczne i mogłoby produkować je nadal. Są surowce, są maszyny — ale z chwilą, gdy krem uzyskał złoty medal na międzynarodowej wystawie Incheba, skończyły się opakowania. Na razie więc linię do produkcji kremów wypożycza się firmie zagranicznej „Scanprodukt", która wyrabia tu kremy typu avocado.

KTO SIĘ BOI PRYWACIARZY

W tej właśnie firmie byłam świadkiem podpisywania umowy z przedstawicielką „Społem", reprezentującą duże, ponad 100-tysięczne miasto. Zamawiała ona... 200 pudełek kremu, tyleż dezodorantów i perfum. Z pewnością nie ujrzą ich klientki sklepów, bowiem jest to ilość, która z trudem wystarczy na pokrycie potrzeb ekspedientek, tym bardziej, że kosmetyki tej firmy, oprócz wysokiej jakości, odznaczają się bardzo umiarkowaną ceną. W minimalnym stopniu również zainteresowali się handlowcy farbami do włosów firmy Catz, produkowanymi na wypróbowanych szwedzkich licencjach. Być może odstraszająco działała tu dość wysoka cena — 600 zł za opakowanie. Ale — farby są towarem bardzo poszukiwanym i te z prywatnego importu sprzedawane w prywatnych sklepach, znikają natychmiast, chociaż przy ich cenach wartość przeliczeniowa marki NRD przekracza znacznie 200 zł.

Są to przykłady, jak w poczynaniach niektórych handlowców ciągle odbija się, wyniesione z lat minionych, przekonanie, że z sektorem prywatnym — krajowym i zagranicznym — handlować nie należy, a jeżeli, to bardzo ostrożnie. Efekty tego błędnego sposobu myślenia widoczne będą w sklepach w postaci braku wielu pożytecznych drobiazgów produkcji rzemieślniczej. Uczestniczący w „Wiośnie'84" rzemieślnicy pokazali tym razem wyjątkowo dużo ładnych, funkcjonalnych drobiazgów z dziedziny wyposażenia mieszkań, gospodarstwa domowego, zabawek, artykułów szkolnych (choć nadal oglądać można było również stoiska, przed którymi włos się jeżył, wypełnione krasnalami, talerzami z gipsu i inną, drogą i obrzydliwą tandetą). Podczas gdy przedstawiciele handlu z dużych aglomeracji miejskich od kilku już lat szeroko rozwijają współpracę z rzemiosłem, obecnie również z firmami polonijnymi, handlowcy z małych województw — mimo iż wielu towarów oferowanych przez rzemieślników brakuje w ich sklepach — ograniczają się tylko do oglądania i ewentualnych westchnień, że „to by się przydało".

Uczestniczący w giełdach przedstawiciele zrzeszeń producentów i handlowców, jak również Ministerstwa Handlu Wewnętrznego w czasie oficjalnych wystąpień dość zgodnie prezentowali opinię, którą w skrócie można wyrazić: dobrze nie jest, ale lepiej niż było, a w niektórych branżach już teraz podaż co najmniej równoważy popyt i handlowcy mają w czym wybierać, a nawet mogą wpływać na jakość, asortyment i cenę. Proszeni o podanie przykładów takich branż wszyscy niezależnie od siebie, wymieniali... szczotkarstwo. Rzeczywiście, spółdzielnie inwalidów niewidomych (oni bowiem są głównymi producentami szczotek) wystąpiły z bogatą ofertą, a i w sklepach tych wyrobów nie brakuje. W praktyce ujawnił się jeszcze jeden wyrób, z którym producent poszukiwał odbiorcy i deklarował chęć dostosowania się do jego życzeń.

Po boksach handlowców wędrowała pani — również ze spółdzielczości — z pękatą torbą i gromnicą w ręku, proponując bogaty asortyment świec. Tym sposobem co weselsi uczestnicy giełd próbowali spopularyzować hasło: inwalidzi w awangardzie gospodarki. Dowcip jednak wydaje się nie na miejscu.

TERESA JERZYKOWSKA

Foto: Tomasz Misiak

Wioska dziecięca prosi o głos

ROMAN KUBIAK

O wiosce dziecięcej w Biłgoraju pisano różnie. Najpierw — w końcu lat siedemdziesiątych — wyłącznie patetycznie, z dużym ładunkiem entuzjazmu i uznania dla twórców humanitarnej idei grupowego wychowywania sierot w rodzinach opiekuńczych. Później zainteresowanie wioską wygasło zupełnie. Początek lat osiemdziesiątych obfitował w inne, bardziej znaczące, wydarzenia, więc „duża sprawa" w małym Biłgoraju poszła w zapomnienie. Atoli z nastaniem roku 1984, tu i ówdzie pojawiły się głosy podważające zasadność kontynuowania — jak to określono — „eksperymentu na polskich dzieciach". Wioska dziecięca znalazła się pod obstrzałem psychologów, socjologów i felietonistów prasowych. Protestowano przeciwko *matriarchalnym metodom wychowawczym* które na dodatek wymagają, by przybrane matki wyrzekły się prawa do założenia własnej naturalnej rodziny. Padały określenia: „getto", „rezerwat", „inkubator".

Polemika wokół tematu sierot z Zamojszczyzny stopniowo obejmowała coraz szerszy krąg zagadnień. O nieszczere intencje posądzono nawet pewną, bliżej nie określoną, międzynarodową fundację opiekuńczo-wychowawczą, której zarzucono prowadzenie niezasadnych doświadczeń na naszych dzieciach.

Jechałem do Biłgoraja z przeświadczeniem, iż wkraczam oto do strefy działań amoralnych, niedwuznacznych i społecznie groźnych. Jechałem, by dowiedzieć się, że jestem jednym z nielicznych zainteresowanych, którzy odwiedzili to miejsce w ostatnim czasie i zechcieli zapoznać się z istotą problemu u jego źródeł.

Z BIEDY NA PIASKACH

Dotarcie do Biłgoraja może sprawić kłopot. Studiowanie rozkładów jazdy PKP i PKS potwierdza te przypuszczenia. Ale krajowi przewoźnicy — monopoliści mają na Zamojszczyźnie konkurenta w instytucji Spółdzielni Pracy „Autonaprawa", której wysłużone, beżowe Jelcze docierają do najbardziej zapadłych wiosek regionu. Takim właśnie „szalejącym gruchotem", przez słynny Szczebrzeszyn i malownicze osady, gdzie rolnicy niestrudzenie wznoszą mury nowych kościołów, jadę do celu wyprawy. Po drodze mijamy karawany furmanek, co przecież w targowy dzień nikogo tutaj nie dziwi.

Biłgoraj nie jest miastem atrakcyjnym. Sprawia wrażenie zapomnianej, sennej, prowincjonalnej mieściny. Zaopatrzenie marne, baza turystyczna uboga, a życie codzienne toczy się rytmem powolnym i nie zdradza skłonności do zmian. Lokalne władze z dumą i nadzieją prą w kierunku uprzemysłowienia ośrodka, mając w ambitnych planach wyrośnięcie na gospodarczego potentata województwa zamojskiego. Ot, typowe migawki z głębi nie kochanej „Polski B".

Teren, na którym zlokalizowano wioskę dziecięcą, potrafi wskazać każdy mieszkaniec miasta. Ludzie tam bywają, śledzą etapy prac i mówią po prostu: „nasza wioska".

Na drugim brzegu, czystej jeszcze rzeki Lady wyrosło osiedle jednorodzinnych domków. 15 budynków różni się od pozostałych śmielszymi rozwiązaniami architektonicznymi i okazalszym wyglądem zewnętrznym. Front każdego z nich zdobi bajecznie kolorowa mozaika. Parter jednopiętrowego domu zajmują: szatnia, łazienka, kuchnia, jadalnia, spiżarnia i duży pokój klubowy. Na piętrze pokoje mieszkalne: cztery dwuosobowe i jeden dla najmłodszego dziecka, sąsiadujący z sypialnią matki. Obok druga łazienka, pralnia, taras i balkony. Całość bardzo funkcjonalna, pięknie umeblowana i zagospodarowana. Pod oknami trawniki i ogródki, a także, z fantazją wykonane drewniane konstrukcje placy zabaw. Blisko ulicy usytuowano największy obiekt — centrum usługowe. Mieści on: magiel, pralnię, kotłownię, świetlicę, pokoje administracji i personelu.

Kompleks domów zajmuje 3,5-hektarowy, lekko pofałdowany, obszar. Nie jest on w żaden sposób wydzielony czy zamknięty. Na huśtawkach i w piaskownicach uwijają się malcy z sąsiedztwa. Alejkami spacerują dorośli.

Tak właśnie wygląda dziecięca wioska w Biłgoraju.

OBALANIE MITÓW

Mądre przysłowie mówi, że sukces ma wielu ojców, a niepowodzenie jest sierotą.

Triumfalny początek dzieła zakładania wioski wyniósł do rangi pomysłodawców kilku miejscowych notabli. Burzliwe czasy zarania ósmego dziesięciolecia, z lekka zatarły zasługi owych działaczy, a nazwiska ich poszły w zapomnienie. Dziś trudno już ustalić kto podsunął pomysł budowy ośrodka, a kto tylko do pomysłu się podczepił. Zresztą, miejscowy aktyw sądzi, że zamiar rozstrzasania tej kwestii nie jest szczęśliwy, ani tym bardziej celowy. Powiadają: „Żyjemy w określonych układach i nie mamy interesu w dociekaniu faktów nieistotnych".

Tak czy inaczej, idea zrodziła się w połowie lat siedemdziesiątych i nie miała nic wspólnego z obchodami Międzynarodowego Roku Dziecka (jak wówczas, w 1979 roku, sugerowano). Miała natomiast wiele wspólnego z autentycznymi potrzebami miasta. Na Zamojszczyźnie, gdzie pamięć o okrutnym losie, jaki zgotował tutejszym dzieciom hitlerowski okupant pozostaje ciągle żywa, troska o dobro sierot ma wymiar szczególny. Biłgoraj nie posiadał dotąd własnej placówki opiekuńczej dla dzieci pozbawionych rodzinnego ciepła. Na początku nieśmiało, potem bardziej energicznie, zabiegano u władz wojewódzkich o lokalizację sierocińca. Nim ją uzyskano, pojawił się pomysł czegoś większego, jedynego w Polsce — wioski dziecięcej. Rozpoczęto prace projektowe i przygotowawcze, gromadzono fundusze. Nadszedł rok 1979 i hasło: „Wszystkie dzieci są nasze". Dalej sprawy potoczyły się błyskawicznie. W kwietniu prezydium WRN w Zamościu przyjęło uchwałę powołującą Towarzystwo Przyjaciół Wioski Dziecięcej w Biłgoraju. W maju uroczyście wmurowano akt erekcyjny. Honorowy patronat nad działalnością Towarzystwa i budową wioski obejmuje Stanisława Gierkowa. Stop — potrzebne wyjaśnienie. Patronka odwiedziła Biłgoraj raz jeden — 29 sierpnia 1979 roku, towarzysząc swemu małżonkowi w gospodarskiej wizycie po terenach wschodnich. Nigdy potem kontaktu między *zainteresowanymi stronami nie* nawiązano, choć członkowie Towarzystwa bardzo liczyli na pomoc protektorki.

Nigdy też nie doszło do skutku — szumnie deklarowane — przejęcie przez Centrum Zdrowia Dziecka opieki zdrowotnej nad mieszkańcami wioski i ludnością Biłgoraja.

We wrześniu 1979 roku Polska zostaje członkiem Stowarzyszenia Wiosek Dziecięcych. Od tego momentu rozpoczyna się pasmo długotrwałych sporów, nieporozumień i mylnych opinii, co do trafności wyboru metod wychowawczych.

Wersja pierwotna, opracowana przez władze oświatowe i naukowców z Katedry Wychowania UMCS w Lublinie, postulowała, aby wychowaniem sierot zajęły się małżeństwa. Mogłyby one wprowadzić do nowej rodziny tylko dwoje własnych dzieci, traktując je, rzecz zrozumiała, na równych prawach z dziećmi adoptowanymi. Ponieważ koncepcja ta miała wyłącznie zwolenników, toteż szybko i sprawnie przeprowadzono rekrutację małżeństw, chcących zaopiekować się dziećmi na terenie wioski. Chętnych nie brakowało. Zgłaszali się ludzie z najodleglejszych zakątków kraju. A kiedy ten etap prac był już finalizowany, w Biłgoraju zjawili się Austriacy. Powołując się na umowę, jaką w 1979 roku zawarto między Ministerstwem Oświaty i Wychowania, a fundacją SOS Kinderdörfer, zarzucili oni stronie polskiej odstąpienie od wcześniej ustalonych zobowiązań. Protest dotyczył modelu rodziny opiekuńczej. Austriacy, którzy otaczają mecenatem ponad 200 wiosek dziecięcych na wszystkich kontynentach, realizują odmienny program wychowawczy. Twórca tego programu — profesor Herman Gmeiner, wymaga, aby opiekę nad sierotami sprawowały kobiety — przybrane matki. Dowodzi on, że tylko samotna kobieta potrafi poprowadzić dużą rodzinę zastępczą, która będzie trwała. Małżeństwa nie traktują przysposobionych dzieci na równi z własnymi, co w konsekwencji jest przyczyną negatywnych zmian w osobowości dziecka, konfliktów i rozbicia związków. Próby zakładania domów rodzinnych w oparciu o model: „matka plus ojciec", jakie miały miejsce w Austrii i Szwajcarii, zakończy-

ły się fiaskiem. W roku 1949, w Austrii, powołano do życia pierwszą wioskę dziecięcą prowadzoną przez kobiety. Idea prof. Gmeinera sprawdziła się. Obecnie w kraju tym funkcjonuje 9 takich wiosek, a w Republice Federalnej Niemiec 12. 35-letnia praktyka fundacji SOS pozwala twierdzić, że opisany model wychowawczy nie jest eksperymentem, lecz naukowo uzasadnioną koniecznością.

Polacy liczyli na większą stabilność naszych małżeństw, ale żadnych doświadczeń w tej mierze nie posiadali. Przeto wzorowano się na programie pedagogicznym realizowanym w dziecięcym miasteczku w Złotovcu (Czechosłowacja). Słowackie „detske mestecko", to jeden z czterech w świecie, autonomiczny ośrodek wychowawczy, kurczowo trzymający się koncepcji rodziny pełnej. Sami Słowacy przyznają, że ich działania mają wymiar eksperymentalny, a na pierwsze wyniki przyjdzie poczekać kilkanaście lat.

Veto Austriaków wobec polskiego programu opiekuńczego było zdecydowane. Sytuacja stawała się niezręczna, ponieważ goście partycypowali w kosztach budowy wioski. Nastąpił kilkumiesięczny okres wyczekiwań. W maju 1981 roku władze fundacji zaprosiły pięcioosobową delegację zamojskich pedagogów do odwiedzenia podobnych ośrodków działających w Austrii oraz „szkoły matek" zlokalizowanej nie opodal Monachium. Plonem wizyty było całkowite przekonanie co do słuszności wypracowanych na Zachodzie metod adopcyjnych. Władze oświatowe zaakceptowały zmianę pierwotnych założeń i rozpoczęły nową rekrutację matek.

ZAWÓD — MATKA

Samotnych kobiet jest w Polsce sporo. Wiele z nich marzy o założeniu rodziny. Chcą mieć normalny dom, męża, własne dzieci. Ile z nich zdecyduje poświęcić resztę życia wychowywaniu osieroconych istot? Kogo stać na taką ofiarę?

Po ogłoszeniu programu rekrutacyjnego, cały 1982 rok czekano na oferty od samotnych kobiet. Kandydatek zarejestrowano 259. Do szkolenia wstępnego zakwalifikowano 22 kobiety, a ostatni etap eliminacji pomyślnie przeszła dziewiątka ochotniczek. Ta grupa przyszłych mam dołączyła do turnusu kolonijnego w Szklarskiej Porębie, gdzie wypoczywali pensjonariusze domów dziecka. Pod dyskretną obserwacją psychologów i pedagogów, dokonywano naturalnego doboru opiekunek do dzieci.

W sierpniu 1983 roku, dziewięć domków w wiosce zostało zasiedlonych. Kobiety wychowują od trzech do pięciorga dzieci. Pozostałe sześć domków stoi na razie pustych.

Dyrektor Wioski Dziecięcej; pan Józef Cap, nie ukrywa, że kryteria selekcji matek są bardzo ostre. Co więcej, komisje kwalifikacyjne same roztaczają przed kandydatkami wizje niełatwego życia. Potrzeba bowiem stuprocentowej pewności, że kobiety te nie porzuca swego zajęcia, że nie opuszczą raz już osieroconych dzieci.

System rekrutacyjny jest wieloetapowy. Z niezwykłą skrupulatnością bada się predyspozycje i motywacje wszystkich zgłoszonych pań. Trzyosobowe komisje udają się nawet do miejsca zamieszkania kandydata, poznając ich środowisko domowe oraz zawodowe. Są też testy psychologiczno-osobowościowe i egzaminy z pedagogiki.

Zdaniem dyrektora wioski, pośpiech w doborze właściwych opiekunek jest złym doradcą. Odpowiedzialność wychowawcza wyznacza postępowanie ostrożne i systematyczne. Z tych to powodów, ostatnie sześć domków przyjmie lokatorów dopiero 1 maja br., kiedy druga grupa mam będzie gotowa do podjęcia pracy.

Kobiety, które zamieszkały w wiosce są zdecydowane pozostać tutaj na zawsze. Tu są ich dzieci, ich dom — cała przyszłość. Podjęły życiową decyzję i twierdzą, że postąpiły właściwie. Mają jakieś wewnętrzne posłannictwo, nad wyraz rozwinięty instynkt opiekuńczy. Trzeba było widzieć z jaką radością przygarniały 6-miesięczne, odtracone przez inne matki, niemowlęta. Są bardzo skromne, zapracowane. Nikt nie stosuje wobec tych kobiet ulgowej taryfy. Robią zakupy, piorą, sprzątają, gotują. Dzieci z wioski rosną na tym samym mleku i tym samym chlebie co ich rówieśnicy z dotkniętego kryzysem kraju. Żadnych przywilejów, żadnych protekcji! Dzienna stawka żywieniowa wynosi 125 zł — tak jak w państwowych placówkach opiekuńczych. Na odzież i obuwie, matka otrzymuje 16 tysięcy złotych rocznie. Zna więc bolączki i kłopoty każdej polskiej rodziny. Jeśli matka zachoruje, albo musi czasowo wyjechać, wtedy jej obowiązki przejmuje ciocia. Ciocia utrzymuje codzienny kontakt z rodziną. Pomaga w niektórych pracach, chodzi z dziećmi na spacery i z wolna pozyskuje ich sympatie. To bardzo ważne, by w pobliżu czuwała druga bliska osoba, na którą zawsze można liczyć i której dzieci ufają. Różnie przecież w życiu bywa.

Dzieci z Biłgoraja nie są szczególnymi wybrańcami losu — najlepszymi z najlepszych. Są przeciętne, może nawet trudniejsze. Kilkoro to faktyczne sieroty, dla pozostałych nie starczyło uczuć w sercach rodziców naturalnych. Po półrocznym pobycie w nowym otoczeniu zanikają u dzieci objawy nerwic i choroby sierocej.

Kłopoty też występują. Zwykłe wychowawcze kłopoty w szkole i w domu.

W rozmowach z mieszkankami wioski, jeden temat przysłania wszystkie inne. Jest to opowieść o dniu, kiedy dziecko pierwszy raz powiedziało: „mamo".

BEZ OJCA

Przedmiotem falowych krytyk i powodem niepokojów naszych pedagogów jest ta część modelu wychowawczego realizowanego w Biłgoraju, w której mężczyźnie pozostawia się marginalną rolę w procesie kształtowania osobowości dziecka. Słyszy się, że w dziecięcej wiosce króluje matriarchat, że kobiety zdominowały wszystkie funkcje wychowawcze, że wypaczają charaktery swoich podopiecznych.

Władze oświatowe, które zaakceptowały ten model, dostrzegają niebezpieczeństwa wynikające z braku naturalnych więzi ojcowskich w pewnym etapie rozwoju dziecka.

Niedopuszczalne jest całkowite odizolowanie wychowanków od wpływu wzorca męskiego na ich postawy. Życie wszelako nie rozpieszcza i silna ojcowska dłoń najlepiej do tego życia przygotowuje.

W wiosce są też mężczyźni. Pełnią oni rolę „zbiorowego ojca". Programowo przyjęto, że prawie wszystkie stanowiska administracyjno-usługowe piastują panowie. Zatrudnieni tutaj: dyrektor, pedagog wioski, lekarz, logopeda, a nawet magazynier, mają w zakresie swych obowiązków częste kontaktowanie się z dziećmi. Malcy mówią do nich: „wujku".

Czy to wystarczy? Doświadczeni Austriacy twierdzą, że tak, choć nie neguja, iż jest to najbardziej kontrowersyjny element programu wychowawczego.

SUBTELNIEJ!

W Biłgoraju mają żal. Do prasy, do radia, do tych, którzy sugerują „afere w dziecięcej wiosce".

Afery takiej nie ma, a multum sensacji jest po prostu wyssanych z palca domorosłych ekspertów od spraw młodego pokolenia. Najgorsze, że cała ta dyskusja toczy się z pominięciem głosu najważniejszego — głosu matek i kierownictwa wioski.

Kobiety wychowujące sieroty nie życzą sobie, by w ich obronie stawali prasowi felietoniści, żeby kreowano je na męczennice i samarytanki. Są świadome tego co czynią i w Biłgoraju pozostaną. Wszystkie inne nieporozumienia można wyjaśnić na miejscu. Dyrektor wioski nie ma żadnych tajemnic. Wolno pytać nawet o pieniądze. Prosze bardzo: koszt budowy i wyposażenia wioski — 170 milionów złotych, udział funduszy międzynarodowych — 40—50 proc. (1 mln dolarów).

Temat: „dziecięca wioska" zapewne na dłużej zagości w publikatorach. Będą spory, komentarze, oceny.

W Biłgoraju proszą tylko o rzetelność, umiar i więcej subtelności. Prosza w imieniu dzieci.

Zbliżająca się 60 rocznica reformy walutowej 1924 roku, stanowi okazję do zaprezentowania złożoności problmów, z którymi musiała się uporać odrodzona Polska. Reforma walutowa 1924 roku, kładąc kres szalejącej przez 5 lat inflacji, umożliwiła odbudowę systemu walutowego i stworzyła podstawy do rozwoju gospodarki młodego kraju.

NIM USTABILIZOWAŁY SIĘ GRANICE POLSKI

W ostatnich miesiącach 1918 roku narodziła się II Rzeczpospolita. W jej skład weszły najpierw Galicja, Królestwo i Śląsk Cieszyński. Granice uzgodniono z władzami czeskimi dopiero w końcu lutego 1919 roku. Z końcem grudnia 1918 roku wybucha Powstanie Wielkopolskie, w sierpniu 1919 roku pierwsze Powstanie Śląskie i równocześnie trwają walki pod Lwowem. 19 kwietnia 1919 roku wojska polskie zajmują Wilno. Wojna z Rosją Radziecką trwała aż do listopada 1920 roku. W lipcu 1920 roku odbył się plebiscyt na Warmii i Mazurach, w marcu 1921 roku plebiscyt na Górnym Śląsku, 3.V.1921 roku wybuch trzeciego Powstania Śląskiego. Dopiero w lipcu 1922 roku Polska objęła przyznane jej obszary Górnego Śląska, a w jesieni tegoż roku mocarstwa koalicyjne uznały granicę wschodnią Polski.

Wszystkie te wydarzenia nie sprzyjały stabilizacji gospodarki polskiej, a prowadzona wojna zwiększała wydatki państwowe finansowane poprzez zadłużenia skarbu państwa, przejawiające się w rosnącej nieustannie inflacji. Podobnie jak wydarzenia w polityce zagranicznej, tak i wewnętrzne problemy narastające z roku na rok nie sprzyjały stabilizacji waluty i stabilizacji gospodarki w ogólności.

Ogromny wysiłek podjęty przez państwo w zakresie finansowania odbudowy zniszczeń wojennych, aprowizacji ludności, budowy niezbędnych szlaków komunikacyjnych i tworzenia centralnego aparatu władzy, skłoniły rząd do pokrywania niedoborów w budżecie drukiem pieniędzy.

Proces inflacji w Polsce w latach 1918—1923 był w dużej mierze kontynuacją inflacji wojennej państw zaborczych.

W Rosji inflacja na większą skalę rozpoczęła się już w 1915 roku. W latach następnych następowało nasilenie inflacji. Dopiero w maju 1924 roku zdołano ustabilizować rubla na poziomie jednej pięćdziesięciomiliardowej rubla przedwojennego.

Znacznie ostrzej przebiegała w tym czasie inflacja w Niemczech, choć do 1920 roku nie mówiono tam o inflacji, lecz o zwyżce cen. W drugiej połowie 1923 roku, uznawanej za okres hiperinflacji, ceny co miesiąc wzrastały dziesięciokrotnie. Wprowadzona w końcu listopada 1923 roku Rentenmarka równała się 1 bilionowi starych marek.

WANDA SUŁKOWSKA

Inflacja 1918—1923

Najłagodniej proces inflacji przebiegał w Austrii, która dzięki międzynarodowej pomocy finansowej w 1924 roku przeprowadziła reformę waluty, emitując na miejsce koron szylingi w relacji 1 szyling = 10 tys. koron.

ODRODZONA RZECZPOSPOLITA PRZYJĘŁA WALUTY PAŃSTW ZABORCZYCH

znajdujące się w obiegu na ziemiach polskich i okupacyjny system walutowy.

Utworzona w kwietniu 1917 roku przez władze niemieckie Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa (PKKP) tylko z pozoru była instytucją polską. Marki polskie emitowane przez PKKP były podpisywane przez Szefa Administracji Cywilnej przy Generał-Gubernatorstwie w Warszawie. Stanowiły więc de facto walutę niemiecką. Nazwa „marka" miała według planów niemieckich dopomóc włączeniu „państwa" polskiego do niemieckiego obszaru walutowego. Natomiast polska nazwa instytucji miała wzbudzić zaufanie ludności polskiej do korzystania z pośrednictwa PKKP we wszelkiego rodzaju transakcjach. PKKP miała zasilać wojenną gospodarkę Niemiec i odciążyć Bank Rzeszy poprzez zmniejszenie obiegu marek niemieckich na terytorium okupowanym. Maksimum emisji PKKP wyznaczono na 1 mld marek polskich (mkp) zrównując markę polską i markę niemiecką na poziomie 216 marek za 100 rubli, którymi posługiwano się na terenie byłego Królestwa Polskiego.

W chwili przejęcia PKKP przez władze polskie, na terenach odrodzonego państwa polskiego panował nieprzebrany zamęt we wszelkich operacjach finansowych. Obok marek i rubli w użyciu znajdowały się bowiem ost-marki i ost-ruble, „karbowańce" i „krywne".

NIEUDANE PRÓBY REFORM

Pierwotnie zamierzano ujednolicić walutę przeprowadzając niezwłocznie jej reformę. Już w początkach 1919 roku rozpoczęto przygotowania do zasadniczej reformy pieniądza. W tym celu, w styczniu tegoż roku zamówiono w Paryżu potrzebny zapas nowych biletów o nazwie „złoty". Równocześnie, mając na uwadze bieżące potrzeby i pragnąc w jak najkrótszym czasie przeprowadzić całkowitą unifikację waluty, ówczesny minister skarbu J. Englich zaproponował stemplowanie marki polskiej. Przy tej okazji 50 proc. złożonych pieniędzy miało zatrzymać państwo w postaci 5-procentowej rocznej pożyczki.

Sejm zaakceptował ten projekt, lecz dymisja ministra Englicha uniemożliwiła jego realizację, gdyż jego następca S. Karpiński obawiał się technicznych trudności. Zaproponował natomiast wymianę marki na „złote" w relacji 3:1. Obywatele otrzymaliby 30 proc. w gotówce, a 70 proc. w pożyczce długoterminowej. Choć plan był pozornie prostszy, to okazał się niewykonalny ze względu na opóźnienia w druku banknotów. W tej sytuacji S. Karpiński zrezygnował ze stanowiska.

Brak poparcia dla innych projektów sprawił, że Sejm zdecydował się na unifikację wszystkich będących w obiegu biletów, pozostawiając marki polskie i nie likwidując PKKP, która w dalszym ciągu działała w oparciu o pierwotny statut ustanowiony przez niemieckie władze okupacyjne. Statut ten nie miał oczywiście na celu ochrony interesów polskich i dbałości o utrzymanie stałej wartości pieniądza, lecz zakładał finansowanie poprzez emisję rosnących wydatków wojennych. W efekcie przyjęcie przez władze polskie niemieckiego statutu nie mogło dać pożytecznych rezultatów.

Dekretem Naczelnika Państwa z 31 grudnia 1918 roku zaprzestano drukowania na markach polskich napisów głoszących równowartość z marką niemiecką. Stanowiło to próbę usamodzielnienia waluty polskiej, z drugiej jednak strony zlikwidowało oparcie na kruszcu złotym, jakie marka polska posiadała, będąc w pierwotnym związku z marką niemiecką. W ten sposób powstała całkowicie papierowa waluta.

OD INFLACJI DO HIPERINFLACJI

Pragnąc poprzez dodatkową emisję sfinansować rosnące wydatki państwa, zaczęto coraz częściej omijać uchwałę nakazującą, aby emisja biletów PKKP dla zasilenia Skarbu Państwa była zatwierdzana ustawą emisyjną i pożyczkową.

Ze względu na nieustannie malejącą siłę nabywczą wzrastającej ilości pieniądza, nastąpił gwałtowny zanik kredytu, a jego oprocentowanie w prywatnych bankach osiągnęło 500 proc. rocznie, a przy pożyczkach prywatnych nawet 1000 do 5000 proc.

W transakcjach prywatnych coraz szerzej zaczęto posługiwać się złotem i banknotami dolarowymi. Przyczyniła się do tego w pewnej mierze także rosnąca ilość i wartość przekazów pieniężnych napływających od emigrantów do rodzin w kraju.

Już w jesieni 1919 roku marka polska zaczęła tracić swą funkcję tezauryzacyjną, a także przestawała być miernikiem wartości. W końcu okresu inflacyjnego zdecydowano się nawet na waloryzownie wpłat w produktach, chcąc w ten sposób zabezpieczyć budżet przed stratami wynikającymi ze spadku marki.

Tymczasem kolejni ministrowie skarbu stosowali coraz to nowe formy opodatkowania zmierzające do zatrzymania druku pieniędzy. Już 29 stycznia 1919 roku Jerzy Englich wprowadził jednorazową daninę od nieruchomości i majątku w kapitale, a w tydzień później (5 lutego) został nałożony podatek majątkowy, którego przeciętna wartość obrotowa przekraczała 10 tys. marek polskich. Ponadto ustalono podatek od zysków wojennych. Jan Kanty Steczkowski wprowadził podatek dochodowy i majątkowy oraz 3 proc. pożyczkę przymusową. Dodatkowo był egzekwowany wprowadzony wcześniej przez Wł. Grabskiego podatek od dochodu z kapitału i rent, a w czasie wojny z Rosją Radziecką na terenach byłego Królestwa Polskiego podwyższono podatek gruntowy. Z chwilą przejęcia urzędu przez Jerzego Michalskiego 3 proc. pożyczkę przymusową zastąpiono nadzwyczajną daniną państwową oraz podatkiem wojennym od wzbogacenia. Rozbieżność poglądów poszczególnych stronnictw spowodowała, iż uchwała na ten temat została przyjęta dopiero 16 grudnia 1921 roku, a deprecjacja marki w ciągu trzech miesięcy zniszczyła całą wartość tej daniny, z powodu niewaloryzowania jej w porę. Dodatkowo wysokość daniny okazała się zbyt mała, by powstrzymać inflację, a ponadto, jej część wpłacono z udzielonych poprzednio podatnikom kredytów. Wspomniany już brak zabezpieczenia daniny przed spadkiem marki polskiej zniweczył zamierzenia ministra J. Michalskiego.

Oceniając negatywnie podejmowane przez kolejnych ministrów próby uzdrowienia waluty nie należy zapominać o warunkach w jakich przyszło im działać. Każda próba wyegzekwowania należności podatkowych spotykała się z dużym oporem ze strony sfer przemysłowych i ziemiaństwa, które posiadały największą zdolność płatniczą. Dodatkowo poprzez swe wpływy, czy też osobiście na forum Sejmu przedstawiciele tych warstw atakowali każde niekorzystne dla siebie posunięcie ministra Skarbu. Równocześnie poprzez wielorakie machinacje, uchylanie się od płatności, bądź też odkładanie ich na terminy późniejsze, w sytuacji niezwaloryzowanych podatków, przy nasilającej się inflacji, osiągali korzyści, pozbawiając ich tym samym państwa.

Drugim obok podatków źródłem pokrywania niedoborów budżetowych były operacje kredytowe w postaci emisji obligacji i pożyczek wewnętrznych. Z początkiem 1920 roku rozpisano dwie tego typu pożyczki, pierwszą z 5-letnim, drugą z 45-letnim terminem spłaty, oprocentowane na 5 proc. rocznie. W lipcu tegoż roku uchwalono także 3 proc. pożyczkę w postaci renty państwowej, zaś we wrześniu 1922 roku Sejm uchwalił ustawę o 8 proc. pożyczce złotowej z 25-letnim terminem spłaty. Z kolei 22 marca 1923 roku z inicjatywy Władysława Grabskiego zostały wypuszczone 6-miesięczne oprocentowane bony skarbowe.

Jednakże ani podatki, ani pożyczki nie były w stanie sfinansować rosnących wydatków skarbu; powiększano więc nieustannie emisję papierowych marek polskich.

Emisja rosła jednak szybciej niż deficyt budżetowy. Pokrywała ona obok wydatków rządu także kredyty udzielane przez banki państwowe na cele gospodarcze, a częściowo i skup walut obcych oraz złota, jako podkładu dla przyszłej, zreformowanej waluty.

Finansowanie budżetu poprzez nadmierną emisję było możliwe dzięki powstawaniu tzw. podatku inflacyjnego (opłacenie siły roboczej pieniędzmi o stale spadającej sile nabywczej). W ocenie Edwarda Taylora, wybitnego znawcy tego okresu, dochody państwa z tego tytułu stanowiły w przeliczeniu kwotę równą 630 mln dolarów. Skarb czerpał dochody także ze spłaty pożyczek wewnętrznych, niezwaloryzowanymi markami polskimi o szybko spadającej sile nabywczej. W efekcie takiego działania zyski z inflacji przewyższały deficyty budżetowe.

Zaledwie nieznaczną część tej nadwyżki równą 5 mln dolarów zużyła PKKP na zakup dewiz i walut obcych, natomiast zdecydowaną większość pochłonęły straty z niezwaloryzowanych kredytów.

Narastanie hiperinflacji likwidowało jednak stopniowo wszelkie zyski z tytułu premii inflacyjnej. Pogłębiło się to jeszcze z chwilą waloryzacji podatków w kwietniu 1923 roku. W efekcie, mimo nominalnego wzrostu obiegu, z upływem czasu coraz bardziej pogłębiało się zjawisko tzw. „deflacji absolutnej", polegającej na kurczeniu się wartości emisji. Przy rozwijającej się gospodarce musiało to doprowadzić do coraz szerszego posługiwania walutami obcymi, dewizowymi. Obok omówionego „inflacjonizmu gospodarczego" wystąpił, używając określeń E. Taylora, „inflacjonizm moralny" i „polityczny".

Skutkiem inflacji wielkość majątku narodowego nie zmieniła się (w 1924 roku, podobnie jak w 1918 roku, stanowiła 80 proc. stanu przedwojennego). Jednak w normalnych warunkach majątek ten winien był wzrosnąć według Taylora o około 6,5 mld franków szwajcarskich. Dodatkowo wzrosły ujemne pozycje bilansu majątkowego o około 1,285 mln franków szwajcarskich oraz wykorzystano kapitał płynący od obywateli polskich z zagranicy w łącznej wysokości 2100 mln franków szwajcarskich. Na podstawie powyższych danych Taylor ustalił wielkość strat inflacyjnych na poziomie 100 mln franków szwajcarskich, co stanowiło 1/8 — 1/7 części majątku przedwojennego (zależnie czy określi się majątek na 80 czy 66 mln franków szwajcarskich).

PO WYPŁATĘ Z WALIZKĄ

W listopadzie 1918 roku władze polskie przejęły system pieniądza papierowego oraz obieg 5,3 razy większy w stosunku do przedwojennego. W okresie do marca 1924 roku obieg pieniężny zwiększył się 387 496 razy w stosunku do przedwojennego, a minimalny indeks cen hurtowych wynosił w marcu 1924 roku 2,4 mln (1914=1), a więc tylokrotny był spadek siły nabywczej pieniądza. Wielkość obiegu marek w końcu czerwca 1923 roku równała się 3566 miliardów, miesiąc później 4478 mld, a w końcu sierpnia osiągnęła już 6971 mld. W ostatnich miesiącach 1923 roku emisja nabrała szalonego rozpędu, przechodząc w stan hiperinflacji — osiągnęła poziom 1,5 bilionów marek polskich.

27 kwietnia 1924 roku w chwili likwidacji PKKP w obiegu znajdowało się 570 milionów mkp.

Równocześnie, nieustannie wzrastał kurs dolara. W styczniu 1923 roku wynosił mniej więcej 35 tys. mkp, w kwietniu — 46 tys. mkp, w końcu sierpnia — 249 tys., w końcu października — 1,7 mln, a w grudniu przekroczył 9 mln marek za 1 dolara.

Pogarszająca się z dnia na dzień sytuacja gospodarcza i walutowa wywołała popłoch w Sejmie. Narastająca hiperinflacja zlikwidowała bowiem premie walutową, którą otrzymywali eksporterzy towarów polskich. Wejście w stan hiperinflacji sygnalizowało zbliżanie się ogólnego bankructwa i zmuszało do przyspieszenia reformy.

W tej sytuacji Sejm zdecydował się na przekazanie specjalnych pełnomocnictw Rządowi. Utworzony 19 grudnia 1923 roku gabinet Władysława Grabskiego, w którym obok funkcji premiera przyjął on także teke ministra skarbu, miał w ciągu sześciu miesięcy założyć nowy bank emisyjny i dokonać konwersji marek na nowe emitowane złote

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

OPINIE NA TEMAT PRASY

Jedną z nich, opartą na antytezie, podaje głośny swego czasu historyk kultury i socjolog Ernst Löbl (Kultura i prasa. Warszawa 1905), drugą czerpiemy z „Myśli i zdań moralnych i filozoficznych" Ignacego Krasickiego (Wilno 1928). Obydwie nie straciły do dziś na aktualności.

Prasa, istotny czynnik intelektualnego życia, niewyczerpane źródło zasobów ducha, która zarazem i na wyżyny i na bezdroża prowadzi, jest błogosławieństwem i klątwą wieku, puklerzem prawdy i orędownikiem kłamstwa, czynnikiem tężyzny moralnej i zwierciadłem głupstwa. (Loebl).

Przywara pism periodycznych w powszechności ta jest teraz, iż ich nadto, a przeto po większej części jedne drugich są potwórzeniem. Druga przywara nierzetelność, kiedy piszący nie tak rzeczy opowiadają, jak są w istocie, czyli to przez lenistwo, czyli przez niecierpliwość. Trzecia, względy szczególne, czyli do pochwał, czyli do nagany (Krasicki).

Z RODOWODU PRZYJAŹNI

Piękny wiersz Mickiewicza „Do przyjaciół Moskali" przez wiele lat nie znajdował w naszej literaturze poetyckiej kontynuacji. Dopiero po klęsce powstania styczniowego inny poeta, Władysław Tarnowski (1844—1878), piszący pod pseudonimem Ernest Buława, opublikował w tomiku „Piołuny" (Drezno 1869) godny ponownego odczytania wiersz „Do przyjaciela Moskala", dedyktowany jakiemuś bliżej nie znanemu orędownikowi sprawy polskiej. Może był to Aleksander Hercen, a może Michał Bakunin, a może po prostu inny Rosjanin, z godnością noszący swój „wieniec cierniowy" za niesienie pomocy prześladowanym przez carat pobratymcom

W tobiem poznał, ocenił, ukochał człowieka,
Niechże wszelka nienawiść będzie mnie daleka.
Płaczesz nad dolą Polski, naród mój miłujesz,
Więc masz wieniec cierniowy i swą drogę czujesz.
Gdziekolwiek byś ofiarę mógł wydrzeć z rąk kata,
Wiem, że byś ją ocalił! Więc masz serce brata...

CZYM JEST LITERATURA?

Literatura — wyraz obcy, po polsku: psucie papieru dla powiększania ilości druków, których nikt nie czyta chyba że w drukach tych znajduje się opis, w jaki sposób Józef po wielu przeszkodach posiadł Petronelę. Literaci, umiejący o tym przyjemnie i zajmująco opowiadać, więcej są cenieni, niż ci, co chcą uczyć, poprawiać ludzi, rozjaśniać w głowie lub ci, co każą myśleć i pracować dla dobra ogólnego. Coraz mniej jest literatów, piszących prawdę, w czym nie ma nic dziwnego, gdyż w ogóle jest coraz mniej ludzi pragnących umrzeć z głodu lub znosić prześladowania.

K. Bartoszewicz, Słownik prawdy i zdrowego rozsądku. Warszawa 1905.

PORZĄDEK LEKTURY

Taki oto „Porządek lektury dla dorastających panienek" proponował krakowski „Bocian" A. D. 1906:

Kochanowski, Naruszewicz, Korzeniowski Stojałowski, Rodziewiczówna.

IGRASZKI POETYCKIE

Pewnego razu trzej młodzi literaci: Władysław Syrokomla, Wacław Przybylski i Julian Horain wybrali się do Nowogródka. Krnąbrna klacz o dziwacznym imieniu Mamuza, szarpnęła w pewnym momencie podróżną bryką, że pojazd uległ uszkodzeniu. Skazani na przymusową bezczynność podróżni skracali sobie czas jak mogli. Syrokomla, znalazłszy gdzieś szkolną tablicę, podzielił ją kredą na dwie części i na jednej z nich napisał wiersz, drugą zostawiając przyjaciołom na wierszowaną odpowiedź. I tak powstały następujące wiersze:

O BRYCE
Gwałtu, ratujcie, o wielcy bogowie!
Powiedz, Mamuzo, skąd ci to ochota
Dać się kierować roztrzepanej głowie,
I złamać bryczkę o wrota?

O, piękne panie, o wróżki tych krain!
Wasza to wina i wasza to łaska,
Że zagapiony do okna heroin
Karetę łamie i trzaska.

Płochy woźnico a hój się ty Boga!
Wiesz kogo wieziesz? wszak to wieszcz nad wieszcze
Dzisiaj miał zwiedzać mogił Mendoga
Wieczorem jeszcze.

Siedzi poeta w rozpaczy i złości,
Musi się cofnąć we słodkim zamiarze —
Czekaj, woźnico, jest sąd potomności,
Apollo kięczeć ci każe.

Odpowiedź była następująca:

Stój, stój o wieszczu! wstrzymaj się w zapędzie
I zbyt pochlebną nie ciesz się nadzieją —
Muzy po tobie łezki nie wyleją,
Apollo smacznie spać będzie.

Dopókiś śpiewał gawędy, wybryki,
Póty Bóg lutni zwał cię swoim synem
I skronie twoje ozdabiał wawrzynem,
Pókiś nie dotknął mej bryki.

Dziś gdy opiewasz tak błahy wypadek,
Jakim jest bryki złamanie,
Takimi rymy Apollo, mój panie...

Syrokomla śmiejąc się zmazał ostatni wiersz z tablicy, wszelako domniemywać można, iż zakończenie brzmiało następująco:
Podcierał pewnie swój zadek.

NEKROLOG PCHŁY AKTORKI

„Humorysta Warszawski" z r. 1839 (nr 11) przytacza zabawne ogłoszenie o śmierci pchły aktorki:

Donosiemy szanownym czytelnikom, że pchła, która w teatrze pana Bertoleto pierwsze role grywała, pokłóciwszy się z dyrektorem, że nie chciał jej nowego sprawić ubioru, z rozpaczy utopiła się w kieliszku wina szampańskiego, zostawiwszy w głębokim smutku męża dzieci, jego przyjaciół i licznych wielbicieli.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Blaszany bębenek

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

1.

W ćwierćwiecze od ukazania się niemieckiego oryginału mamy wreszcie polski przekład „Blaszanego bębenka" („Die Blechtrommel") w tłumaczeniu Sławomira Błauta. Najsłynniejsza powieść Güntera Grassa należy do najgłośniejszych dzieł literackich powojennej Europy.

Grass, urodzony w 1927 roku w Gdańsku, pochodzi z mieszanej polsko-niemieckiej rodziny. Wiele elementów jego twórczości posiada quasi — autobiograficzny charakter. W „Blaszanym bębenku" będą to między innymi takie realia, jak sklep kolonialny rodziców narratora, terminowanie w zawodzie kamieniarskim, nauka rzeźby, studia artystyczne w Düsseldorfie. Günter Grass jest laureatem licznych nagród, spośród których wymieńmy nagrodę krytyków, międzynarodową nagrodę „Le meilleur livre étranger", zachodnioberlińską nagrodę im. Teodora Fontane, nagrody im. Georga Büchnera oraz Teodora Heussa, a także medal Carla von Ossietzky'ego.

2.

Aby oddać w zwięzłej formule artystyczny sens Blaszanego bębenka" rzec trzeba, iż jest to powieść osadzona głęboko w tradycji literackiej, a jednocześnie niezwykle oryginalna. W takim sformułowaniu nie ma sprzeczności. Zapobiegł jej talent Grassa. Tradycję wyznacza tu przede wszystkim groteska (Rabelais), wyznaczają ją również mocne akcenty naturalistyczne. Epickiemu rozmachowi towarzyszy często liryzm, ba, nawet specyficzna płaczliwość. Oryginalność tej powieści zasadza się natomiast na tym, co nazwałbym — umownie — wykorzystaniem warsztatu rzeźbiarza w tworzywie literackim. Pióro przekształca się jakby w dłuto. Pod naporem różnych sił cyzeluje dzieło. Stąd powracające motywy, epizody. Stąd charakterystyczne powtórzenia, stąd porwana narracja, stąd postrzępione fragmenty, przypominające systematyczne uderzenia rzeźbiarskiego młotka, żeby z opornej materii wydobyć każde załamanie linii, każdą krzywiznę, każdą wypukłość.

3.

Siła powieści Güntera Grassa tkwi w jej „wściekłości". Nie oszczędza ona nikogo i niczego. Atakuje cały świat. Jego urządzenie. Jego mieszkańców. Dla narratora nie istnieje żadne tabu. Nie istnieje żadna świętość, choć za nią mniej lub bardziej świadomie tęskni.

Ma ta powieść walor historyczny, konkretny. Jej czas wyznaczają lata 1924 –1954. Konkretowi bez przerwy towarzyszy wszakże metafora. Osadzeniu w historii towarzyszy dowolność jej interpretacji.

Urodzony w 1924 roku Oskar, nie mający pewności, kto jest jego ojcem: Alfred Matzerath czy Jan Broński, w pozostałych kwestiach przejawia zadziwiającą pewność siebie i znajomość rzeczy. Na znak protestu przeciwko światu zastygł w pozie trzylatka. Widomym tego znakiem jest wzrost: Oskar mierzy dziewięćdziesiąt cztery centymetry, (o trzydzieści centymetrów podrośnie dopiero po wojnie). Postawa garbatego karła, gnoma, to postawa błazeńska, złośliwa. Przy czym karzeł Oskar stara się być sprawiedliwy: jego złośliwość nie zna wyjątków.

Na trzecie, przełomowe w jego życiu urodziny otrzymał Oskar blaszany bębenek. Ów najważniejszy w powieści — tytułowy - symbol posiada z pewnością wiele znaczeń. Rolę Oskara można rozumieć jako wniosek: wszyscy oni do Oskara po prostu nie dorośli.

Oskar jest bezlitosny. Bez mrugnięcia okiem przeprowadza tezę, iż każdy człowiek podatny jest na zło. Różnica sprowadza się wyłącznie do kwestii wyrzutów sumienia. Jego demaskatorskie zmysły idą dalej: pokazuje od tyłu hitlerowską trybunę. A potem wyszydza umiejętność przyznawania się wielu rodaków do „ruchu oporu". Robi to w taki sposób, że warto zacytować: *„Określenie to niesłychanie weszło w modę. Mówi się o duchu oporu, o kręgach oporu. Podobno opór można nawet uwewnętrznić, nazywa się to wtedy. emigracja wewnętrzna. Nie wspominając już wcale o tych biblijnie niezłomnych ludziach honoru, którym podczas wojny za niedbale zaciemnione okno w sypialni komendant obrony przeciwlotniczej wlepił karę i którzy teraz podają się za bojowników ruchu oporu, za ludzi oporu".* Pokazuje wreszcie wędrówkę światopoglądową i przestrzega przed akcesem do idei, której podstawę stanowi garb. Kpi z karierowiczostwa, przytaczając wypowiedź innego karła, mistrza Bebry: — *„Nigdy nie stawaj przed trybuną. Tacy jak my muszą znaleźć się na trybunie!"* Naśladując ćwierćinteligentów sporządza sobie „Księgę mądrości" złożoną z przypadkowo powyrywanych, przemieszanych i powtórnie naklejonych stronic książki o Rasputinie.

Jaskrawą krytyką powojennych postaw jest pomysł z „Piwnicą Pod Cebulą", gdzie można zamówić u kelnera równiutko pokrajaną cebulę i do woli nad nią się wypłakać. Do wspomnianej piwnicy uczęszczają tłumy. W ten bowiem sposób obywatele fundują sobie łatwe i bezbolesne katharsis.

4.

Polskiego czytelnika porusza stosunek narratora do Polski. Jest on sentymentalny i dość stereotypowy. Szlachetny, rycerski Don Kichot z ozdobioną biało-czerwonym proporczykiem lancą cwałuje borem lasem, nawołując do ucałowania dłoni śmierci — jakby była kobietą. Obraz „zabłąkanych w umieranie rycerzy" do złudzenia przypomina słynne „Polenlieder", jakie po upadku powstania listopadowego pisywali poeci niemieccy. Skojarzenie takie wywołuje ogromna doza patosu zawarta w inwokacjach Güntera Grassa.

Wyraża się w nich swoista tęsknota, wyraża się w nich zawiłość historii, wyraża się w nich romantyzm: *„I szukam ziemi Polaków, która zginęła, która jeszcze nie zginęła. Inni mówią omal nie zginęła, już zginęła, znowu zginęła. W tym kraju szuka się ostatnio ziemi Polaków przy pomocy kredytów, Leiki, kompasu, radaru, różdżek i delegatów, humanizmu, przywódców opozycji i ziomkostw przechowujących w naftalinie ludowe stroje. Podczas gdy w tym kraju szuka się ziemi Polaków duszą — na pół z Szopenem, na pół z zemstą w sercu — podczas gdy oni tutaj potępiają cztery rozbiory i planują już piąty rozbiór Polski, latają do Warszawy Air France'em i z ubolewaniem składają wianuszek w tym miejscu, gdzie kiedyś było getto, podczas gdy stąd będzie się szukać ziemi Polaków rakietami, ja szukam Polski na moim bębenku i bębnię: zginęła, jeszcze nie zginęła, znów zginęła, przez kogo zginęła, omal nie zginęła, już zginęła, Polska zginęła, wszystko zginęło, jeszcze Polska nie zginęła".*

W „Blaszanym bębenku" złożony został hołd obrońcom Poczty Polskiej w Gdańsku. Naturalny ojciec Oskara, Jan Broński, jako pracownik tej placówki uczestniczy w jej obronie. Wraz z nim znalazł się tam Oskar. Jego relacja wyraźnie akcentuje bohaterstwo znajdujących się w beznadziejnej sytuacji obrońców.

5.

Warto zwrócić uwagę na niektóre aluzje literackie zawarte w powieści Grassa. Najistotniejsza z nich wskazuje na oczywistą parantelę Oskara ze znanym z „Hamleta" błaznem Yorickiem. To Yorick zdaje się być protoplastą Oskara, a nie babka Anna Brońska, ani dziadek Józef Koljaczek. — *„Jak do tego doszło. Reszta jest milczeniem"* — zdaje się powtarzać Oskar w tych niełatwych chwilach, w których nawet magiczny blaszano-drewniany sprzęt go zawodzi.

Inny charakter posiada *parodia mitu Odysa*, który sprowadzony zostaje do absurdu w warunkach drugiej wojny światowej (bezpośredniego wzorca dostarczył zapewne „Ulisses" Jamesa Joyce'a).

I wreszcie zapożyczony od Dantego motyw „piekła", z którego nasz bohater usiłuje wydostać się przy pomocy ruchomych schodów paryskiego metra. Bez skutku. Towarzyszący mu agenci policji dostarczają Oskara do zakładu dla nerwowo chorych (i tam snuje on opowieść, którą właśnie czytamy).

6.

Oskar opanowany jest dążeniem, które według Carla Gustava Junga manifestuje się chęcią powrotu do łona. Nie jest to możliwe: pępowina została już przecięta, samo zaś łono w powieści Güntera Grassa służy zupełnie innym celom.

Możliwe okazało się jedynie zatrzymanie się w rozwoju fizycznym, bo tylko taka sytuacja pozwoliła Oskarowi niejako „współgrać" z „niedojrzałą" kulturą europejską, tylko ona „rozgrzeszała" go z chaotycznego traktowania życia i historii.

Odizolowany Oskar — ten współczesny Yorick — dedykuje swą opowieść *„wszystkim, którzy poza murami (...) zakładu musicie wieść zawikłane życie"* i wyraża zachętę, aby raz jeszcze wszystko przemyśleć.

Niezwykle chętnie udajemy Hamletów. Dobrze, że ktoś zechciał być Yorickiem!

7.

Günter Grass: *„Można stwierdzić (...), że w obecnej dobie napisanie powieści jest niepodobieństwem, potem jednak, niejako za swoimi plecami, przedłożyć znakomite czytadło, aby w rezultacie uchodzić za ostatniego z powieściopisarzy, któremu jeszcze się udało".*

Tadeusz Błażejewski

Fraszka na pisarza M. S.

z żywych kamieni korytarz gotycki
w pamięć zapada jak sztuczne ruiny
kuklę nim wiodą na artystów przetarg
przyprawią gębę dziwną zrobią minę

pakiet pandory otworzyć się wzbraniał
kto nigdy oknem nie wygląda białym
komu ulicy obce były maski
i komu fanty na nic się nie zdały

moloch poraża bezbronne istoty
gwałt im zadaje nie bacząc na litość
a domiar złego spustoszenie czyni
tak zapadają czytelnicy w nicość — — —

Marek Obarski

Sen o zimorodku

Wczesny zmrok
nad leszczynową głębią
i w rozwidleniu źródła.

Zerknąłem w dół.

Sen o zimorodku
iścił się —
aż do skupienia
widnokręgu.

Pojmane źrenice

Myślałem o jaskółce.

Ze szczerby przejrzystej
u kresu podróży,
z wnyków błękitnych,
siedl zupełnych
widnokręgu, sterty
cienistej, przydrożnej
i mojego cienia —
uwolni, ja wiem
pojmane źrenice

Pamięci ojca

. . .

W jej białych dłoniach
wrzeciono widnokręgu
pustkowie śnieżne

. . .

I ja podążę
za tobą chory ojcze
drogą siwizny

. . .

Gołąb za oknem
świeca smali siwiznę
a w sieni wnuczka...

23 maja 1983

Od autora: W przedpołudnie majowe spieszyłem do mieszkania rodziców, by pokazać ciężko choremu ojcu siedmiomiesięczną wnuczkę Arnikę której nie oglądał przez kilka tygodni. Wniosłem po schodach wózek z gaworzącą córeczką i ujrzałem na drzwiach naklejoną kartkę napisaną ręką matki. Domyśliłem się, że ojciec umarł. Mimo to przekręciłem klucz. Córeczkę zostawiłem w sieni...

Bolesław Wojewódzki

Pamięci matki

ty
która idąc przez życie
kaleczyłaś stopy
łzy ocierając
zamarzłe w sople
kiedy czas wieńczył obolałą głowę
srebrną aureolą
a serca stuk każdy
topór mi rąbał na drzazgi
rwał tętno rozrywał płuca
niszcząc siły nadludzkie
i zawsze po nieprzespanych nocach
różowym szalem brzasków ocierałaś oczy
wierząc że wytrwasz jak Nike
matko moja niezwykła

Więc studnie skromne, zdobne studnie...

Jak długo jeszcze „pożyje" Akropol?

Wenecja tonie i gnije.

Mury i rzeźby katedry w Kolonii toczy rak wywołany zanieczyszczeniem powietrza.

To samo dzieje się z katedrą w Mediolanie i z wieloma innymi, starymi budowlami i pomnikami w wielkich miejskich aglomeracjach.

Kamień, który przetrwał stulecia rozpada się na naszych oczach.

Są obszary bogate w zabytki, gdzie pojęcie ich ochrony i konserwacji jest praktycznie nieznane lub czysto teoretyczne.

Nie tak dawno na Angkor Wat spadły pociski artyleryjskie.

Z włoskich kościołów wciąż i wciąż giną obrazy, rzeźby i naczynia liturgiczne, aby trafić do prywatnych kolekcji.

Z polskich też giną...

Zabytki i dzieła sztuki to kłopotliwe problemy.

Walą się, rozpadają, butwieją, łuszczą się, są kradzione, niszczone, sprzedawane na czarnych rynkach całego świata. Na zachodzie i wschodzie.

Tak, zabytki to kłopotliwe problemy i wstydliwe dla ludzi cywilizowanych i kulturalnych. Nie na tyle jednak wstydliwe, aby znajdowano odpowiednie środki na ich rozwiązanie.

Lepiej się wstydzić, niż płacić.

Często zresztą nie ma z czego płacić, kiedy indziej jest z czego, ale uznaje się inne priorytety.

Codziennie, co godzina na świecie ulega zniszczeniu jakaś stara budowla, jakiś obraz, jakaś chata drewniana, jakiś przedmiot dawnego rzemiosła. Gdzieś coś się rozsypuje. Jakiś kielich misternej roboty, złoty lub srebrny, zostaje przetopiony na złom. Jakiś obraz zostaje wycięty z ram. Palą się jakieś stare manuskrypty...

Codziennie świat staje się uboższy o jakąś niepowtarzalną wartość. Niepowtarzalną.

Prowadzi się statystyki, ile w ciągu minuty rodzi się i umiera ludzi na świecie w poszczególnych krajach.

A czy ktoś próbował policzyć, ile w ciągu minuty umiera na świecie dzieł sztuki, architektury, rzemiosła?

Skąd ta histeria? To nie histeria a smutek. Wielki smutek człowieka, który jest tak dalece głupi i tak dalece pozbawiony wyobraźni, że nie wyobraża sobie świata bez krzywej wieży w Pizie, bez Wenecji i Akropolu, bez drewnianych wiatraków... I który wie zarazem, że bez tych wszystkich rzeczy świat będzie znakomicie istniał dalej.

Słyszę te głosy: kryzysy, reformy gospodarcze, brak ścierwa i przyodziewku, a ten o Wenecji i drewnianych wiatrakach pieprzy. Ano tak Natura-Matka ludzi podzieliła, że jedni pieprzą o tym, a inni o innym.

Jedni patrzą końca swego nosa zaledwie — i to już jest dla nich perspektywa odległa. Inni zastanawiają się, co też zostanie na tym świecie dla ich prawnuków — i to jest dla nich perspektywa nie najodleglejsza. Ci pierwsi są głupcami, którym zniszczenie kilku dworków polskich, rozsypanie się jakiejś tam katedry, albo wycięcie nożem Rafaela z ram przez jakiegoś złodzieja, nie uczyni żadnej krzywdy. Ci drudzy chcieliby zachować wszystkie stare rzeczy, i te wielkie, i te małe, bowiem ich zniszczenie odczuwają jako kradzież na ich własnym mieniu i mieniu ich prawnuków. Jako krzywdę osobistą. To są fantaści, którzy też są głupcami — albowiem musi zginąć coś, by coś się mogło narodzić.

Czy naprawdę?

A z jakiego powodu te wszystkie truizmy? To całe pieprzenie o tonącej Wenecji, zżeranych rakiem katedrach i odchodzących wiatrakach? Po prostu — z powodu łódzkich studni.

— Czego?

— Łódzkich studni.

— Ale to wariat, ten Grun! Chłopu się na stare lata wszystko, do imentu, popieprzyło...

— Niezupełnie.

Album nosi tytuł „Panna Studzianna". Autorami są: poeta i plastyk. Wydany został przez Krajową Agencję Wydawniczą i Muzeum Historii Miasta Łodzi z upartej i skutecznej inspiracji dyrektora tegoż Muzeum, dra Antoniego Szrama.

ANDRZEJ PUKACZEWSKI (ur. 1932 r. w Łodzi), architekt wnętrz i fotografik, zaczął fotografować Łódź dość dawno, tworząc swoisty, subiektywny, chociaż z wszelkimi zaletami dokumentu portret miasta. Portret złożony z wielu elementów, jako że wielkie miasta mają wiele twarzy, z których dopiero — jak z kamyków mozaiki — układa się konterfekt ostateczny. Oczywiście, jeden z wielu, bowiem żywe, skomplikowane struktury miejskie nie dają się zidentyfikować w jednym wizerunku.

Wśród zdjęć Pukaczewskiego znalazł się cykl o studniach łódzkich. Za ten cykl artysta otrzymał w 1974 roku medal ZPAP. I tenże cykl właśnie stał się pierwszym elementem wspomnianego albumu.

Drugim elementem jest poemat JANA HUSZCZY (ur. 1917 r. w Zagościnie na Wileńszczyźnie) „Panna Studzianna", od którego album wziął tytuł. Jana Huszczy nie potrzeba przedstawiać. Prozaik, poeta, tłumacz literatury rosyjskiej i białoruskiej, mieszka i tworzy w Łodzi od roku 1945 i jest z nią związany tak, jak studnie i pompy odkryte przez Pukaczewskiego z historią i tradycją miasta nad niegdysiejszą rzeką Łódką leżącego.

Właśnie z inspiracji tradycją i fotogramami Pukaczewskiego powstał poemat o studniach, pompach i tym specyficznym mieście, które oneglaj na „fabryki rozmaite przeznaczone" zostało. Nie, nie o mieście, które się przecież zmieniło i zmienia, a o tych nielicznych już zakątkach, zaułkach, gdzie skryła się jego historia i jego dawny, zapewne skromny i może nie najpiękniejszy, nie najbogatszy — ale przecież niepowtarzalny folklor.

Studnie i pompy łódzkie!

Czy to jest temat? Dla fotografii artystycznej i na poemat jeszcze?

Okazuje się, że jest i że zaowocował książką niebanalną, bardzo osobistą, intymną, w obu swych elementach składowych, i mądrą. Mądrą, bo budzącą różnorakie refleksje, zmuszającą do pewnych zastanowień i wniosków. To, po albumie Szrama i Wacha „Architektura Łodzi przemysłowej", po albumach rysunkowych Wacława Kondka jedyna sensowna, jak do tej pory, publikacja albumowa o Łodzi. O maleńkim, pozornie nic nie znaczącym jej fragmenciku, a przecież... A przecież znaczącym.

We wstępie do albumu czytamy: „Album „Panna Studzianna" jest próbą uchronienia przed niepamięcią cennych elementów historii Łodzi: historii dawniejszej — łączącej się z pochodzeniem herbu miasta, jak i tej, której sami jesteśmy współtwórcami.

Tym, którzy nie znają bliżej historii Łodzi wydaje się ona mało atrakcyjna i monotonna. Dla wielu niezrozumiałe i tajemnicze jest także pochodzenie nazwy i herbu fabrycznego miasta.

Łódź w nazwie i łódka w herbie miasta mają jednak swoje uzasadnienie.

Wody bowiem było tu ongiś pod dostatkiem. Mnogość źródeł i niewielkich rzeczek pozwoliła rozwinąć się przemysłowi, umożliwiając tym samym prawdziwie wielkomiejską karierę niewielkiemu jeszcze na początku XIX wieku miasteczku".

Tak można by wyłożyć jedną warstwę książki.

Druga wykłada się następującym cytatem: „Łódzkie studnie" są niknącym powoli śladem coraz dalej odchodzącej przeszłości. W pełnym zajęć współczesnym dniu warto zatrzymać się przy nich choć na chwilę, by przyjrzeć się ich dawnej, a przecież wciąż z nami obecnej urodzie. Warto dostrzec w nich tę odchodzącą przeszłość. „Podwaja własne życie, kto przeszłość rozważa" — te słowa XIX-wiecznego poety, Ludwika Kondratowicza i znacznie częściej cytowane poetyckie stwierdzenie Cypriana Norwida, iż „Przeszłość — jest to dziś, tylko cokolwiek dalej" pełne są głębokiej prawdy. Z urzeczeń tym, co odchodzi, z głębokiego przekonania o wielkiej wadze tradycji powstała „Panna Studzianna".

A poemat Jana Huszczy jest pełen liryzmu, nostalgicznej zadumy, humoru, ale też i gorzkiego sarkazmu. Zaczyna się strofą-pytaniem, korespondującym z wierszem Leopolda Staffa „Studnia", który posłużył za prolog poematu:

Ta studnia jest z baśni,
w pięknych żyje zwrotkach,
lecz czy w Łodzi właśnie
taką też się spotka?!

Spotkał poeta studnie i pompy, które natchnęły go poezją i refleksją. Zakończył bowiem „Pannę Studzianną" strofą:

O, pompy na skwerach,
pompy na placykach,
niech was nie odbiera
miastu dłoń kacyka —
planisty nieludzka:
jak w jakich pomnikach,
jest w was przeszłość łódzka!

Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie pompy łódzkie, gdzie Akropol i Wenecja?

Daleko, ale i blisko jednocześnie.

Bardzo blisko.

Bo jeśli nie nauczymy się **dostrzegać i chronić** rzeczy drobnych, małych, tych w zasięgu naszej ręki i oka, to nie uratujemy tych wielkich.

I jeszcze jedna refleksja: Otóż pewien jestem, że gdyby od artystów zależało ocalenie rzeczy starych, i tych dużych i małych — byłyby one bezpieczne.

ANDRZEJ GRUN

Witajcie w Akademii Pana Kleksa

„...Myślę, że im dłużej idzie człowiek przez życie, tym bardziej odczuwa potrzebę powrotu do swego dzieciństwa..."

Bohumil Hrabal

Wprawdzie od premiery filmu Krzysztofa Gradowskiego „Akademia Pana Kleksa" minęły blisko trzy miesiące, lecz dopiero teraz nadarzyła się okazja, aby podzielić się spostrzeżeniami na jego temat. Muszę się przyznać, że z pewną dozą nieufności wybierałem się na ten film. Obawiałem się, jak wypadnie konfrontacja książki Jana Brzechwy, pod tym samym tytułem, z jej ekranowym wcieleniem. Czy reżyserowi uda się oddać filmowymi środkami piękną poetykę bajkowego świata Brzechwy, na którego książkach wychowały się już dwa pokolenia Polaków? Wszak Brzechwa jest niewątpliwym mistrzem tego gatunku, a wielkość jego utworów polega na tym, że doskonale czując dziecięcą psychikę nie narzuca swemu czytelnikowi jakże często występującego u innych pisarzy dydaktyzmu. Dla niego liczyła się tylko nieskrępowana wyobraźnia wyczarowująca cudowne bajki.

Filmowa „Akademia Pana Kleksa" składa się z dwóch części: pierwszej pt. „Przygoda Księcia Mateusza", drugiej „Tajemnica Filipa Golarza". W sumie przez trzy godziny jesteśmy świadkami przygód dziesięcioletniego Adasia Niezgódki, przebywającego w zaczarowanym świecie bajek. Zaproszeniem do wspólnego fantazjowania jest piosenka „Witajcie w naszej bajce". Tekst tej piosenki, podobnie jak i kończącej film, jest dziełem samego reżysera. Obydwie spełniają istotną rolę kompozycyjną. Pierwsza jest introdukcją pozwalającą wprowadzić Adasia (a wraz z nim młodego odbiorcę) z szarej rzeczywistości wielkomiejskiego podwórka do Akademii dobrodusznego Pana Kleksa, a druga pt. „Pożegnanie z bajką" łagodzi rozstanie z bajkami. Pozostałe piosenki skomponowane zostały już do słów zabawnych wierszyków Brzechwy. Autorem muzyki do całości filmu jest Andrzej Korzyński. Muzyka w „Akademii..." jest bardzo dynamiczna, nieomal dyskotekowa, a nawet rockowa, jak w przypadku „Marszu wilków" (notabene wykonywana przez zespół TSA).

Elementem niezmiernie istotnym dla poetyki bajki jest operowanie kolorem. Już po animowanej czołówce filmu można się zorientować, jaki nacisk położył Gradowski na kolorystykę i na plastykę. Scenografia i kostiumy są niezwykle barwne. Budynek Akademii jest śliczne położony — pośród parku i zielonych trawników. Okna zdobią witraże, na stołach w pracowni Kleksa, przypominającej swym wyglądem pracownię alchemika, leżą kwiaty, z których przyrządza się zupę. Czyż nie wspaniale wygląda sam Pan Profesor z rudawą czupryną, z piegami na twarzy, nieustannie zmieniający kamizelki w olbrzymie grochy.

Akademia, w której Profesor naucza swych chłopców za pomocą kleksografii, czyli rzucania kleksów na ścianę, stanowi jakże odmienną propozycję nauczania. Nie ma ona nic wspólnego z przemocą symboliczną, jaką jest szkoła. Tutaj dostrzega się różnice osobowościowe każdego z uczniów, którzy rozwijają własne zainteresowania. Nawet praca przybiera formę zabawy np. podawanie do stołu czy poszukiwanie skarbów. Jaka szkoda, że tak może być tylko w bajce.

W filmie interesująco wypadł zabieg łączenia ze sobą różnych technik filmowych. Obok scen aktorskich Gradowski wprowadza kukiełki, niczym z teatru lalek. Adaś po swym podniebnym locie ląduje w krainie psiego raju. Cała ta sekwencja wykonana została za pomocą kukiełkowej animacji. Sceny w psim raju są jedynymi, mającymi cokolwiek wspólnego z dydaktyką: Gradowski przestrzega młodych widzów przed znęcaniem się nad swoimi czworonożnymi przyjaciółmi. I wreszcie elementy filmu rysunkowego. Oprócz czołówki również niezmiernie barwny sen Adasia Niezgódki został przedstawiony za pomocą rysunkowej animacji w iście pop-artowskiej kolorystyce. Oczywiście dziecięca widownia absolutnie nie musi zdawać sobie sprawy z tego faktu. Gradowski oddziaływując różnorodnymi środkami atakuje i przykuwa uwagę dzieci, co nie jest rzeczą prostą. Zastosowanie różnych technik jest jedną z największych zalet filmu. Sprawia, że „Akademia..." nie jest szablonową próbą realizacji filmu dziecięcego.

Pisząc o tym filmie należy poświęcić uwagę odtwórcy roli Pana Kleksa, Piotrowi Fronczewskiemu. Z całą pewnością jego kreacja jest niezmiernie udana. Fronczewski doskonale czuje psychikę książkowego bohatera. Bawi i wzrusza swą dobrodusznością, jest czynnikiem spajającym cały film. Wykorzystuje swą sprawność fizyczną do zjeżdżania po poręczy schodów, przeskakiwania przez balustradę czy łapania w powietrzu motyli, przez co dostarcza widowni dużo uciechy. Gradowski nie miał łatwego zadania z poprowadzeniem dziecięcych aktorów. Jednak radzą sobie oni całkiem nieźle, zarówno przy wykonywaniu piosenek, jak i gdy muszą rozegrać daną scenę dramaturgicznie. Na pewno pomogła mu w tym obecność Piotra Fronczewskiego na planie.

Kiedy na ekranie pojawiły się napisy końcowe na tle piosenki żegnającej widzów ze światem fantazji powstałym dzięki wyobraźni Jana Brzechwy i reżysera Krzysztofa Gradowskiego moje wątpliwości rozwiały się. Uważam film Gradowskiego za udany i spełniający swą rolę. Niewątpliwie pobudzi on dzieci do uruchomienia własnej wyobraźni. Wprawdzie „Akademia..." jest przeznaczona dla dziecięcego odbiorcy, ale także rodzice przyprowadzający do kina swoje pociechy nie powinni się nudzić, gdyż tak jak napisał to Hrabal *„...człowiek odczuwa pragnienie powrotu w głąb wyobraźni chłopca, do jego postaci, by urzeczywistnić to, o czym jako dziecko myślał, o czym marzył."*

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

LIST Z WYBRZEŻA

Wieczór z Bernardą Albą

Sezon teatralny w pełni, widać to wyraźnie w Gdańsku; premiera goni premierę. Recenzenci mają masę roboty, ale też — wyraźne powody do zadowolenia. Teatr Wybrzeże potwierdza bowiem swoją wysoką pozycję w ogólnopolskiej skali. Szczególnie dwa ostatnie spektakle — „Już prawie nic" według noweli Jerzego Andrzejewskiego w reżyserii utalentowanego Krzysztofa Babickiego w Teatrze Kameralnym w Sopocie i „Dom Bernardy Alby" Federico Garcia Lorki zrealizowany przez Stanisława Różewicza na scenie przy Targu Węglowym w Gdańsku — są znaczącymi osiągnięciami artystycznymi obecnego sezonu. Przed nami okres festiwalowy — wyjazd teatru gdańskiego do Torunia i (być może) do Kalisza. Tam, w ogniu walki artystycznej nastąpi weryfikacja obecnych dokonań tuteiszej sceny.

Stanisław Różewicz szczególnie upodobał sobie Gdańsk i jego pejzaż. Tutaj powstawały jego filmy: „Wolne miasto", „Westerplatte", „Drzwi w murze". Przed laty w Teatrze Wybrzeże wystawił „Biedermanna i podpalaczy" Maxa Frischa, przedstawienie, które głośne było w Polsce.

Teraz Różewicz sięgnął po sztukę Federico Garcia Lorki, która w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wielokrotnie gościła na naszych scenach, głównie dzięki temu, że wiele w niej dobrze skonstruowanych ról kobiecych. Dyrektorzy teatrów mogli dać satysfakcję aktorkom, które były mniej wykorzystywane. W rezultacie rozmaite „Domy Bernardy Alby" na naszych scenach były popisami gry aktorskiej (Danuta Michałowska w Starym Teatrze w Krakowie w roku 1956, czy Irena Maślińska w Poznaniu w tym samym czasie). Wybitnych przedstawień jednak nie było. Dramat Lorki był prezentowany jako obrazek rodzajowy z życia starych panien bez próby uwidocznienia pewnej metafory, która jest wpisana w tekst tej sztuki.

Stanisław Różewicz odszedł od tej tradycji. Jego spektakl jest przypowieścią o losie ludzi, którym odebrano prawo do zwykłego, normalnego szczęścia. Jest opowieścią o buncie człowieka przeciwko zniewoleniu. Reżyser wyraźnie zaakcentował dwie płaszczyzny rzeczywistości scenicznej: realistyczną sytuację córek Bernardy i wewnętrzny świat ich marzeń, pragnień i życiowych aspiracji. Te dwa plany pozostają ze sobą w nieustannym konflikcie, zakończonym katastrofą. Przewijają się przez cały spektakl — Różewicz dodał do swego przedstawienia dwie sceny wizyjne — sny najpierw Adeli, a później Martirio. Są to projekcje marzeń tych kobiet, jakże odmienne od losu, który gotuje im Bernarda Alba.

Spektakl jest bardzo sugestywny — zasługa to także Mariana Kołodzieja, który opracował scenografię, wyraźnie nawiązującą do hiszpańskiej architektury. Na scenie jest wielka, spłowiała kamienna budowla. Malutkie okienka jeszcze bardziej podkreślają jej posępność. Tutaj młode kobiety przeżywają swój ponury żywot. Teraz wracają z pogrzebu — zmarł mąż Bernardy, ojciec niektórych z nich. Przed nimi siedem lat żałoby — praktycznie kres marzeń o małżeństwie. Bernarda zresztą skutecznie odstraszyła wszystkich młodych, a ubogich mężczyzn z okolicy, którzy chcieliby poślubić jej córki. Wydaje się więc, że teraz nic już jej nie czeka. Pojawia się jednak niespodziewanie miejscowy chłopak, który chce wziąć za żonę najstarszą córkę Bernardy — Angustias. Fakt ten wyzwala skrywane dotąd namiętności i jednocześnie marzenia młodych kobiet. Na bok idą wszelkie konwenanse, odżywają okrutne prawa walki, nawet więzy krwi przestają mieć jakiekolwiek znaczenie.

Stanisław Różewicz wiele razy w swoich filmach dowiódł, iż z iście matematyczną precyzją potrafi ukazywać zawiłości psychologiczne natury ludzkiej. Podobnie jest w gdańskim przedstawieniu, w którym Halinia Winiarska (Bernarda) i Wanda Neumann (Martirio) tworzą rzadko spotykane na naszych scenach kreacje aktorskie, gdzie prawda przeżycia ukazana jest z ogromną sprawnością techniczną. Nie tylko one, bowiem cały spektakl jest wyrównany pod względem gry aktorskiej. Widz rozumie intencje, sytuacje nie są przypadkowe, lecz układają się w jasny, acz bardzo dramatyczny obraz. „Dom Bernardy Alby" będzie jeszcze długo w repertuarze Teatru Wybrzeże.

WIESŁAW NOWICKI

Polowanie na czarownice

W sytuacji zamętu rynkowego, gdy reforma gospodarcza nie stała się jeszcze siłą napędową — księgarstwo nie ma siły przebicia. Śmiem twierdzić, że sprawa sprzedaży książki pozostaje trochę na uboczu wielkich przemian gospodarczych. W centrum uwagi jest rolnictwo, przemysł, wytwórczość. To zrozumiałe. Przede wszystkim musimy zadbać o nasz stół.

Ukuto niegdyś termin, że wszyscy Polacy mają jednakowe żołądki. Natomiast nikt nie powiedział, że nie wszyscy mają jednakowe potrzeby intelektualne. To przeoczenie spowodowało określone konsekwencje. Bo oto księgarstwo znalazło się na jednej liście ze sklepami nabiałowymi, mięsnymi, elektrotechnicznymi itp. Zastosowano wobec niego te same kryteria kontroli państwowej. Jeśli pracownik sklepu mięsnego ukryje ileś tam kilogramów wędliny — dosięga go surowa kara. Jeśli księgarz odłoży na półkę kilka książek dla pisarza czy pracownika nauki — także staje przed kolegium lub sądem. Pracownicy PIH, NIK czy Izby Skarbowej stosują te same kryteria w księgarni co i w sklepie nabiałowym czy mięsnym.

Jeszcze do niedawna księgarz był kimś, kto doradzał, pomagał w wyborze lektury, zachęcał. Do księgarni przychodzili bibliofile, zbieracze, pisarze, nauczyciele, ludzie nauki, by w spokoju przejrzeć nowości wydawnicze. Dziś księgarz na zapleczu wpuszcza jedynie przedstawicieli instytucji kontrolujących, gdyż tamta dobra tradycja została brutalnie pogrzebana. Co prawda minister kultury i sztuki zezwolił, aby dla niektórych ludzi (twórcy kultury, nauki i pracownicy oświaty) wydzielić specjalne półki z nowościami. Ale zaznaczył, że można im odkładać jedynie książki potrzebne do ich pracy. I tu powstało całe nieporozumienie. Weźmy jako przykład Jerzego Wilmańskiego. Jakie książki odkładać na jego półkę? Poezję, prozę? A może tylko książki o Łodzi? Jeśli księgarz odłoży dla niego „Kuchnię polską", wówczas niechybnie stanie przed surowym obliczem sprawiedliwości ludowej. Bowiem Jerzy Wilmański ma interesować się tylko i wyłącznie wierszami i przyczynkarstwem do dziejów Łodzi. Podobnie sprawa przedstawia się z pracownikami nauki. Jeśli ktoś jest chirurgiem, można mu odkładać jedynie książki z tej dziedziny, nigdy zaś żadnej beletrystyki czy pamiętnikarstwa.

Tak więc dziś o tym, jakie książki ma otrzymywać pisarz, lekarz czy nauczyciel decyduje urzędnik dokonujący kontroli w księgarni.

Proszę mnie źle nie zrozumieć: nie wypowiadam się przeciwko kontroli jako takiej, protestuję natomiast przeciwko bezmyślności, urawniłowce i stosowaniu w kulturze tych samych metod co w sklepach mięsnych czy nabiałowych.

E. I.

Brutalny wdzięk uwodziciela

Dokończenie ze strony 1

dziesiątym drugim już nie są wielkimi pieniędzmi. Piotr K. zaczyna się więc zastanawiać, co dalej. Na swoje szczęście spotyka kumpla pseudo Tępy, od którego kiedyś wygrał całe 200 tysięcy złotych w pokera, a który nie miał okazji oddać długu. Tępy obiecuje, że zjawi się za dwa dni, że rozliczy się co do grosza. Piotr K. natychmiast zaczyna żyć po pańsku. Jakieś dziewczyny, którym funduje, jakaś „Hrabina", której daje całe 20 tysięcy za noc. Słowem — życie!

Kiedy Tępy przyniósł pieniądze, Piotr K. postanowił, że dopiero teraz zacznie imponować napotykanym paniom. Na Zdrowiu podrywa dziewczynę, która tu przyszła z młodszym bratem. Funduje. Koloryzuje, że jest bogaty, że ma wspaniały samochód, że stać go na wszystko. Chodzą do „Hortexu", kina, restauracji. W końcu bierze dziewczynę do hotelu odsyłając jej brata do domu.

Noce z reguły były szaleńcze. Rano dziewczyna czuła się jakby wyjęto ją spod walca drogowego, więc poszła do łazienki by się odświeżyć i oprzytomnieć. Piotr K. szybko zgarnął ze stolika jej dwa złote pierścionki, kolczyki i złoty łańcuszek. Po cichu zbiegł na dół, zapominając w pośpiechu, że na górze zostawił walizkę z garderobą.

Taki był początek krótkotrwałej kariery uwodziciela.

MIŁOŚĆ I POKER

Teraz, mając biżuterię, jedzie do Nadarzyna pod Warszawą, a stamtąd do stolicy, gdzie jakiś Maks usiłuje go skontaktować z paserami. W żoliborskiej kawiarence „Spotkanie" jednak nikt nie reflektuje na kupno skradzionych rzeczy, dopiero w „Alhambrze" niejaka Maria S. daje mu 80 tysięcy. Od tego czasu ta paserka staje się jego jedynym odbiorcą.

Wkrótce dostarczył Marii S. kosztowności już na sumę 180 tys. zł.

W międzyczasie grał w pokera. Jest to gra fascynująca i okrutna. Można w ciągu godziny zostać milionerem albo nędzarzem. Piotr K. miał szczęście. Wygrywał. Np. w Krakowie wygrał w ciągu jednej nocy 320 tysięcy. Mając tyle pieniędzy ponownie znalazł się w Warszawie. Tu odszukał poznaną uprzednio Jolę. Za sumę 4 tysięcy zł kupił jej 30 pięknych róż. W ciągu wieczora w restauracji zapłacił rachunek wynoszący 40 tysięcy. Ta Jola kosztowała go, jak twierdzi, okrągłe pół miliona złotych. A jak się kochali!

Po którejś burzliwej, wyczerpującej nocy, rano gdy jeszcze dziewczyna spała snem ciężkim i nieczułym, zabrał jej biżuterię i zszedł po cichu na dół. Sprawdził, czy się opłaciło. Niestety, nie. W ręku trzymał złoty łańcuszek z trzema wisiorkami — serce wysadzone 5 rubinami, krzyżyk z 3 diamentami, kotwicę z innymi kamykami, miał także jej złoty zegarek, radiomagnetofon, bransoletkę, a przez ramię przewiesił skórzaną kurtkę Joli. Maria S. za to wszystko dała mu zaledwie 260 tysięcy.

Teraz jego droga zaczyna się wydłużać. Jeździ po całej Polsce: Łódź, Gdańsk, Kołobrzeg, Wrocław, Wałbrzych, Katowice, Góra Św. Anny, Opole, Szczecin, Bydgoszcz, Toruń, Olsztyn, Kraków, Myślenice, Kielce, Białystok, Augustów, Karpacz, Rzeszów, Zakopane, Częstochowa, Zielona Góra, Leszno, Poznań, Warszawa, Radom, Pionki. W niektórych miejscowościach pojawiał się parokrotnie. A wszystko to w czasie od czerwca 1983 do września 1983. Zaledwie 4 miesiące.

Zatrzymywał się zazwyczaj w drogich hotelach, płacił wysokie rachunki, np. w Krakowie za wynajęcie pokoju na kwaterze prywatnej (twierdzi, że był to pokój luksusowy) za dobę dawał 2 tysiące. Zasiadał do pokera, lubił hazard, podniecały go pieniądze. Którejś nocy wygrał okrągły milion!

I w każdym mieście kobiety. Twierdzi, że był wobec nich szarmancki, delikatny i czuły. Niestety, niektóre panie mają jednak pretensje, twierdzą wręcz, że bił, znęcał się nad nimi, a trzy nawet oświadczyły, że je zgwałcił. Komu wierzyć? Jeśli dorosła kobieta spędza z mężczyzną wieczór, pozwala się zaprosić do pokoju hotelowego, spędza tam całą noc, a rano twierdzi, że została zgwałcona, można podejrzewać, że jest to zemsta za utraconą biżuterię, którą Piotr K. zabierał jako należność za swoje seksualne usługi, które, mówiąc nawiasem, były ponoć dość wysokiej jakości.

Piotr K. zaprzecza jakoby bił. Owszem, nieraz dał po buzi, bo baba histeryzowała, albo, jak ta głupia Jolka, chciała wyskoczyć przez okno na ulicę. Ale żeby biciem zmuszał do rozbierania się? Nonsens. Zanim zdążył zamknąć drzwi, już zrzucały ze siebie ciuchy!

Nieprawdą jest także, że kradł, czy rabował. On po prostu brał. Gdy kiedyś zobaczył Cygankę, od razu określił ją jako wystawę w sklepie jubilerskim. I tak długo za nią chodził, aż poszła z nim do hotelu. Dobrowolnie.

WYPRÓBOWANY SYSTEM

Jak sam twierdzi, nie pamięta już niektórych imion pań, z którymi się kiedyś zadawał. Ale wie jedno: system miał niezawodny. Wpierw należało sypnąć forsą, by później móc ją odzyskać z nawiązką. Tak było np. w Kielcach. Wstąpił do fryzjera. Za ścianą, w salonie damskim rozmawiały dwie panie, które jak się zorientował, mieszkały dość daleko od miasta. Wówczas zaoferował pomoc. Ma przecież samochód i dla niego to drobnostka. Jest człowiekiem interesu, prowadzi w Warszawie firmę. Niestety, trzeba trochę poczekać, gdyż jadąc do Kielc miał drobny wypadek i wóz jest właśnie w warsztacie. Zanim go zrobią dobrze byłoby coś zjeść. Jedna z kobiet miała na imię Jola (koleżna Jola) i była fryzjerką na urlopie macierzyńskim. Piotr K. zapewnił, że mu to w niczym nie przeszkadza.

Scenariusz się powtarza: restauracja, alkohol, pokój w hotelu. Gdy szperał w jej torebce, wyszła z łazienki. Rozpacz: ty złodzieju! Wtedy dał jej po buzi. Czy nie rozumie — tłumaczył — że jego praca polega także na robieniu ważnych zdjęć? Czy nie domyśla się, że jest szpiegiem? Właśnie musi mieć foto pewnego budynku, ale sam tego nie może zrobić, więc musi to uczynić Jola. Weźmie aparat i pstryknie, i tak, widzisz? Jako gwarancja, że do niego powróci, musi mu zostawić swoją biżuterię i pieniądze. Niech da kolczyki, pierścionki i zegarek. Aha, te 2 tysiące złotych też oraz te 300 koron czeskich. A teraz szybko na dół i rób zdjęcie. Jola ponoć płakała i mówiła, że w tę bajkę nie wierzy...

I tak to się będzie powtarzać. 21 razy, bo tyle pań, jak dotąd, złożyło swoje zeznania.

Przeglądając listę zawodów, trzeba stwierdzić, że z małymi wyjątkami panie reprezentują środowisko kawiarniano-restauracyjno-dyskotekowe. A więc albo nigdzie nie pracujące, albo właścicielki prywatnych zakładów. Były wszakże dwie cudzoziemki: Dunka i Francuzka, dwie Cyganki, kelnerka, fryzjerka, ajentka, kierowniczka dyskoteki, magazynierka, prostytutka, recepcjonistka, uczennica...

Ostatnim miastem, gdzie zamierzał się obłowić, były Pionki. Tu miał upatrzoną kelnerkę. Wieczorem, gdy ją prowadził do hotelu, popełnił błąd. Nie obejrzał wieczornego wydania dziennika telewizyjnego. Właśnie odczytano komunikat o poszukiwaniu przez KG MO w Warszawie Piotra K. i pokazano jego zdjęcie. Gdy wszedł do hotelu, został zatrzymany.

OPOWIEŚĆ PIERWSZEJ NAIWNEJ

„Po wejściu do pokoju pozamykał drzwi na klucz, pozasłaniał okna zasłonami. Spytałam się go, co on robi, odpowiedział mi, że o ile będę grzeczna i będę jego słuchała, to o godzinie 22.00 będę w domu. Mówiąc to wykręcił mi rękę i uderzył mnie w twarz. Kazał mi żebym go słuchała i nie robiła żadnych numerów. Spytałam się jego co mam robić. Powiedział mi, że pojedziemy około 40 km za Kielce i będę mu robiła zdjęcia, zaznajomił mnie z aparatem fotograficznym. Wówczas zaczęłam płakać, spazmować, powiedział mi, że o ile będę starała się robić to, co on każe, to wszystko będzie w porządku, a o ile nie, to on mnie załatwi. Wyjął w tym czasie żyletkę i zagroził mi, że może mnie porżnąć tą żyletką jak będę nieposłuszna. Podszedł do telefonu, kazał mi się odwrócić i wykręcił jakiś numer. Przez telefon pytał się czy też sam mówił do siebie „Czy obstawiony jest hotel, gdyż boi się, że może mu ta gąska uciec". Po tym telefonie kazał mi się rozebrać. Początkowo nie chciałam się rozebrać, lecz gdy on groził mi żyletką, postanowiłam się rozebrać. Kazał mi również, żeby jemu rozpiąć koszulę. Osobnik ten również rozebrał się. Prostuję osobnik ten ściągnął mi stanik oraz koszulę, a spódnicę i majtki sama zdjęłam. Położyłam się następnie na łóżku na plecach. On w tym czasie się rozebrał i położył się obok mnie, a następnie na mnie. Zaczął mnie całować i chciał żeby się z nim pieścić. Ja broniłam się i nie brałam żadnego udziału w tym. Kilkakrotnie mnie przekręcał podczas tych jego pieszczot. Następnie, gdy się broniłam, rozgiął mi nogi i kazał mi żebym wzięła jego członka do ręki i wprowadziła sobie do pochwy. Gdy się nie chciałam zgodzić, siłą zarzucił sobie moje nogi na plecy i wprowadził członka do pochwy. Starałam się mu uciekać, on trzymał mnie silnie rękami i gdy nie brałam żadnego udziału w tym stosunku, to sam ruszał mną, nogami. Stosunek ten trwał około 4 minut. Z chwilą gdy stwierdziłam, że jego stan podniecenia jest silny i za chwilę może nastąpić wytrysk, próbowałam uciec, jednak wytrysk nastąpił w pochwie. Po tym stosunku zszedł ze mnie i kazał mi iść z nim do łazienki. Udałam się tam z nim i patrzyłam jak on się kąpie. Po kąpieli przyszliśmy do pokoju i chciałam się ubrać. Nie pozwolił mi na to. Sam założył sobie slipki i usiadł obok mnie. Wziął moją torebkę i zaczął ją przeszukiwać. Wyjął z torebki mój dowód oraz portmonetkę, a następnie kazał mi, abym oddała mu wszystko złoto. Gdy nie chciałam, to powtórnie zagroził mi żyletką. Oddałam mu dwa złote pierścionki, dwa złote łańcuszki, kolczyki, zegarek elektronowy. W tym czasie prosiłam go, aby oddał mi chociaż dowód. Wówczas on pokazał mi dowód jego dziewczyny i zaczął go palić. Powiedział, abym była grzeczna, bo również może to samo zrobić. Przez ten cały czas pakował się, a mnie zabrał ubranie i zamknął w szafce. Pozabierał mi wyżej opisane przedmioty wraz z dowodem. Powiedział mi, że mam czekać na niego 10 minut i gdy on przyjdzie, to pójdziemy robić zdjęcia, a następnie będę wolna. Posiedziałam jeszcze chwilę i zaczęłam szukać ubrania. Znalazłam je w szafce i po ubraniu się wyszłam z hotelu. Było około godz. 23.00."

Po kilku dniach złożyła owa pierwsza naiwna pewne uzupełnienie. Mianowicie, gdy się przekonała, że nie zaszła w ciążę, postanowiła darować Piotrowi K. jego przemoc i prosi władze, by go za to nie karać. Teraz pragnie jedynie odzyskać swoją biżuterię.

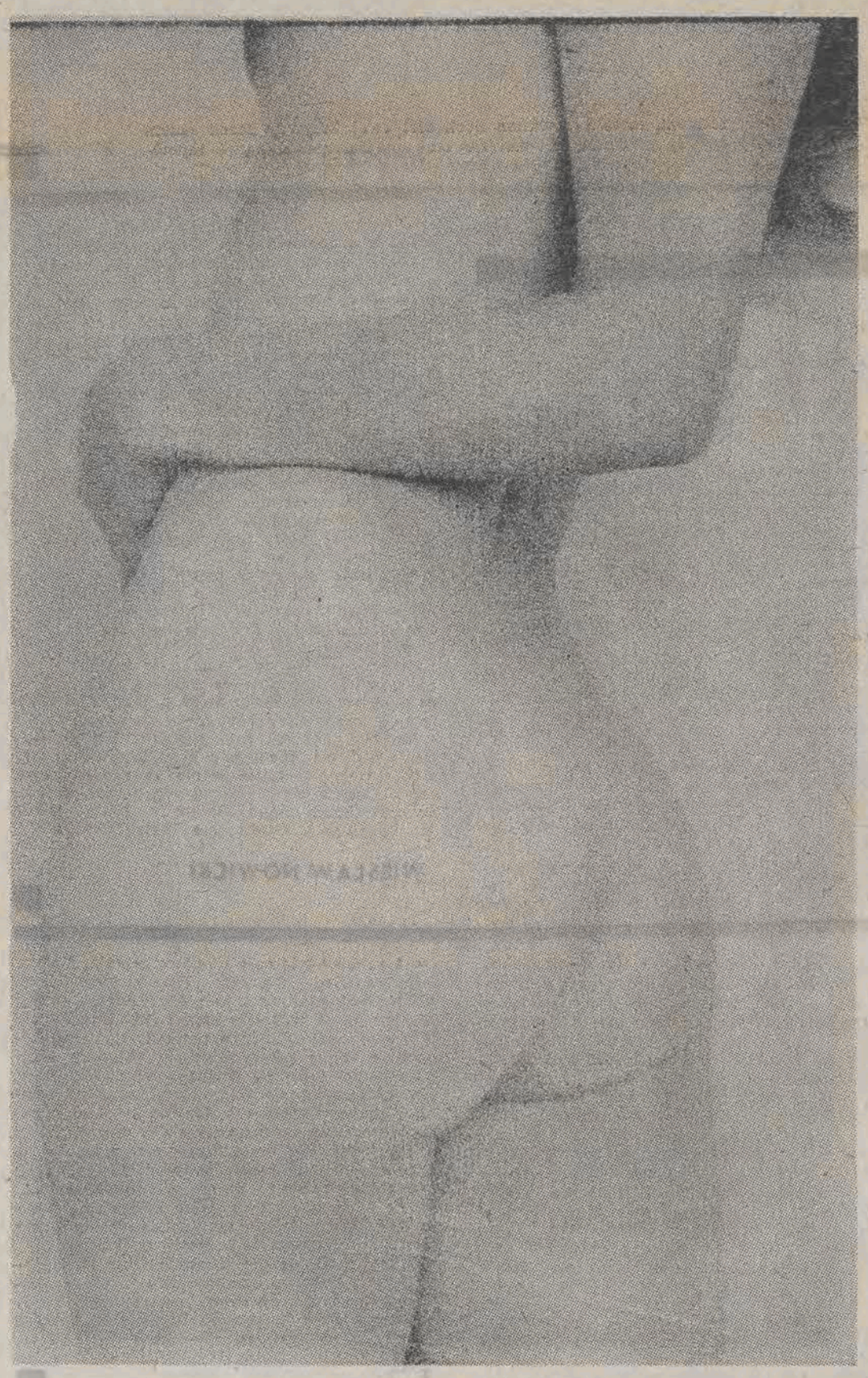

OPOWIEŚĆ DUNKI

„W pokoju powiedział do mnie, że ma na mnie ochotę. Wykąpałam się pierwsza, a on drugi i odbyliśmy stosunek płciowy. Przed stosunkiem powiedział do mnie, żebym pozdejmowała biżuterię ponieważ mu to przeszkadza. Ja przystosowałam się do jego żądań i zdjęłam biżuterię, jaką miałam na sobie. Po stosunku zauważyłam w jego zachowaniu wrogość i niechęć do mojej osoby. Biżuterię włożyłam do torebki. Po stosunku Piotr wstał, zamknął okno i siadł na łóżku. Ja leżałam nago na łóżku i nie kazał mi wstawać. Zauważyłam, że szuka żyletki, która leżała na ziemi. Znalazł żyletkę i włożył ją sobie w usta. Następnie wyjął ją i powiedział do mnie, żebym oddała mu wszystką biżuterię którą posiadam. Ja powiedziałam że nie oddam. On wtedy powiedział, że jeśli nie oddam, to mi podetnie gardło. Ja złapałam torebkę i zaczęliśmy szarpać ją. Uderzył mnie w klatkę piersiową i zaczął mnie dusić. Rzucał mną o łóżko oraz uderzył mnie w twarz. Ściskał mnie w biodrach tak, że do dzisiaj odczuwam bóle. Wyrwał mi torebkę i wszystko zabrał z torebki. Przystawił mi żyletkę do gardła i powiedział, że podetnie. Ponadto schylił mnie i powiedział, że raz mnie uderzy w kark i zabije. Przy tym wyzywał mnie od szmat, kurew i dziwek. Powiedział, że mam nie ruszać się z łóżka, a sam dzwonił, na jaki numer nie wiem. Rozmawiał jakiś czas i usłyszałam, że mówił „Słuchaj, za 15 minut ja wychodzę". Ubrał się sam,, a mnie nie kazał się ubierać. Powiedział, że jeśli chcę odkupić tę biżuterię, to mogę wyjść za 10 minut po nim i dał mi numer telefonu 770-39... Zabrał mi następującą biżuterię. bransoletka złota 18 karatowa pleciona w kostkę zapinana na dwa haczyki z dwoma literami SW. Bransoletka ta miała wagę 40 gram. Pierścionek złoty w kształcie szyszki bez kamienia, waga 5 gram. Pierścionek złoty w kształcie żmijki waga około 5,5 grama z dwoma czerwonymi kamykami. Pierścionek złoty z oczkiem chabru w kształcie okrągłym waga 3 gramy. Pierścionek platynowy z diamentem wagi 3 gramy. Pierścionek z platyny w kształcie kokardki wagi 2 gramy. Pierścionek platynowy z diamentem w kształcie maleńkiego sygnetu wagi 4,5 grama. Łańcuszek złoty w kosteczkę z blaszką złotą, a w rogu tej blaszki platynowa blaszka z diamentem waga 11 gram. Kolczyki złote w kształcie listka wiszącego wagi 9 gram... Biżuterię swoją oceniam na około 600 tys. złotych polskich".

ZEZNANIA MĘŻATKI

„W czasie tej rozmowy (w hotelowym pokoju) Piotrek mówił mi komplementy i usiłował mnie pocałować. Zaczęłam się bronić, wówczas Piotrek uderzył mnie w twarz i przewrócił na łóżko, usiłował zdjąć ze mnie odzież, lecz z uwagi na moją obronę nie mógł tego uczynić. Zaczęłam krzyczeć i wtedy Piotrek wziął do ręki żyletkę oraz jakiś płyn w aerozolu. Zagroził, że w przypadku oporu „urządzi" mnie żyletką, a po użyciu środka usypiającego usnę i wtedy sprowadzi męża. Piotrek zachowywał się bardzo brutalnie, wręcz po chamsku. Wobec takich gróźb i w obawie przed ich spełnieniem rozebrałam się do naga. Wtedy Piotrek przewrócił mnie na łóżko i zgwałcił. Przed zgwałceniem i w czasie stosunku broniłam się, lecz Piotrek przez cały czas groził żyletką i środkiem usypiającym, a ponadto był silny fizycznie i nie miałam żadnych szans obrony. Zdawałam jednocześnie sobie sprawę z tego, że w przypadku gdybym zaczęła krzyczeć Piotrek spełniłby swoje groźby. Ponadto jestem przecież mężatką i myślałam o tym, że gdyby dowiedział się o tym mój mąż, to nie pytałby mnie w jakim celu przybyłam do hotelu, istotny byłby sam fakt, że znalazłam się sam na sam z obcym mężczyzną w hotelu. Po zgwałceniu Piotrek zachował się bardzo arogancko i po chamsku... Nadmieniam, że przed zgwałceniem Piotrek kazał mi zdjąć biżuterię, którą położyłam na stole...".

FINAŁ NIEOPTYMISTYCZNY

Relacje pań są do siebie podobne, choć jakże bardzo różnią się od zeznań Piotra K. Wynika z nich, że wcale nie był ani taki szarmancki, ani taki romantyczny. Ot, zwyczajny bandzior i rabuś.

Niedługo Sąd rzuci na szale Temidy jego czyny i jego zasługi. Zapewne szala wypełniona czynami przeważy. Piotr K. ponownie powędruje za kraty. A przecież ma do odsiedzenia jeszcze zaległy wyrok, który został zawieszony ze względu na warunkowe zwolnienie. Należy sądzić, że tym razem brutalny uwodziciel będzie miał dość czasu na przemyślenie swoich czynów. Z drugiej strony, trzeba przyznać, że więzienie może stać się dla niego swoistym uniwersytetem, gdzie może udoskonalić technikę i metody zawodowego bandziora. Oby tak się nie stało.

EUGENIUSZ IWANICKI

Polemiki • Listy • Opinie

„NADZMYSŁOWA FIZKULTURA"

Poznań 18 III 1984 r.
Redaktor Naczelny „ODGŁOSÓW"

Uprzejmie proszę o opublikowanie w najbliższym numerze mego listu wraz z dodatkiem napisanym przez p. Elżbietę Kałużną. Jednocześnie obiecuję, że jeśli Pańskie Pismo zechce zająć się na serio sprawa bioenergoterapii — udostępnię posiadaną przeze mnie dokumentację. Myślę, że jest Pan winny to tym z czytelników, którzy brali udział w seansie i zostali przez p. Wrońską obrażeni.

Z poważaniem
FRANCISZEK FELLMANN

LIST MISTRZA

Szanowny Panie Redaktorze,

dziękuję za egzemplarz „ODGŁOSÓW" z 10 III 84 r., trafił w moje ręce wraz z listami z Łodzi, które są również reakcją na seans w Łódzkiej Hali Sportowej w dniu 18 II 84 r.

Pozwolę sobie zacytować dwa z nich, gdyż stanowią moim zdaniem istotne uzupełnienie artykułu p. Jolanty Wrońskiej pt. „Nadzmysłowa fizkultura".

Ponieważ udostępniam listy bez wiedzy ich autorów — nie podaję do publicznej wiadomości nazwisk, natomiast załączam ich kserokopie.

LIST I (NA ORYGINALE PIECZĄTKA LEKARZA):

— Szanowny Panie,

Podczas I 20 min. seansu najpierw zaszły mi oczy mgłą. Potem zaczęły się dziać w głowie niesamowite rzeczy. Jakieś pulsowanie, ciepło. Odczuwałam też strzykanie w kręgach szyjnych i ukłucia w sercu.

W czasie drugiego i trzeciego seansu nic się nie działo.

Po powrocie do domu czuję się jak nowo narodzona. Ustąpiły zupełnie bóle głowy, zakłócenia wzrokowe i równowagi, a nawet nerwobóle i bóle reumatyczne. Czuję się wspaniale. Nastąpił cud.

Nigdy żadne lekarstwa i żadna terapia mi tak skutecznie i wyraźnie nie pomogły. Bóg zapłać.

Życzę panu nieustającego zdrowia i gotowa jestem uczestniczyć w każdym z panem seansie.

Łódź, dn. 22.02.84

K.N.

LIST II

Szanowny Panie Fellmannie *Łódz. 8.III. 1984 r.*

Szliśmy na Pana seans z mieszanymi uczuciami, ale z wiarą. Przeraziły nas tłumy ludzi, ja byłam przed seansem bardzo roztrzęsiona, a spowodowało się to jeszcze bardziej bo siedziałam wysoko w 25 sektorze — a ja mam lęki przestrzeni i wysokości. Chciałam już wyjść z sali bo bałam się, że moje zdenerwowanie i niepokój zaszkodzi memu mężowi siedzącemu obok mnie, powoli zaczęłam się uspokajać, a kiedy Pan ukazał się na sali zaczął wstępować we mnie spokój i wiara.

Przed seansem czuliśmy się bardzo źle. Mąż od wielu lat cierpiał na nogi, miał trudności w dłuższym chodzeniu, lekarze wróżyli całkowity bezwład nóg, przeszedł zapalenie zaskrzepowe żył, kiedyś chorował na zapalenie pęcherzyka żółciowego, choruje na kamicę nerkową, jest otyły — więc i serce też ma słabe.

Ja od najmłodszych lat cierpiałam na straszne migrenowe bóle głowy (używałam dziennie po 5 i więcej proszków z krzyżykiem), bóle serca, owrzodzenie dwunastnicy, nerwy i poważne bóle stawów.

Po seansie ustąpiły nam całkowicie bóle, chcieliśmy zaraz po seansie podziękować Panu i powiedzieć o naszych odczuciach, ale tłumy jakie Pana otoczyły nie pozwoliły nam dojść do Pana.

Dlatego dziś serdecznie Panu dziękuję w swoim i męża imieniu za to, że tak wiele już nam Pan dopomógł. (...)

(fragment długiego listu)
M. i J. S.

Na tym właściwie mógłbym poprzestać gdyby nie uznanie jakie mam dla p. Wrońskiej. — Jej artykuł to niezły scenariusz do filmowej komedii — podziwiam Jej talent pisarski, a zwłaszcza poczucie humoru i serdecznie namawiam do kontynuowania podjętego tematu. — Tym razem może w konwencji bardziej realistycznej, którą cechuje dbałość o szczegóły.

Łączę pozdrowienia
FRANCISZEK FELLMANN

LIST ASYSTENTKI

1. Wstęp słowny do bioterapii brzmiał nie jak „cytuje" p. Wrońska: *„Od tej chwili stanowimy wielką rodzinę, połączoną uściskiem rąk i wspólnym pragnieniem powrotu do zdrowia. Musimy głęboko wierzyć nie tylko w pana Fellmanna, ale i w to, że będziemy zdrowi (...)*

a następująco:

„Od tej chwili tworzymy jedną, wielką rodzinę, połączoną uściskiem rąk i wspólnym pragnieniem powrotu do zdrowia. Aby nasze pragnienie się spełniło potrzeba nie tylko bioenergii pana Fellmanna, ale również z naszej strony głębokiej wiary w to, że będziemy zdrowi (...)

2. Dokładne dane o wynikach seansów w „Arenie" odczytałam na konferencji prasowej po seansie łódzkim w dniu 18 II 84 r. (dane dotyczące seansu z dnia 30 IX 83 oraz seansu z dnia 24 I 84).

— Po każdym seansie zbiorowym z udziałem Franciszka Fellmanna sporządzane jest sprawozdanie w oparciu o formularze wypełnione podczas seansu przez uczestników. Począwszy od 30 IX 83 (22 seans) dodatkowo uczestnicy seansu po upływie miesiąca informują organizatorów o wynikach seansu nadsyłając otrzymane w tym celu karty.

Dane z wymienionych seansów przedstawiają się następująco:

a) seans z 30 IX 83

— zebrano od uczestników 3460 kart, z tego 440 zakwalifikowano jako przypadki natychmiastowej poprawy zdrowia (poprawy samopoczucia nie traktowano jako poprawy zdrowia).

Po upływie miesiąca nadesłano 332 karty: brak poprawy — 66 kart, poprawa przejściowa — 20 kart, poprawa bez potwierdzenia lekarskiego — 189 kart, poprawa potwierdzona przez lekarzy — 37 kart. (w seansie uczestniczyły 4444 osoby)

b) seans z 24 I 84

— zebrano 4074 karty (uczestników 5300)

— 722 przypadki zakwalifikowano jako przypadki poprawy zdrowia

Pani Wrońska w Swoim artykule powołując się na notatkę prasową (?) podaje liczbę uczestników dwóch seansów, natomiast liczbę popraw z jednego. Ponieważ była na konferencji prasowej i miała zapewne ze sobą długopis, wybryk ten należy traktować jako tzw. „odśmianie tłumu" tym pewniejsze, że 722 z 10.000 nie stanowi 10 proc.

Ponieważ w chwili obecnej dysponuję wynikami analizy kart nadesłanych po upływie miesiąca (seans 24 I 84) pozwolę je sobie przedstawić:

— nadesłano 770 kart (stan na dzień 19 III 84)
— 541 — to poprawy zdrowia bez potwierdzenia lekarza
— 45 — poprawy przejściowe
— 76 — poprawy potwierdzone przez lekarzy
— 118 — brak poprawy

Sprawozdania z seansów sporządza od początku, tj. od 4 III 83 roku Elżbieta Kałużna, a zgodność z dokumentacją potwierdzają lekarze sprawujący opiekę medyczną nad seansami.

Ponieważ artykuł p. Wrońskiej traktuje przede wszystkim o seansie łódzkim z dnia 18 II 84, podaję również wyniki tego seansu (sprawozdanie w opracowaniu):

— zebrano 4563 karty (uczestniczyło ok. 7500 osób)
— poprawę odnotowano w 723 przypadkach

3. „Skomplikowane i tajemnicze badania", którym Towarzystwo Biocenotyczne poddaje bioenergoterapeutów przed przyznaniem dyplomu opisane są szczegółowo w „Literaturze na Świecie", kwiecień 1983, w artykule Roberta N. Millera pt. Metody wykrywania oraz pomiaru energii uzdrawiających.

Z tego numeru „Literatury na Świecie" można się dowiedzieć przy okazji (z materiałów źródłowych), że bioenergia jest zjawiskiem fizycznym, a bioenergoterapeuci zatrudniani są oficjalnie w szpitalach i zajmują się leczeniem chorych. Toteż zrozumiałym jest fakt, że tylu ludzi chce się poddać tego rodzaju terapii, (nie należy ich z tego powodu obrażać) znanej zresztą „od czasów Inhotepa, sławnego mędrca i lekarza ze starożytnego Egiptu" (Robert N. Miller Metody..., Lit. na Św. IV 83).

4. Neologizm „gęsizm" (użyty przez p. Wrońską) pochodzi zapewne od określenia „głupia gęś". Nie słyszałam w trakcie seansu gęgania, ale niektóre gęsi, zwłaszcza kołtuńskiej odmiany, przypominają dziennikarskie kaczki.

„wygadana asystentka"
ELŻBIETA KAŁUŻNA

Poznań, 18 III 1984 r.

OD AUTORA:

1. Serdecznie dziękuję panu Franciszkowi Fellmannowi za uznanie mego talentu pisarskiego oraz poczucia humoru. Przyjmuję ze skromnym zadowoleniem.

2. Zachęta — by szerzej zająć się zjawiskiem społecznym, jakie narasta wokół paranauki trafiła na podatny grunt. Zamierzam możliwie najwnikliwiej zająć się tym tematem, wraz z wszystkimi jego aspektami psychosocjologicznymi. Niewątpliwie przydatną okaże się dokumentacja oferowana przez pana Fellmanna, co pozwoli na „konwencję bardziej realistyczną, którą cechuje dbałość o szczegóły". Oczekuję zatem na spełnienie obietnicy.

3. Zupełnie — jak sądzę — niepotrzebnie przybiera się pan Fellmann w togę adwokata broniącego cudzej obrażonej godności. Tam bowiem, gdzie rzecz idzie o zdrowie i życie, nie ma miejsca na obrażalstwo. Zresztą, ktokolwiek poczuł się obrażony moim tekstem, może i powinien dochodzić swej krzywdy przed sądem cywilnym. Obrażeni, jeśli się tacy znajdą, nie poskąpią zapewne na wykwalifikowanego adwokata.

4. Pierwszego z listów komentować nie zamierzałam, bo też mi oczy zaszły mgłą. Ale gdy mgła opadła, zastanowiła mnie pieczątka lekarza, który potwierdził zeznania wdzięcznej pacjentki Fellmanna. Onaż ogłasza, że nie boli już głowa, ani stawy oraz ustąpiły inne cierpienia. Na koniec zaś... *„nigdy żadne lekarstwo i żadna terapia mi tak skutecznie i wyraźnie nie pomogły"*... Zastanawia mnie, czy lekarz firmujący własnym nazwiskiem opinię, rzeczywiście jest w stanie, przy pomocy jakich metod i badań, naukowo udowodnić prawdziwość słów chorego. Entuzjastycznie uzdrowieni lub symulanci mają to do siebie, że wmówić potrafią lekarzowi wszystko. Bo jak udowodnić, że chory z ciężkimi zwyrodnieniami stawów nagle przestał odczuwać ból? Jest tylko słowo przeciwko słowu, a naukowych dowodów — żadnych.

5. Drugi list natomiast ma nieco inny charakter. Dwoje ludzi po sześćdziesiątce, ciężko schorowanych, ma nadzieję — mimo praw biologii — odzyskać zdrowie i sprawność. Ludzkie to, można tylko z szacunkiem pochylić głowę przed odwiecznym pragnieniem cofnięcia czasu i jego następstw. Gdyby nie kilka dość znamiennych szczegółów. Autorka listu przyznaje, że mimo swego ciężkiego stanu zdrowia, wypala mnóstwo papierosów i łyka do 5 tabletek „z krzyżykiem", zaś jej mąż bardzo schorowany, jest przy tym otyły, co poważnie osłabia serce. Nie wierzę, by żaden lekarz nie zalecał wcześniej żelaznej diety czy rzucenia papierosów. Tymczasem małżonkowie oczekują cudu pomimo, a raczej na przekór, swej własnej niedbałości o zdrowie. Drugi fragment (nie przytoczony przez p. Fellmanna potwierdza w całej rozciągłości moją tezę, że naród kocha się w przywileju. Zbiorowy biozabieg zaspokaja egalitaryzm, ale cierpi przywilej. Więc — specjalnie dla nas, po znajomości, prośba o umożliwienie uczestnictwa w następnym seansie, poparta pochlebstwem. A jeśli Mistrz odmówi przywileju? Jeśli skieruje do egalitarnej kasy po bilet, jak wszystkich innych, to co? Załamie się wiara? Skuteczność uzdrowiciela zmaleje?

6. Osobnego komentarza wymaga dodatek autorstwa Elżbiety Kałużnej. Po pierwsze — korekta przytoczonego przeze mnie fragmentu instrukcji w czasie biozabiegu w dniu 18 lutego 1984 roku jest nieco małostkowa, co czytelnicy mogą sprawdzić. Nie zmieniłam ani sensu wypowiedzi, ani jej nie ostrzygłam. Tekst mój jest reportażem, a nie sprawozdaniem, co — przy zachowaniu wymogów wierności prawdzie — mnie pozostawia decyzję o wyborze materiału.

7. Długopis ze sobą miałam i mogłam na konferencji prasowej do upojenia notować podaną statystykę. Tylko po co? Przecież to nie jest absolutnie żaden argument, bo czymże poparty? Wynikami skrupulatnych badań naukowych? Rzetelną analizą empirycznie dowiedzionych i powtarzalnych faktów? Zgodność z dokumentacją potwierdzana jest przez lekarzy obsługujących seans? A jakżeż oni to robią? Czy mają kompletną aparaturę medyczną, łącznie z tomografem, do kontroli stanu zdrowia uczestników seansu? Czy też może stawiają te pieczątki na autorskich zeznaniach, co to... „nie czuję bólu, zepsute nerki same się naprawiły"... itp. Naukowe dowody, szanowna pani, mają to do siebie, że nie sposób ich obalić, zaś metody ich sprawdzania nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Statystyka suchych liczb takim dowodem nie jest, ani też pani nie jest żadnym autorytetem naukowym, bym jej słowa miała przyjmować jak ewangelię.

8. Jeżeli przywołanie autorytetu naukowego Roberta N. Millera oraz... „Inhotepa, sławnego mędrca i lekarza ze starożytnego Egiptu..." miało mnie przygwoździć — udało się znakomicie. Jeśli już opracowano ścisłe, zawsze sprawdzalne i absolutnie skuteczne „metody wykrywania oraz pomiaru energii uzdrawiających", drukowane w dodatku w znakomitym medycznym periodyku „Literatura na Świecie", to ja zupełnie nie pojmuję, jakim cudem pan Miller nie dostał jeszcze Nagrody Nobla. Przecież jego odkrycie bije na głowę Kopernika i Einsteina, nie wspominając już o profesorskim niedowiarku, Andrzeju Kajetanie Wróblewskim. Jeśli zatem stwierdzono ponad wszelką wątpliwość (w materiałach źródłowych, rzecz jasna), że wiemy już co to jest bioenergia i jak działa, czemuż lekarze nie głoszą urbi et orbi chwały nowej metody, miast wstydliwie skrywać w pojedynczych szpitalach nosicieli zdrowia? Może mają wątpliwości... lub obawiają się zemsty zawistnych?

9. Na koniec — uwaga. Ton listu pani Elżbiety Kałużnej przywodzi na myśl tylko jedno określenie — terroryzm. Kto nie z nami, tego na stos. Epitety „wybryk" czy „kołtuńska odmiana kaczki dziennikarskiej" dowodzą nadmiaru emocji i niedostatku intelektu. Zasię — już starożytni egipscy mędrcy wiedzieli, że nic tak nie uzdrawia człowieka, jak miłość bliźniego.

Bóg wam zapłać, dobra kobieto, za życzliwe słowo otuchy.

JOLANTA WROŃSKA

Od Rzecznika Dobra Służby Zdrowia przy Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej w Łodzi otrzymaliśmy następujące

ZAWIADOMIENIE O UMORZENIU POSTĘPOWANIA WYJAŚNIAJĄCEGO

Na podstawie § 15 ust. 2 rozporządzenia Ministra Zdrowia z dnia 22 września 1950 r. w sprawie organów kontroli zawodowej oraz postępowania w zakresie odpowiedzialności zawodowej fachowych pracowników służby zdrowia (Dz.U. Nr 27, poz. 431) zawiadamiam, że postanowieniem z dnia 19 marca 1984 r. umorzyłem postępowanie wyjaśniające przeciwko lek. dent. Barbarze Krawczyk wszczęte na podstawie doniesienia: artykułu w Odgłosach nr 43 z dnia 19.11.1983 r. wobec niedopatrzenia się wykroczenia zawodowego.

Rzecznik Okręgowy
Dr nauk med. TADEUSZ LEWY

POUCZENIE: zgodnie z § 19 ust. 3 powyższego rozporządzenia osoby (władze, urząd i zakłady), które złożyły doniesienie o wykroczeniu bądź w stosunku do których został popełniony zarzucony czyn mogą od postępowania o umorzeniu postępowania wyjaśniającego wnieść za pośrednictwem Rzecznika Okręgowego zażalenia do Rzecznika Odwoławczego w terminie 7-dniowym od daty doręczenia niniejszego zawiadomienia.

UWAGA! Obowiązujące przepisy nie wymagają podania do wiadomości osoby, która złożyła doniesienie z jakich przyczyn rzecznik umorzył postępowanie wyjaśniające. Jeżeli okręgowy rzecznik uzna za stosowne może przytoczyć uzasadnienie podjętego postanowienia i podać je do wiadomości osoby (urzędu, władzy, zakładu) która złożyła doniesienia lub w stosunku do których został popełniony zarzucony czyn.

OD REDAKCJI:

— Zażalenia nie składamy, ale — ze względu na opinię społeczną — chcielibyśmy poznać uzasadnienie tego postanowienia.

TELEFON DLA POGOTOWIA GAZOWEGO

W nawiązaniu do artykułu „Polityki" nr 10 z dn. 10.03.1984 r. pt. „Retkinia — trzy miesiące po wybuchu", dotyczącego m.in. numeru skróconego dla Pogotowia Gazowego, Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi informuje:

1. Względy techniczne pozwalają na istnienie w Łodzi tylko 10 służb specjalnych (skróconych), które od wielu już lat są wykorzystane (spowodowane istnieniem nietypowych urządzeń prod. szwedzkiej).

2. Rozszerzenie usług w zakresie służb specjalnych może nastąpić dopiero po zmianie systemu, co przewidywane jest na rok 1986. W tej chwili realizowana jest — od 1983 r. — budowa centrali tranzytowej syst. E 10, która to zadanie umożliwi.

3. Proponowaliśmy Mazowieckim Zakł. Gazownictwa PP Zakł. Gazowniczy w Łodzi zamianę istniejącego numeru Pogotowia Gazowego na numer łatwy do zapamiętania — np.: numer 33-33-33 — propozycja nie została przyjęta.

W związku z powyższym, przedstawiliśmy Prezydentowi m. Łodzi powyższy problem do decyzji, przy uwzględnieniu następujących alternatyw:

1. Nieuruchomienia służby 992 dla Pogotowia Gazowego.
2. Likwidacja jednej z istniejących służb specjalnych.
3. Stworzenie 11 służby specjalnej, przy zastosowaniu prowizorycznych pod względem technicznym rozwiązań.

Aktualnie przyjęto wariant trzeci, przewidując uruchomienie służby specjalnej — Pogotowie Gazowni „992" — do dnia 15 maja 1984 r. Należy jednak zdać sobie sprawę, że w związku z tym nastąpi zmiana aranżacji i układów elektronicznych urządzeń sterujących wszystkich central Łódzkiego Węzła Telekomunikacyjnego, co w konsekwencji spowoduje obniżenie jakości świadczonych usług przez okres jednego miesiąca (zakłócenia w pracy central miejscowych).

Dyrektor
OKRĘGU POCZTY I TELEKOMUNIKACJI
inż. K. CZA[illegible]I

„IWONA KSIĘŻNICZKA BURGUNDA" BYŁA JUŻ W ŁODZI

Całkiem przypadkowo wpadł mi w ręce numer „Odgłosów" z 3 marca 1984 roku, w którym między innymi miałam okazję przeczytać recenzję spektaklu „Iwona księżniczka Burgunda", autorstwa W. Gombrowicza, wystawianego od pewnego czasu przez Teatr Powszechny w Łodzi. Autorem recenzji jest pan Wiadysław Orłowski.

I nie mam żadnych zastrzeżeń co do oceny przedstawienia czy też samego przedstawienia. Ale mówiąc szczerze „zalała mnie krew", gdy przeczytałam, że „Iwona" nie była jeszcze wystawiana w Łodzi. Otóż, nie wiem co spowodowało, że pan Orłowski zapomniał o tym, że BYŁA wystawiana, i to z dużym powodzeniem w „Teatrze 77". Owszem, być może teatr ten jest traktowany jako nie w pełni profesjonalny, ale jednak przedstawienie „Iwony" obejrzałam tam dwukrotnie i nie ze snobizmu, a z autentycznego zafascynowania taką wersją „Iwony". Być może nie była zbyt odkrywcza i nowoczesna, ale jednak świetna, doskonała aktorsko, a bawiłam się przy tym znakomicie.

I dlatego proszę, aby recenzenci teatralni „Odgłosów" nie zapominali o tak ważnych faktach i w ten sposób nie zafałszowywali obrazu łódzkiej kultury, a w szczególności życia teatralnego.

Z poważaniem
(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

„Czarownice" i rakiety nad Albionem

Śródmieście Londynu w dniu 27 marca 1945 roku po jednym z ostatnich nalotów V-2.

Wiadomość o inwazji na Normandię i udanym lądowaniu wojsk alianckich — w dniu 6 czerwca 1944 roku — zelektryzowała niemal wszystkie narody Europy, napawając radością i nadzieją szybkiego zakończenia drugiej wojny światowej. Ale radość trwała krótko, ponieważ dokładnie tydzień po udanej inwazji aliantów, hitlerowcy użyli dawno zapowiadanej „Wunderwaffe" („cudownej broni"), która miała uchronić III Rzeszę od niechybnej klęski.

Mały, bezpilotowy samolot odrzutowy, ośmiometrowej długości o rozpiętości skrzydeł do pięciu metrów, napędzany był silnikiem pulsacyjnym przypominającym długą rurę, umieszczoną nad kadłubem. Osiemsetkilogramowy ładunek wybuchowy znajdował się w części dziobowej kadłuba. Odległość dwustu pięćdziesięciu kilometrów pokonywał z szybkością dochodzącą do siedmiuset kilometrów na godzinę. Charakterystyczny, chrzęszczący warkot słyszalny był z odległości kilkunastu kilometrów, a smugę ognia wydobywającą się z silnika można było dostrzec z kilkuset metrów. Tak właśnie wyglądała pierwsza z „cudownych broni" niemieckich: bomba latająca V-1, nazywana też przez hitlerowców Vergeltungswaffe (bronią odwetową). Kiedy V-1 znalazła się nad celem, wyłączał się silnik; pocisk milkł, aby po chwili runąć na ziemię i eksplodować. Wybuch jej burzył kilkupiętrowe bloki, a mniejsze domki jednorodzinne znosił z powierzchni ziemi. Siła przebicia V-1 była niewielka, natomiast siła podmuchu była potężna. W promieniu kilku kilometrów od miejsca wybuchu „bomby latającej", wylatywały szyby z okien i drzwi z futryn, zawalały się stropy domów, a ludzie znajdujący się w pobliżu detonacji, ginęli wskutek obrażeń wewnętrznych.

Niemcy zainstalowali około dwustu wyrzutni dla bomb V-1 na wybrzeżach Holandii, Belgii i Francji, z których odpalali bomby latające w kierunku Anglii.

W nocy z 12 na 13 czerwca 1944 roku hitlerowcy rozpoczęli pierwszy atak bombami latającymi V-1. Przez całą noc, do godziny czwartej rano, pięćdziesiąt trzy wyrzutnie opuściło zaledwie dziesięć bomb latających, których celem miał być Londyn. Trzy z nich, zaraz po starcie spadły na ziemię i eksplodowały, a czwarta okazała się niewypałem. Dwie zestrzelono nad kanałem La Manche, a tylko cztery osiągnęły cel. Pierwsza bomba wybuchła o godzinie czwartej rano w Gravesend, druga detonowała w Cukfield, trzecia spadła na Benthal Green, niszcząc most kolejowy i zabijając sześć osób. Zaś czwarta eksplodowała w Sevenoaks. Sztab niemiecki zawiedziony fiaskiem pierwszego ataku, przesunął termin następnego ataku o trzy dni polecając obsłudze wyrzutni skontrolować, naprawić i wypróbować wszystkie wyrzutnie.

Następny, nękający atak bombami V-1 zaczął się 15 czerwca, o godzinie dwudziestej drugiej i trwał czternaście godzin bez przerwy. W tym czasie wyrzutnie opuściły dwieście czterdzieści cztery bomby V-1, lecz tylko siedemdziesiąt dwie doleciały do celu. Tej nocy sierż. pil. Stanisław Domański, latający w 219 brytyjskim dywizjonie myśliwskim na samolocie typu „Mosquito" NF Mk. XXX, jako pierwszy Polak, zestrzelił latającą bombę V-1. Anglicy nazywali je „czarownicami". Od tego dnia codziennie na Londyn i okoliczne miejscowości spadało od stu do dwustu „czarownic", które detonując burzyły zabudowania, wzniecały pożary, kaleczyły i zabijały ludzi. Zapełniały się szpitale, a na cmentarzach pojawiały się świeże groby.

Po pierwszych hitlerowskich atakach bombami latającymi zorganizowano obronę Londynu — początkowo bardzo chaotyczną i mało skuteczną, później doskonałą. Ewakuowano z miasta prawie milion mieszkańców, przede wszystkim kobiety i dzieci. Na wybrzeżu rozlokowano prawie tysiąc dział przeciwlotniczych, a trzydzieści pięć kilometrów na południowy wschód od metropolii utworzono zaporę z dwóch tysięcy balonów, połączonych ze sobą stalowymi linkami i ustawionych gęsto w kilku rzędach tworzących szachownicę. Dwadzieścia dwa stanowiska tej zapory obsługiwała Polska Eskadra Balonowa. Do zwalczania bomb V-1 zaangażowano też kilkanaście dywizjonów myśliwskich RAF-u, dysponujących najszybszymi samolotami. Były wśród nich i polskie dywizjony. W końcu czerwca 1944 roku opracowano doskonały system „Anti-diver" (obrona przeciw bombom latającym), który zdał egzamin.

Pierwszą polską jednostką myśliwską, skierowaną do operacji „anti-diver" był 316 dywizjon „Warszawski", pod dowództwem kpt. pil. Bohdana Arcta, przeniesiony w dniu 1 lipca 1944 roku na lotnisko West Mailing, w hrabstwie Kent. Dywizjon 316 wyposażony w świetne samoloty typu „Mustang" Mk. III — dysponujące dalekim zasięgiem oraz prędkością do sześćset osiemdziesięciu kilometrów na godzinę — natychmiast przystąpił do zwalczania bomb V-1. Już 3 lipca pilot tego dywizjonu — sierż. Henryk Murkowski zestrzelił pierwszą „czarownicę". Wkrótce do grupy „anti-diver" dokooptowały jeszcze dwa polskie dywizjony myśliwskie, latające również na „Mustangach" Mk. III — 306 „Toruński" i 315 „Dęblińskie".

Ponowna reorganizacja obrony Londynu sprawiła, że dywizjon 316 przebazowano na lotnisko Friston, położone nad kanałem La Manche, a dywizjony: 306, 315 oraz brytyjski 129 — tworzące 133 Skrzydło Myśliwskie — przerzucono na lotnisko Brenzett, usytuowane również na wybrzeżu.

Mechanicy polskich dywizjonów myśliwskich postanowili zwiększyć prędkość „Mustangów" w locie poziomym. Eliminowali zbędne wyposażenie samolotów, nadawali idealną gładź powierzchniom skrzydeł i kadłubów, a moc silników potęgowali stosowaniem paliwa 150-oktanowego, co jednak skracało ich żywotność. Dzięki tym udoskonaleniom polskie „Mustangi" osiągały w locie poziomym prędkość dochodzącą do siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę!

„Czarownice" najczęściej pojawiały się o świcie albo tuż przed zmrokiem. Wysokość ich lotu wahała się od sześciuset do dziewięciuset metrów. Piloci myśliwscy naprowadzani na bomby latające radiostacjami naziemnymi — dysponując znaczną przewagą wysokości — doganiali „czarownicę" lotem nurkowym, atakując ją od tyłu z odległości nie mniejszej, niż dwieście metrów. Zazwyczaj celowali pociskami broni pokładowej w kadłub „czarownicy", uszkadzając sterujące nią żyroskopy albo silnik i zbiorniki paliwa. Nie było to jednak łatwe, ponieważ wytwarzające się za ogonem „czarownicy" wiry, podrzucały ścigającym samolotem, utrudniając dokładnie celowanie. Atak z mniejszej odległości groził pilotowi niebezpieczeństwem. Przekonał się o tym jeden z pilotów 316 dywizjonu — sierż. Jan Pietrzak — który zbliżył się do bomby V-1 na odległość stu metrów i oddał serię z broni maszynowej. Prawdopodobnie trafił w zapalniki „czarownicy", gdyż nastąpiła tak potężna eksplozja, że jej podmuch urwał śmigło „Mustanga" i powyginał niesamowicie skrzydła. Pilot ratował się spadochronem i wylądował na ziemi. Tym razem miał szczęście, ponieważ wielu myśliwców w podobnej sytuacji ginęło.

Zdarzało się, że „czarownica" trafiona w sterujące nią żyroskopy, wykonywała akrobacje, godne mistrzów latania. Dowódca eskadry „B" 316 dywizjonu — por. pil. Stanisław Marcisz — zaatakował bombę latającą V-1 i po oddaniu serii strzałów z broni pokładowej, ze zdziwieniem patrzył, jak „czarownica" wyleciała świecą pod niebo, po czym w przepisowej pętli przewaliła się na plecy i powróciła do lotu poziomego, lecąc w tym samym, co przedtem kierunku. Zanim pilot ponownie zaatakował bombę V-1, ta wykonała pełną beczkę, znów poszła świecą w górę i w przewrocie schodziła do lotu poziomego. Trzeci atak por. pil. Marcisza był skuteczny. Trafiona „czarownica" zniżyła lot i znurkowała do morza, gdzie detonowała wyrzucając fontannę wody.

Często w zwalczaniu bomb V-1 przeszkadzała myśliwcom własna artyleria przeciwlotnicza, zapamiętale strzelająca do zauważonej bomby latającej, nie bacząc na ścigającego ją myśliwca, który stawał się ofiarą brytyjskich artylerzystów.

Chor. pil. Tadeusz Szymański — jeden z doskonałych pilotów 316 dywizjonu — podczas jednego lotu zestrzelił dwie bomby V-1. Wskutek braku amunicji powracał do własnej bazy, celem jej uzupełnienia. Nagle dostrzegł „czarownicę", lecącą w tym samym kierunku. Nie darował jej, dogonił ją i podkładając delikatnie skrzydło „Mustanga" pod jej skrzydełko, silnie szarpnął drążkiem sterowym, wytrącając bombę V-1 z równowagi lotu. „Czarownica" spadła do morza. Później często stosował tę bardzo niebezpieczną metodę. Naśladowali go i inni myśliwcy, lecz mogli sobie na to pozwolić tylko doświadczeni piloci.

Największe sukcesy odnosili polscy lotnicy w lipcu 1944 roku. 5 lipca dywizjon 316 zestrzelił siedem bomb V-1, a 22 lipca, dywizjony 306 i 316 strąciły aż dwadzieścia „czarownic". Dywizjonowi 316 „warszawskiemu" zaliczono w lipcu pięćdziesiąt zestrzelonych bomb latających.

Niezależnie od zwalczania bomb V-1 w powietrzu, atakowano również magazyny tej broni i wyrzutnie na wybrzeżach Holandii, Belgii i północnej Francji oraz transporty kolejowe i drogowe, przewożące bomby latające. W końcu czerwca 1944 roku „Lancastery" 300 dywizjonu bombowego Ziemi Mazowieckiej zbombardowały w okolicy St. Len Essrent — w północnej Francji — ukryty w grotach magazyn bomb V-1, w którym znajdowało się ponad dwa tysiące „czarownic". Myśliwcy innych polskich dywizjonów bez przerwy tropili i atakowali tak z broni pokładowej, jak i bombami transporty zdążające nie tylko z głębi Niemiec, lecz także transporty przechodzące przez granicę francusko-hiszpańską, załadowane częściami do bomb V-1, produkowanymi w hiszpańskiej wytwórni w Pamplonie.

Późną jesienią 1944 roku, w ciemne, bezksiężycowe noce, z lotnisk położonych w rejonie Emden — przy granicy niemiecko-holenderskiej — startowały dwusilnikowe bombowce niemieckie heinkle, He-111, dźwigając pod skrzydłem, tuż przy kadłubie, po jednej bombie latającej V-1. Przelatywały nad Wyspami Fryzyjskimi i nad Morzem Północnym, a gdy znalazły się w odległości około trzystu kilometrów od brzegów Anglii, odpalały bomby V-1 i powracały do własnych baz. Nowa operacja Niemców zakończyła się niepowodzeniem, ponieważ Brytyjczycy sprowadzili na wybrzeże kilka dywizjonów myśliwców nocnych — między nimi i polski dywizjon 307 Lwowskich Puchaczy, wyposażony w samoloty „Mosquito" NF Mk. XII — które z łatwością zestrzeliwały hitlerowskie samoloty-nosiciele bomb V-1. Niemcy ponosili podwójną stratę, tracili samolot i bombę V-1 jednocześnie.

W 1945 roku, gdy obrona przeciwlotnicza niemiecka była już mało skuteczna, lotnicy wyczekiwali na bomby V-1, latając przy ich wyrzutniach naziemnych i niszczyli je bezpośrednio po starcie. Ostatnią „czarownicę" zestrzeloną przez Polaków zaliczył w dniu 25 marca 1945 roku por. pil. Henryk Bibrowicz z 315 dywizjonu „Dęblińskiego".

Dzięki odwadze i bohaterstwu lotnicy polscy zestrzelili sto dziewięćdziesiąt bomb latających V-1, plasując się na czołowych miejscach w tej operacji, w całym RAF-ie. Dywizjon 316 „Warszawski" zajął drugie miejsce strącając siedemdziesiąt cztery bomby latające, trzecie miejsce przypadło dywizjonowi 306 „Toruńskiemu", mającemu na swym koncie pięćdziesiąt dziewięć bomb V-1, a czwarte dywizjon 315 „Dęblińskiego", legitymując się cyfrą pięćdziesięciu trzech „czarownic".

Po zakończeniu wojny w 1945 roku i zajęciu przez wojska brytyjskie części terytorium Niemiec, grupa poszukiwaczy broni i amunicji wykryła w lesie pod Hamburgiem podziemny magazyn, w którym było dwa tysiące bomb V-1. Połowa z nich wyposażona była w miniaturowe kabiny pilotowe, co wskazywało na ewentualne wykorzystanie ludzi do kierowania tymi bombami w locie..

8 września 1944 roku, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, na londyńskim przedmieściu Chiswick, potężna eksplozja wstrząsnęła zabudowaniami. Potem nad miastem przetoczył się huk, przypominający grzmot burzy. Sześć domów legło w gruzach, a kilka innych zostało poważnie uszkodzonych. Sześć osób zginęło na miejscu, a siedemnaście odniosło poważne obrażenia. To była druga z hitlerowskich „Wunderwaffen" — pierwsza rakieta V-2 wyrzucona na Londyn. W kilkanaście sekund później nastąpiła podobna detonacja w południowo-wschodniej dzielnicy Epping. Niemcy rozpoczęli ofensywę rakietami.

V-2 była rakietą jednostopniową, długości około czternastu metrów i wadze piętnastu ton, a w jej głowicy znajdował się ładunek wybuchowy ważący jedną tonę. Rakietę V-2 odpalano z niewielkich wyrzutni, zajmujących małą przestrzeń na polankach leśnych. Wyrzutnię stanowiło kilka płyt betonowych oraz czternastometrowej wysokości kratownica, podtrzymująca rakietę przy starcie. W pobliżu wyrzutni stało kilka autocystern z paliwem dla rakiet. Wszystko to było starannie zamaskowane sieciami maskowniczymi.

Po starcie rakieta kierowała się niemal prostopadle ku niebu, osiągając wysokość około osiemdziesięciu kilometrów, gdzie wyłączał się silnik, z powodu wyczerpania się paliwa i rakieta przechylała się ku ziemi, spadając na nią z prędkością ponad pięć tysięcy kilometrów na godzinę, osiągając ziemię eksplodowała. V-2 była bronią bardzo groźną. Jej wybuch potrafił zniszczyć całkowicie wielki gmach, a po detonacji w terenie nie zabudowanym, powstawał lej o średnicy dochodzącej do pięćdziesięciu metrów. 25 listopada 1944 roku jedna z rakiet spadła na dom towarowy Woolwortha w Depford, niszcząc go doszczętnie i zabijając sto sześćdziesiąt osób czyniących zakupy.

W przeciwieństwie do bomb latających V-1, dostrzegalnych i słyszalnych z odległości wielu kilometrów, a przede wszystkim uchwytnych radarem, artyleria czy myśliwcami, pozwalając ostrzec ludność alarmami przeciwlotniczymi, rakiety V-2 ze względu na olbrzymią prędkość lotu, przebiegającego w dużej części w stratosferze, były w ogóle nieuchwytne.

Przeciwdziałać atakom i zmniejszyć ich skuteczność można było tylko bombardowaniem wyrzutni rakietowych, magazynów z tą bronią oraz transportów kolejowych i drogowych, przewożących rakiety. Ale wykrywanie i niszczenie tych obiektów było niezwykle trudne.

Do niszczenia wyrzutni rakietowych używano przede wszystkim samolotów myśliwskich, dysponujących dużą prędkością i uzbrojonych w broń pokładową oraz bomby. Polskie dywizjony myśliwskie — 302 „Poznański", 308 „Krakowski" i 317 „Wileński" — wchodzące w skład 131 Skrzydła Myśliwskiego, niejednokrotnie uczestniczyły w wyprawach przeciwko wyrzutniom rakietowym V-2. Lotnicy polscy przeprowadzali pozorowane ataki z dużej wysokości, ściągając na siebie artylerię przeciwlotniczą, a w tym samym czasie wyznaczona eskadra wykonywała atak na wyrzutnie z lotu koszącego. Doskonale radzili sobie również z torpedowaniem i bombardowaniem pociągów przewożących rakiety V-2. Taki pociąg składał się z wagonów o dużych rozmiarach, tak starannie maskowanych, że oglądane z dużej wysokości nie różniły się od normalnych wagonów kolejowych. Zwykle transport z rakietami, poprzedzany był pociągiem ubezpieczającym, wyposażonym w broń przeciwlotniczą. Lotnicy polscy markowali atak na pociąg ubezpieczający. Wtedy pociąg z transportem rakiet wycofywał się, a odwodowe dywizjony myśliwskie z lotu koszącego bombardowały tor kolejowy przed i za wycofującym się pociągiem, który stojąc w miejscu stawał się łatwym celem do zniszczenia.

Podczas akcji 131 Skrzydła Myśliwskiego na dworce i linie kolejowe w Holandii jedna z eskadr dywizjonu 308 oderwała się od wyprawy i zaatakowała skutecznie bombami kolejową składnicę bomb latających V-1, powodując potężny wybuch w sąsiadującym magazynie rakiet V-2. Podmuch tej potężnej eksplozji wyprowadził z równowagi lotu samoloty, lecące na wysokości tysiąca trzystu metrów, kalecząc je odłamkami rakiet, wirującymi w powietrzu.

Niezależnie od bombardowania transportów kolejowych i składnic rakiet V-2, lotnicy 131 Skrzydła wyspecjalizowali się też w niszczeniu rakiet V-2 przed ich odpaleniem z wyrzutni. Niemcy doświadczeni nieustannym wykrywaniem i likwidowaniem stałych wyrzutni rakietowych przez lotnictwo alianckie wprowadzili ruchome wyrzutnie rakietowe zainstalowane na samochodach. Konwój składał się z kilku olbrzymich samochodów na obrożonym podwoziu wiozących składaną wyrzutnię oraz rakietę. Natychmiast po odpaleniu rakiety demontowano wyrzutnię i przemieszczano się gdzie indziej. Wykrycie i przechwycenie konwoju nastręczało wiele trudności, ponieważ hitlerowcy dokładnie go maskowali. Ale lotnicy 131 Skrzydła latali na niskich wysokościach nad obszarami, gdzie najczęściej obserwowano odpalanie rakiet, przechwytywali konwoje i niszczyli je bombami.

Wtedy Niemcy zaczęli malować na samochodach konwoju godła Czerwonego Krzyża, a Konwencja Genewska zabraniała atakowania obiektów z takimi znakami, czego zresztą ściśle przestrzegali alianci. Toteż piloci polscy zaskakiwali i atakowali konwoje podczas montażu wyrzutni lub odpalania rakiety, gdyż wtedy konwoje nie były już obiektami chronionymi, lecz stawały się obiektami wojskowymi. Zaskoczenie ułatwiało długotrwałe montowanie wyrzutni, ustawienie na niej rakiety oraz kontrolowanie mechanizmów rakiety przed jej startem. Zaskakujące ataki myśliwców powodowały nerwową pracę obsługi rakiet, co było przyczyną częstego przewracania się rakiety na wyrzutni bądź niedokładnego jej odpalenia.

Ostatnia rakieta V-2 spadła 27 marca 1945 roku na Orpington.

W czasie ofensywy „Wunderwaffen" na Wielką Brytanię, dziesięć i pół tysiąca bomb latających V-1 opuściło wyrzutnie, a tylko siedem i pół tysiąca osiągnęło brzegi angielskie, z czego artyleria przeciwlotnicza zestrzeliła około dwóch tysięcy sztuk i lotnictwo myśliwskie podobną ilość. Ponad dwieście bomb latających wpadło w sieci balonów zaporowych. Mimo to na Londyn spadło dwa i pół tysiąca, a na inne miejscowości ponad tysiąc bomb latających V-1, zabijając ponad sześć tysięcy ludzi i kaleczą: osiemnaście tysięcy. Ponadto bomby V-1 zniszczyły doszczętnie dwadzieścia trzy tysiące i poważnie uszkodziły ponad sto tysięcy domów. Natomiast ze skierowanych na Anglię ponad tysiąca trzystu rakiet V-2 tylko tysiąc dwieście dotarło do celu, zabijając ponad dwa i pół tysiąca ludzi, a sześć i pół tysiąca osób odniosło poważne obrażenia. W różnych i licznych operacjach przeciw hitlerowskim broniom odwetowym, poczynając od 1943 roku, lotnictwo brytyjskie zrzuciło około sto tysięcy ton bomb, tracąc prawie trzy tysiące pilotów i innych członków załóg oraz czterysta dziewięćdziesiąt samolotów.

Lotnicy polscy wnieśli duży wkład w niszczenie tak bomb latających, jak i rakiet V-2, zasługując na wdzięczność Brytyjczyków. Dowódca Fighter Command (Lotnictwa Myśliwskiego RAF-u) tak powiedział o polskich myśliwcach, służących pod jego rozkazami w czasie nalotów „latających bomb" V-1: „Mieszkańcy Londynu i południowo-wschodniej Anglii mieli wszelkie powody ku temu, by błogosławić tych ludzi. Czynili i czynią to z całego serca".

Portret prezydenta

Ronald Wilson Reagan, 40 prezydent USA, lubi opowiadać radakom, że żyją niemal w wieku bohaterów. Wystarczy, żeby wiedzieli ku komu zwrócić oczy. 25 stycznia wieczorem, pod koniec swojego agitującego przemówienia o stanie państwa Reagan wiedział, ku komu skierować oczy. Tuż obok własnej żony ulokował młodego sierżanta, który dokonał cudów waleczności na Grenadzie. Ulokował człowieka, „który przypomina nam, co to znaczy być Amerykaninem" Była to klasyczna zagrywka Reagana. Któż mógłby powstrzymać się, żeby nie wstać i nie uczcić umundurowanego, dobrze prezentującego się młodzieńca? I czyż wiwaty, jakie rozległy się na cześć sierżanta, nie wyrosły w fale przychylności do dzielnego naczelnego wodza, który posłał swoje wojska w obronie „wolności przed tyranią". „Niech Cię Bóg błogosławi, sierżancie!" — wykrzyknął uczuciowy i starzejący się uczeń Thespisa. Po wszystkich trudach minionego trzylecia Reagan manewruje równie żwawo, jak to robił zawsze Jest żywym dowodem tego, że Amerykanie, gdy mają u swojego przywódcy wybierać między stylem i treścią, dużo więcej wolą... styl. Mówiąc po prostu, rzecz w wierze. Lokator Białego Domu musi być: dostatecznie męskim symbolem dążeń najbardziej na świecie różnorodnego, energicznego i ambitnego narodu.

Reagan jest człowiekiem intelektualnie leniwym, nie dbającym o detale, niekiedy naiwnym niemal do prostactwa żywiącym uprzedzenia, będącym w swoim widzeniu świata o 30 lat do tyłu, budzącym — jeśli pomyśleć o wojnie jądrowej — strach obojętnym w stosunku do Murzynów i biedoty (skoro do wszystkiego doszedł sam, to trudno mu nie winić za niedołęstwo tych, którym się nie powiodło), dezorientująco gotowym do akceptowania nawzajem sprzecznych myśli. Jest ucieleśnieniem „marzenia Amerykanów" Od syna uciekającego się sprzedawcy butów do... Białego Domu... via Hollywood. Ma optymizm jaśniejący na rumianej, choć pomarszczonej twarzy i spływający na kraj w przyjemnych dla ucha zdaniach każdego wygłaszanego przemówienia Obrazy, jakimi Reagan się posługuje, to: marzenia, cuda, misja dziejowa. „Zmieniamy historię Ameryki" — powiedział w styczniu br. i przywołał obraz „żywotności odwagi, ufności we własne siły tego młodzieńczego narodu, jakim wciąż jest Ameryka" Całe orędzie Reagana o stanie państwa było utrzymane w takim optymistycznym tonie. Jimmy Carter i w chwilach sukcesu wyglądał na zatroskanego. Reagan nawet w momentach niepowodzeń sprawia często wrażenie triumfatora. Jego kadencja to jakiś gigantyczny paradoks. Poważnie zawiodła — zarówno pod względem swoich celów, jak i osiągnięć. A jednak — tuż u progu nowej kampanii prezydenckiej — została uznana za pomyślną przez większość ekspertów wyborczych Reagan uratował prezydenturę, a tym samym rdzeń konstytucji USA przed bezsilnością, której początek dała afera Watergate Paradoks ma korzenie głęboko w osobowości Reagana: najstarszy ze wszystkich dotychczasowych prezydentów wabi ku sobie energię młodości: pobił cięcia w budżecie pozbawiające zasiłków miliony ludzi, ale zadzwoni, żeby wyrazić współczucie złamanym losie wyczytał w gazecie do Komisji Praw Obywatelskich mianuje przeciwników stanowczego na rzecz tych praw działania, za to odwiedzi terroryzowana przez Ku Klux Klan rodzinę murzyńską.

Reagan — ów normalny przystępny facet którego każdy łatwo może sobie wyobrazić jako członka drużyny kręglarskiej w dowolnym miasteczku — przywrócił imperialny" (czy też jak wyraził się jeden z komentatorów, „papieski") styl prezydentury Na widok Reagana nawet wyżsi urzędnicy Białego Domu zrywają się z miejsc. I spełniają jego życzenia z taką uniżonością, jakiej nikt z zewnątrz by nie podejrzewał Stary aktor filmowy wie jak należy grać te role A - po Carterze — naród amerykański pragnął właśnie teatru. W wieku ograniczeń recesji w kraju, rozczarowań w świecie po to wybrano Reagana, aby upewnić naród, iż nie istnieją żadne ograniczenia, żadne rozczarowania. Orędzie Reagana — podobnie jak Franklina Roosevelta, bożyszcza jego młodości — brzmi: „Nie musimy lękać się niczego prócz samego lęku" W obliczu prezydentury, której podstawą jest wiara, większość krytyków uznaje, teraz, jak głupie były próby wykazywania, że Reagan często nie zna tego, o czym mówi. Ci komentatorzy, którzy upierają się przy zwracaniu uwagi, że jest on posągiem na glinianych nogach, sami sprawiają wrażenie małostkowych i niemiłych.

SŁONECZNE DNI

No i co z tego, że Carter znał dokładnie każdy fakt, rzadko odpoczywał i regularnie zwoływał konferencje prasowe? Czegóż ma dowieść to, że Reagan żadnej z tych rzeczy nie robi? Prasa — która w Stanach Zjednoczonych pyszni się i puszy w sposób, o jakim brytyjskiej nawet by się nie śniło — została zupełnie poskromiona; szczególnie od czasów, gdy zetknęła się z wybuchem nienawiści społeczeństwa do niej po tym, kiedy Reagan nie wpuścił dziennikarzy na Grenadę i kiedy gazety zaczęły z tej racji biadać nad lekceważeniem ich konstytucyjnej roli. Zwoływania konferencji prasowych Reagan prawie całkiem zaniechał, biegnąc do swojego, już warczącego helikoptera, przykłada tylko zwiniętą w trąbkę rękę do ucha... na które nie słyszy; a z narodem, jakiemu przewodzi, komunikuje się: albo poprzez przemówienia, nienagannie odczytywane z ledwo widocznej kawalkady limuzyn, albo poprzez orędzia telewizyjne. Żaden poprzedni prezydent nie korzystał z trybuny Białego Domu równie skutecznie jak Reagan, żeby ponad głową Kongresu i środków masowego przekazu dotrzeć ze swoim słowem do narodu amerykańskiego.

Reagan sprowadza skomplikowane problemy do rzeczy prostych, strawnych dla każdego. Przywołuje wspomnienie Ameryki, której już nigdy nie będzie i która, być może nigdy nie istniała — Ameryki Hucka Finna i Tomka Sawyera, szczęśliwych dni, kiedy każdy znał swoje miejsce i kiedy z drugiej strony globu nie wyzierało żadne „czerwone niebezpieczeństwo". Reagan wytycza sobie drogę marszu naprzód wodząc zdecydowanie palcem po mapie... z dnia wczorajszego. I ludzie, którzy wtedy wiedzieli, gdzie są, lecz dziś nie są tego już tak pewni, podążają z nadzieją za Reaganem Nie jest to żaden wymysł Jedna z ostatnich ankiet opinii publicznej wykazała, że 61 proc Amerykanów wierzy, iż przyszłość będzie lepsza od przeszłości, 4 lata temu takich ludzi było tylko 43 proc. Jest to zdecydowana zmiana nastrojów.

Jak to Reagan robi? Jego lenistwo jest powszechnie znane. Niektórzy szacują, że „naprawdę" pracuje zaledwie 2 czy 3 godziny dziennie Sam powiada: „Jestem leniwym facetem Pracuję do pewnego momentu a potem mówię — „do diabła z tym wszystkim". Nikt nie może na pewno powiedzieć kiedy Reagan ostatnio przeczytał jakąś książkę A swoje wieczory przywódca wolnego świata spędza przeważnie na oglądaniu „papki" serwowanej przez telewizję. W czasie rozmowy lubi opowiadać anegdoty niekiedy sprośne Ludzi poważnych, składających mu wizyty, szokuje tym, że spora część rozmowy poświęca opowiadaniu historyjek i nierzadko pomija to, co było najważniejszym tematem spotkania Nawet osoby powszechnie znane mają czasem wrażenie że prezydent nie wie, kim są

W swoim gabinecie powiesił na najbardziej honorowym miejscu portret prezydenta Calvina Coolidge'a — człowieka który spał każdego popołudnia i który razu pewnego rzekł, Bezrobocie wynika z tego że bardzo wielu ludzi nie ma pracy" Pamięć Reagana jest zawodna. Myli on rzeczywistość z tym co widział na filmie. Przydarzyło mu się to przed kilkoma tygodniami podczas uroczystości dekoracji Medalami Honorowymi" Reagan z przyjemnością wydobył w swój gawędziarski styl i opowiedział o lotniku który w czasie wojny otrzymał pośmiertnie taki medal za to, że dobrowolnie, zamiast wyskoczyć, pozostał w spadającym bombowcu, żeby nie opuścić rannego i nie mogącego się wydostać młodego strzelca pokładowego. Według Reagana, pilot rzekł do strzelca: „Nieważne, synku, jakoś razem dobrniemy tam na dół" Szperano w uzasadnieniach wniosków odznaczeniowych z czasów wojny, ale nie natrafiono na ślad takiego zdarzenia. Dopiero jakiś bystry kinoman przypomniał sobie, że prawie identyczna scena była w jednym z filmów wojennych. Sam Reagan — w swojej, napisanej za niego przez jakiegoś anonima, autobiografii pt. „Gdzie jest reszta mnie?" — pisał przed 20 laty: „Aktor spędza co najmniej połowę czasu w świecie fantazji". W jego przypadku fantazja jeszcze zwleka z odejściem.

Stanowi to jednak również ważny element siły politycznej, ponieważ pozwala na jeszcze jeden doniosły aspekt paradoksu, jakim jest Reagan Przez swoją prawicową frazeologię prezentuje się jako konserwatysta, który nigdy nie odstąpił od ideologicznego punktu widzenia. Jednak prawdą jest, że zarówno jako gubernator Kalifornii, jak i w Białym Domu Reagan często ustępował przed nieuniknioną ze względów politycznych koniecznością. „Papieski" styl sprawowania prezydentury przez Reagana pozwala mu na odłączenie własnej osoby od nieprzyjemnej polityki. Delegowanie kompetencji i widoczna nieznajomość szczegółów zwalniają go od winy za niepowodzenia. Pewien obserwator Białego Domu powiedział: „Za Reagana nie mogłaby się zdarzyć afera Watergate, ponieważ nigdy nic równie szczegółowego nie trafia na jego biurko".

Jest to z jednej strony chytry mechanizm obrony, który pomaga w tym, że Reagan jest cały czas bardziej popularny niż jego polityka Ale z drugiej strony tłumaczy, dlaczego tej prezydenturze brak środka koncepcyjnego i dlaczego — kiedy spełniono główne wyborcze obietnice Reagana, tzn. obniżkę podatków oraz wzrost budżetu wojskowego — rząd prawie już tylko reaguje na wydarzenia. Najważniejsze jest to, że nie istnieje żadna konsekwentna polityka w zakresie stosunków Wschód-Zachód.

Do Reagana problemy trafiają w formie wariantowych propozycji: zazwyczaj jako mininotatki, wsparte ustnym zreferowaniem. Reagan woli dowiadywać się słuchając, niż czytając. To co mu się referuje, jest zresztą i tak mocno skrócone, żeby dostosować się do jego gustu. Reagan wybiera tę spośród wariantowych propozycji która mu się najbardziej podoba. Michael Deaver, wiceszef sztabu urzędniczego w Białym Domu i najbliższy Reaganowi współpracownik — coś w rodzaju naczelnego kamerdynera — powiedział niedawno: „Ronald Reagan jest jedyną osobą, jaka znam która nie musi ważyć spraw Jego pomysły pochodzą z głębi jego osobowości". Deaver mówił to z podziwem, lecz większość innych ludzi mogłaby uważać metodę Reagana za nieco alarmującą.

W sprawach zagranicznych podstawowe pytanie, jakie stawia sobie Reagan, to: „W jakim stopniu kryją się za tym Rosjanie", a w sprawach krajowych miernikiem jest zazwyczaj — „Czy to pomoże uwolnić ludzi od biurokracji państwowej?" Takie prymitywne kryteria wiodą zarówno do poważnych pomyłek politycznych, jak i do kłopotliwych gaf. Amerykańska piechota morska przysiadła w kucki na lotnisku bejruckim (fakt, że jest tam tak narażona na atak, stanowi największe niebezpieczeństwo dla reelekcji Reagana), kiedy prezydent awansował stuletni konflikt wewnątrzlibański do godności „żywotnego interesu Ameryki, dlatego że tam za wzgórzami czaili się Rosjanie. Reagan powiedział: „Jesteśmy w wojnie (ze Związkiem Radzieckim) i przegrywamy po prostu dlatego, że nie uświadamiamy sobie, iż w niej jesteśmy". Nie jest konsekwentny; sprzedaje Rosji zboże („prawdopodobnie — jak zauważył pewien komentator — ponieważ bardziej kocha kapitalizm, niż nienawidzi komunizm"), ale antyradzieckim kryterium posługuje się przy większości okazji.

KŁÓTNIE WYCHODZĄ NA JAW

To antyradzieckie kryterium podbudowuje naczelną strategię Reagana, która polega na próbie zastraszenia Związku Radzieckiego, żeby ten ostatni dobrze się sprawował. Na razie wynikiem tego jest: 40 procent wzrostu realnych wydatków na zbrojenia i, po raz pierwszy od 15 lat, brak wszelkiego dialogu z ZSRR. W odniesieniu do Trzeciego Świata kwestia praw człowieka zeszła na drugi plan w porównaniu z antykomunizmem. Właśnie dlatego tak bezkarnie działają salwadorskie „plutony śmierci".

Jednak Reagana zawsze bardziej interesują sprawy wewnętrzne niż zagraniczne. Od czasów kiedy będąc gwiazdorem filmowym uważał że płaci za duże podatki, potępia wysokie opodatkowanie (i co za tym idzie, rząd) jako przysparzające ciężarów inicjatywie prywatnej i jako jej wrogie „Tym, co najchętniej by widział jest to, żeby ten kraj pozostał krajem, w którym człowiek zawsze może się wzbogacić. To jest to, co mamy i co musi być zachowane". Są to słowa, które gdy przyjdzie pora, byłyby właściwym napisem na nagrobku Reagana

W styczniu mówił o „amerykańskim cudzie gospodarczym", a przecież nawet ci ekonomiści, którzy w polityce są konserwatystami, sądzą, że w najbliższych 18 miesiącach nastąpi krach, kiedy gospodarka nie podoła deficytowi budżetu państwowego. W artykule pt. „Reaganowska rewolta, której w rzeczywistości nie było", Herbert Stein, ongiś główny doradca ekonomiczny Nixona, pisał: „Łączne podatki są prawie tak samo wysokie, jak zawsze. Wydatki, jeśli je mierzyć w procentach dochodu narodowego, są wyższe. I nie ma żadnych rozsądnych perspektyw, żeby w nadchodzących latach doszło do jakiejś znacznej redukcji opodatkowania czy wydatków". Reagan jest niewrażliwy na taką krytykę (a bardziej prawdopodobne wydaje się, że o niej nie wie). Ma bowiem obsesję, żeby wokół niego panowała zgodność poglądów i żeby z Białego Domu nie wydostał się na zewnątrz choćby drobny powiew nieporozumień. Dlatego właśnie, gdy kłótnie wychodzą na jaw, Reagan grozi nawet bliskim współpracownikom, że podda ich przesłuchaniu przy użyciu „wykrywacza kłamstw". Dlatego też próbuje narzucić dożywotnią cenzurę 123 tysiącom wyższych urzędników państwowych. „Samowładcze usposobienie to jeszcze jeden paradoks, dziwny kontrast z postawą: „no- i plunąć na to", cechująca styl Reagana. Ale zawsze było dwóch Reaganów. Jeden, pogodny optymista, który pisał o swoim dzieciństwie spędzonym w stanie Illinois: „To były najpiękniejsze czasy mojego życia. Nigdy nie chciałem niczego więcej. Antwtedy, ani teraz". Drugi to ów student z pierwszego roku, kierujący strajkiem przeciw rektorowi swojego college'u". W Hollywood Reagan był nie tylko genialnym gwiazdorem filmów drugiej klasy, lecz również przywódcą związkowym, który wyłącznym zainteresowaniem polityką zanudził pierwszą żonę, aktorkę Jane Wyman: zanudził tak, aż doszło do rozwodu. Byłoby mylne mniemać, że Reagan trafił w wir polityki dopiero w późnych latach życia. Wprawdzie zmienił obóz (określa siebie z czasów hollywoodzkich jako „prawie liberała, niemal chorego na krwawiczkę — liberała", któremu ze współczucia „dla spraw zdanych na zagładę serce krwawiło"), ale pociąg do polityki Reagan miał zawsze. Jeszcze nie wszystko jest jasne, jak to było z jego przedzierzgnięciem się z demokraty i zwolennika „Nowego Ładu", głoszonego przez Roosevelta, w rzecznika ideologii konserwatywnej. Reagan przeżył nieco ciężkich czasów w związku z wślizgiwaniem się gangsterów do hollywoodzkich związków zawodowych. W pewnym okresie, po pogróżkach, że zostanie oszpecony, zaczął nosić pistolet. Reagan odegrał dwuznaczną rolę w dniach „polowania na czarownice" urządzanego przez ówczesnego senatora McCarthy'ego. Sam nie chciał być donosicielem, ale godził się z „czystką" wymierzoną przeciwko komunistom. Obecną żonę, Nancy, spotkał gdy przyszła do niego po pomoc w oczyszczeniu jej od zarzutu powiązań z komunistami. Oczywiście, zarzut wynikał z pomyłki — z tego, że Nancy wzięto za kogoś innego. Drugie małżeństwo Reagana (mamy tu kolejny paradoks: jest pierwszym prezydentem, który ma za sobą rozwód) dało mu zarówno żonę o poglądach konserwatywnych, jak prawicowca teścia oraz zbiegło się z ofertą wielkich pieniędzy od koncernu General Electric za to, żeby został apostołem gospodarki prywatnej, apostołem pośród robotników tej firmy i pośród tych, co przychodzą na odczyty za stołem jadalnym.

Ktoś oszacował, że Reagan w ciągu 10 lat miał 40 000 godzin przemówień publicznych. Jest to wyjątkowy staż, który podbudowuje talenty aktorskie Reagana. W 1964 roku Reagan stał się znany w całym kraju, gdy wygłosił bardzo udane przemówienie telewizyjne, popierające — skazanego później na przegraną — Barry'ego Goldwatera. „Wy i ja spotykamy się z przeznaczeniem — powiedział prorocze Reagan do narodu amerykańskiego — możemy dla naszych dzieci ocalić to (USA — przyp. aut.), tę ostatnią największą na ziemi nadzieję człowieka, albo możemy nasze potomstwo skazać na 1000 lat ciemności". Reagan mógłby to przemówienie wygłosić w styczniu br. I wygłosił... w swoim orędziu o stanie państwa.

Konserwatyści z trudem mogli uwierzyć własnym oczom, że oto, niczym feniks, nowy zapaśnik wyłania się z popiołów starego. Po katastrofalnym dla prawicy przywództwie Goldwatera pojawiło się możliwe do przyjęcia oblicze kapitalizmu wolnorynkowego, pojawił się człowiek, który palcami masażysty zatrze u konserwatystów poczucie winy za to, że żywili samolubne myśli i bezlitosne nastawienie do biedoty i Murzynów.

Wsparty finansowo przez kalifornijskich milionerów — takich co to sami, a nie ich rodzice, doszli do milionów — Reagan, któremu zresztą pomogli się stać bogatym dzięki sprytnie przeprowadzanym interesom i u którego mają po dziś dzień duże wpływy — „wyszedł na prostą". A wraz z nim Nancy — nieśmiała, ładna i egoistka — którą w Białym Domu trzeba było odwieść od jej nawyku wydawania dużo pieniędzy i namówić do udziału w kampaniach pod hasłem zwalczania narkomanii, po to, żeby żona nie pogarszała opinii o człowieku, w którym i tak widziano przyjaciela bogaczy. Gdyby Nancy pozostawiono samą sobie, spędzałaby dnie, plotkując przez telefon i przymierzając nowe sukienki. Jej wpływ umacnia i podbudowuje konserwatywną filozofię Reagana. Są sobie bardzo bliscy i gdyby Nancy zadecydowała, że nie chce dłużej być pierwszą damą USA (parę miesięcy temu była przygnębiona po śmierci ojca i straciła tyle na wadze, że Waszyngton zaczął spekulować, czy nie jest poważnie chora), to Reagan nie wstąpiłby ponownie w szranki.

SZCZEGÓLNA OSOBA

Z pewnością kocha funkcję, do której dążył bez wytchnienia 12 lat. Sam mówi: „Nie tylko dostałem rolę, ale i sam piszę scenariusz". Reagan często mówi o nudzie, jaką odczuwałby nawet będąc z powrotem na swoim ukochanym ranczu w górach nad miastem Santa Barbara. Za twardą zasadę uważa, że „człowiek nigdy nie odchodzi od nie skończonej roboty".

Zdumiewające, ale sprawa wieku wydaje się mniej ważna, niż była przed 4 laty. Reagan ma twarde, świetne zdrowie — gimnastykuje się co dzień pół godziny — i zdaje się nigdy, nawet przez jeden dzień, nie czuć się fizycznie źle. Jak to rzekł pewien zgryźliwy krytyk prezydenta: „Ten się raczej nie wypala".

Osiągnięciem Reagana jest, że przesunął w prawo poglądy ludności na takie sprawy, jak opieka społeczna i obronność kraju. Wykazał, że prezydent, który jest zdecydowany, naprawdę może kierować rządzeniem państwa. Przywrócił godność Białemu Domowi i na nowo rozniecił patriotyzm Amerykanów. Znalazł odpowiedź na zasadniczą sprawę, jakiej wymaga funkcjonowanie rządu USA, a mianowicie, że prezydent powinien być zarazem: zwykłym obywatelem powołanym na krótki czas do służenia swojemu krajowi, ale przez ten krótki czas również szczególną, wyodrębnioną osobą.

„Marzenie Amerykanów" może się starzeć, ale jest ono nadal żywe i w dobrym samopoczuciu w Białym Domu. Od dziś do listopada wszystko może się zdarzyć, ale dziś najtrafniejsza diagnoza musi brzmieć: że większość Amerykanów ma nadzieję, iż to „marzenie" będzie tam rezydować do stycznia 1989 r.

(„THE OBSERVER")

W kręgu fantastyki

Fatalne dla Ziemi ustawienie planet?

ANDRZEJ DONIMIRSKI

Dzień 2 listopada 1982 roku był dość szczególny dla naszego Układu Słonecznego. Tego dnia bowiem, wszystkie planety krążące wokół Słońca zgrupowały się po jednej jego stronie. Niektórzy sądzą, że stwarza to złe prognozy dla przyszłości Ziemi, a przede wszystkim dla panującego na niej klimatu. Czy rzeczywiście? Być może, ale historia ta zaczyna się bardzo dawno.

Na początku było zatopienie legendarnej Atlantydy...

Około dwanaście tysięcy lat temu, a ściślej w roku 8498 przed naszą erą (nawet tak odległą datę można dziś wyliczyć dzięki systemom komputerowym!), wydarzyła się straszliwa katastrofa. Jedna z licznych planetoid, małych planetek, których tysiące obiega Słońce w przestrzeni pomiędzy Marsem a Jowiszem, odchyliła się od swego dotychczasowego toru i uderzyła w Ziemię! A zostało to spowodowane — jak twierdzi autor tej hipotezy, niemiecki uczony Otto Muck — fatalnym wtedy dla Ziemi usytuowaniem się planet...

Ale po kolei. O co właściwie tu chodzi?

Otóż — jak wiadomo — Ziemia wraz z pozostałymi planetami: Merkurym, Wenus, Marsem, Jowiszem, Saturnem, Uranem, Neptunem i Plutonem okrąża Słońce w czasie rocznej swej drogi. Jednakże czas tej podróży trwa tylko w przypadku Ziemi 365 dni. Inne planety krążą szybciej (Merkury w 88 dni, Wenus 225 dni) lub wolniej (Mars 687 dni, Jowisz prawie 12 lat, Saturn aż 30 lat itd.), ponieważ orbity ich położone są bliżej lub dalej od gwiazdy centralnej. W efekcie, każda planeta znajduje się w danym momencie swej drogi wokół Słońca w innym miejscu aniżeli pozostałe. Jedynie raz na 179 lat (licząc średnio) wszystkie one układają się po jednej stronie Słońca, niejako „w rządku" lub jak kto woli „sznureczkiem". (Ściślej mówiąc zgrupowane są one — patrząc z Ziemi — pod kątem od 45 do 85 stopni, nie ma to jednak dla naszych wywodów większego znaczenia).

Gdy powstaje takie zgrupowanie, siły grawitacyjne poszczególnych planet, jak to się mówi, nakładają się na siebie, czyli wzajemne ich przyciąganie wzrasta. Tak właśnie stało się — zdaniem Otto Mucka — w roku 8498 pne. I nic by się nie wydarzyło, jak nie wydarzyło się nic tysiące razy przed tym i po tym, ale w pobliżu przelatywała właśnie wspomniana już planetoida. Minęłaby ona Ziemię w „bezpiecznej" odległości, gdyby nie podziałało na nią zwiększone przyciąganie grawitacyjne ułożonych „sznureczkiem" planet. Na skutek tego, jej tor w przestrzeni kosmicznej zakrzywił się i uderzyła w Ziemię.

Według wyliczeń Mucka, planetoida ta miała około dziesięć kilometrów średnicy(!) oraz prędkość od 15 do 20 km na sekundę. Wpadła do Oceanu Atlantyckiego w rejonie na północ od wyspy Porto Rico, przebijając stosunkowo cienką w tym miejscu skorupę ziemską. Powstała w wyniku tego straszliwa kilkusetmetrowa fala oceaniczna, która zalała i zniszczyła wszystko na swej drodze, a podziemne wstrząsy sejsmiczne zatopiły między innymi, legendarną Atlantydę, jaka rzekomo znajdowała się wówczas na terenie dzisiejszego archipelagu Azorów. Ogólnoświatowy potop i zapadłe wskutek wybuchów wielu wulkanów ciemności, pozostały w mitach i wspomnieniach wszystkich ludów.

Tak więc fatalne ułożenie planet spowodowało ongiś największą w dziejach świata katastrofę. Tak w każdym razie twierdzi Otto Muck, a hipotezę tę cytuje za nim polski uczony Ludwik Zajdler w znanej swej książce pt. „Atlantyda".

Ale to powtarzające się okresowo ułożenie planet mogło — jak się przypuszcza — nie tylko prowokować kosmiczne katastrofy. Jest ono także bardzo niekorzystne dla samej Ziemi, gdyż stało się przyczyną wielu znanych w historii zmian klimatu. Autorami tej z kolei hipotezy są uczeni chińscy Ren Zen-kiu i Li Zi-sen z Pekińskiego Obserwatorium Astronomicznego. Twierdzą oni, mówiąc najogólniej, że gdy wszystkie planety znajdą się w pewnym momencie po jednej stronie Słońca, możemy spodziewać się dużych zmian w jego aktywności, czego wynikiem są przede wszystkim drastyczne wahania klimatyczne. Jeżeli „spotkanie" planet ma miejsce w lecie, nastąpi potem wieloletnie ocieplenie, jeżeli w zimie, będzie wieloletnie oziębienie. Tak przedstawia się to najkrócej. A teraz garść szczegółów.

Jak już wspomniano, tego rodzaju ustawienie planet zdarza się co 179 lat. Chińscy uczeni przebadali okres kilku tysięcy lat historii z punktu widzenia korelacji pomiędzy okresowymi zgrupowaniami planet a występowaniem anomalii klimatycznych. Cywilizacja i kultura chińska liczą już prawie 5.000 lat, istnieją więc zapiski dawnych kronikarzy stare obserwacje astronomiczne itd., stąd przeprowadzenie takiej analizy było, w zasadzie, możliwe. Badając dokumenty Ren Zen-kiu i Li Zi-sen stwierdzili, że po zimowym skupieniu się planet występowały rzeczywiście okresy długotrwałego obniżenia temperatury, zamarzały wielkie chińskie rzeki i miała miejsce, czasem nawet kilkadziesiąt lat trwająca, jakby „mała epoka lodowa". Oczywiście badania tego rodzaju nie mogą dotyczyć jedynie Chin. Również w Europie, co prawda nie tak stare, bo obejmujące tylko ostatnie tysiąc lat, obserwacje pozwoliły stwierdzić, że na przykład w XVII wieku wystąpiły poważne anomalie klimatyczne, kiedy ...„mleko w wiadrze zamarzało zanim przyniesiono je z obory do domu"... Były też lata niskich zbiorów zbóż i jarzyn, a nawet okresy opuszczania przez ludność niektórych północnych terenów. Daty tych klęsk żywiołowych, odpowiadały, w zasadzie, datom zgrupowań planet, jakie miały miejsce w latach: 1126, 1304, 1483, 1665 i w 1844 roku. Badacze duńscy stwierdzili na przykład, tym razem już z całą pewnością, że zmiany średniej rocznej temperatury w Grenlandii powtarzają się okresowo co 180 lat.

Można powiedzieć, że wszystko to działo się dawno. Ale ostatnie wielkie zgrupowanie planet miało miejsce 2 listopada 1982, a więc niewiele więcej jak rok temu. Czy więc — zgodnie z omawianą hipotezą w najbliższych latach czeka nas „mała epoka lodowa"? Uczeni chińscy twierdzą, że... na pewno tak! Wyliczyli oni nawet, iż średnia roczna temperatura spadnie o półtora stopnia, a okres chłodów ma trwać od trzydziestu do pięćdziesięciu lat. Czy prognoza ta się potwierdza? Na razie nie — zima 1982/83 była wyjątkowo ciepła, obecna przebiega też w miarę łagodnie. Co będzie dalej — nie wiadomo...

Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia, jaki wpływ mogą mieć dalekie planety na klimat Ziemi? Bo, że zmiany na Słońcu oddziaływują na Ziemię to zrozumiałe: jest ono ogromne i stosunkowo bliskie. Tymczasem planety są małe (lub bardzo małe, np. Mars ma masę zaledwie 10 proc. naszej Ziemi) lub dalekie (Jowisz odległy jest o 778 milionów km od Słońca, Saturn o 1,5 miliarda km, Uran prawie o 5 miliardów km, itd.). Czyżby tak dalekie globy miały mieć wpływ na klimat Ziemi?

A jednak — według prezentowanej tu hipotezy — mają. Co prawda bardzo pośredni. Każda z planet krążących wokół Słońca poddawana jest niklym, lecz jednak mającym pewne znaczenie wpływom grawitacyjnym pozostałych planet. Jeżeli wszystkie one skupią się w pobliżu siebie, wzajemne ich przyciąganie wzrośnie. W związku z tym ich orbity wokół Słońca mogą się nieznacznie odchylić, podobnie jak miało to miejsce z planetoidą, która spowodowała katastrofę Atlantydy. W rezultacie zmieniać się może ich odległość od Słońca. W wypadku naszej Ziemi — jak twierdzą chińscy uczeni — odległość ta może wahać się w granicach jednego procenta. Jest to pozornie bardzo mało, lecz jednak może to powodować zmniejszenie ilości ciepła odbieranego od Słońca, a w konsekwencji okresowe oziębienie lub w wypadku przybliżenia się do Słońca, ociepienie się klimatu.

Drugim powodem ewentualnych zmian klimatycznych mogą być zmiany prędkości, z jaką Ziemia porusza się na swej orbicie. W chwili zbliżenia grawitacyjny wpływ planet (specjalnie wielkich jak Jowisz, Saturn itd.) może powodować, że Ziemia nieznacznie przyspiesza lub zwalnia swój bieg wokół Słońca. W efekcie może wystąpić wydłużenie lub skrócenie danej pory roku. Jeżeli zbliżenie planet wypadnie w okresie zimowym „przyhamowanie" szybkości Ziemi może zwiększyć długość trwania zimy kosztem lata, jeżeli zbliżenie przypadnie w lecie, wystąpi zjawisko odwrotne. Wielkość tego efektu chińscy uczeni szacują na dwa do siedmiu dni. Pozornie jest to bardzo mało, ale jak świadczą badania, ma jednak znaczenie. W stosunku bowiem do ilości dni w roku stanowi to znów około 1 procent.

Ostatnie zgrupowanie planet miało miejsce w listopadzie, więc raczej w porze zimowej. Czy oddziała na nasz klimat, tak jak gdyby wypadło na przykład, w styczniu? Nie wiadomo... Bo przecież wszystko co tu opisano, to tylko hipotezy i przypuszczenia.

■

Dokończenie z numeru poprzedniego

Cortex Cerebri 2

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

— Moim zdaniem przesadzono z tajnością sprawy — mówił Stenton. — Oczywiście, plan musiał zostać zachowany w tajemnicy, ale jego twórcy źle do tego podeszli. Nie chciano zmieniać rekrutów zbyt gwałtownie, obawiając się, by nie rzuciło się to zbytnio w oczy dawnym znajomym żołnierzy i nie doprowadziło do...

— Niech pan mówi jasno i dokładnie, o co chodzi — przerwał mu Lant.

Kątem oka dostrzegł złośliwy uśmiech na twarzy Intorego.

— Już mówię. Po prostu matrycę przygotowuje się w ten sposób, żeby wszczepiała rekrutowi jedynie dążenie do pewnych ideałów. Dzięki temu, zmiany nooperacyjne przypominają efekty tradycyjnego procesu szkoleniowego. Rekrut stwierdza po pewnym czasie, że nie znany mu dotąd styl życia zaczyna go wciągać, wdraża się do zajęć polowych, do dyscypliny... Tylko, że nie wzięto pod uwagę możliwości stopniowego przeważania jednej z cech zapoczątkowanych zabiegami nad pozostałymi. Wyjaśnię to może na przykładzie: Pośród podstawowych cech, takich jak zdyscyplinowanie, umiejętność zachowania tajemnicy czy umiłowanie do wszelkich militariów wszczepiamy żołnierzowi silne poczucie własnej godności, jako oficera sił zbrojnych narodu. Cecha oczywiście bardzo potrzebna, ale wszczepiono mu nie samo poczucie godności lecz tylko nieustanne dążenie do niego. Z biegiem czasu cecha ta przybiera na sile, wchodzi w konflikt ze zdyscyplinowaniem i jeżeli było zaznaczone za mocno — a jest to błąd nie do wykrycia przez komputer — bierze nad nim górę, doprowadzając do szeregu konfliktów z przełożonymi i w końcu do demobilizacji na własną prośbę.

— Rozumiem — powiedział Lant. — I tak było z Avakenem?

— Właśnie. Oczywiście sprawa była o wiele bardziej skomplikowana niż w podanym przeze mnie przykładzie. Planujący matryce starają się unikać podobnych niebezpieczeństw i jedna zagrażająca cecha zostałaby skorygowana. U Avakena nałożyło się na siebie kilkanaście takich cech, łącząc się w dodatku z niewytartymi pozostałościami poprzedniego okresu życia. Spowodowały one u niego silne poczucie wyobcowania i kompleks samotności. To z kolei połączyło się jeszcze z jego silną uczuciowością... Trudno mi to panom dokładnie wytłumaczyć, rozszyfrowanie tej łamigłówki zajęło naszemu zespołowi prawie dwa dni wytężonej pracy. Ale w tej chwili jesteśmy już w stanie odwrócić niekorzystne zmiany w jego mózgu.

Mimo, że nie orzeźwiła nocna natarczywie dawała mu o sobie znać pieczeniem powiek i bólem głowy, uśmiechał się szeroko dumny z malującego się na twarzy Lanta zadowolenia.

— Chciałbym jeszcze wiedzieć, jak pan planuje tę akcję.

— Właściwie — Stenton wzruszył ramionami — do mnie należy tylko przeprowadzenie operacji. Jeżeli dostanę Avakena do sali operacyjnej, za pół godziny będzie on znowu normalnym żołnierzem.

— Zdążył już chyba nawiązać bliskie znajomości z niektórymi cywilami, zauważą jego zniknięcie.

— Skądże znowu. Po zabiegu podrzucimy go w to samo miejsce, z którego został zabrany. Pomyśli, że po prostu zasłabł. A po jakimś tygodniu, dwóch, dojdzie do wniosku, że zrobił głupstwo...

— Zajmę się tym — powiedział Intore. — Wezmę kilku zaufanych żołnierzy.

— Po akcji będziemy musieli wymazać im to z pamięci, zastępując jakimiś innymi wspomnieniami. Nie będzie z tym kłopotu.

— Mam zaufanie do moich żołnierzy.

— Oczywiście — skinął głową Stenton — ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

— Tak, panowie, to jest dobry plan — stwierdził Lant, przerywając ich kłótnię. — Pułkowniku, niech pan wybierze ludzi i przez kilka dni prowadzi dokładną obserwację Avakena. Nie może być żadnego ryzyka, rozumie pan?

— Naturalnie. Myślę, że dobrze będzie upozorować... powiedzmy mały wypadek samochodowy.

— To już pańska sprawa — skinął głową Lant i dopił koniak z kieliszka. — Dziękuję panom. I życzę powodzenia.

— Jeszcze jedno, panie generale — Stenton wyjął z kieszeni złożony w czworo arkusz papieru. — Avaken był pierwszym operowanym przy użyciu matrycy MC 234/128c, dlatego też u niego zaburzenia wystąpiły najwcześniej. Mam tu listę innych żołnierzy z tej samej matrycy. Chciałem prosić o zezwolenie na dokonanie drobnych zabiegów korekcyjnych dla zapobieżenia u nich podobnym przypadkom.

— Oczywiście — skinął głową Lant.

*

Srebrna kula, pchnięta stalowym tłokiem, wytrysnęła ze swego łożyska i roztrącając delikatne druciki czujników padła na rozległe, usiane przeszkodami pole. Popchnięte cichym buczeniem rozchwianych czujników cyfry, w okienku, na pionowej ścianie bilardu, zaczęły przeskakiwać z trzaskiem, w miarę jak rosła liczba zdobytych przez Avakena punktów.

Odrzucana sprawnymi uderzeniami dwóch plastykowych ramion kula wpadła między białe walce, zwieńczone z góry napisem „100 POINTS", szalała między ściankami pulpitu, wywołując co chwila delikatny dzwonek i trzask przeskakujących cyfr. W końcu odbiwszy się od samego szczytu wyznaczonego dla niej pola, gwałtownie pomknęła w dół. Prześliznęła się między wyciągniętymi ku niej rozpaczliwie plastykowymi ramionami i z trzaskiem zniknęła w głębi prostokątnego pudła automatu.

Aveken odruchowo odciągnął prawą rękę lśniący uchwyt w rogu pulpitu, ale gdy rozwarł palce, wypchnięty sprężyną metalowy tłoczek uderzył w powietrze. Sięgnął dłonią do kieszeni na piersi, ale jeszcze zanim ją tam włożył, wiedział, że nie ma już ani jednej monety.

Na pionowej tablicy, nad rzędem cyfr oznajmiających liczbę zdobytych punktów rozpalił się czerwony napis: GAME OVER.

Ze zrezygnowaniem huknął otwartymi dłońmi w szybę, przykrywającą pulpit flippera i obróciwszy się, spojrzał na wiszący na ścianie zegar.

Przegranie na bilardzie wszystkiego, co udało mu się wygrać od „jednorękiego gangstera" i resztek pieniędzy, które zostały mu po zjedzeniu w barze obiadu zajęło mu dwie godziny. Pozostało jeszcze czterdzieści minut. Obrzucił puste wnętrze zautomatyzowanego baru i staroświecki bilard niechętnym spojrzeniem, westchnął cicho i wyszedł.

Ten malutki, automatyczny bar, w którym zazwyczaj jadła obiady, mieścił się przy wąskiej, bezludnej uliczce. Zdarzało się jeszcze, że od czasu do czasu przejeżdżał nią jakiś zabłąkany samochód, ale chodniki były zawsze puste. Poza tym znajdował się on blisko lądowiska, na którym Aveken codziennie, od kilku dni, osadzał swój transportowiec. Było to całkiem niezłe zajęcie, dawało mu poczucie swobody, wielkiej przestrzeni, do którego tak przywykł podczas codziennych ćwiczeń polowych, kiedy to, wcieliwszy się jednocześnie w setki robotów bojowych, przemierzał wraz z nimi miliony kilometrów. Pilotowanie „Tracków" było dla niego dziecinnie proste. Praca zresztą nigdy nie zajmowała mu więcej niż kilka godzin dziennie, bo tylko na tyle starczało zamówień. Potem można było zostawić transportowiec na lotnisku i iść, gdzie kto chciał. Wszystkich cywili ten stan rzeczy bardzo cieszył. Avakena nie. Zmuszało go to do bezczynnego łażenia po mieście, bo nie chciał przychodzić do mieszkania przed Chris. Nie znosił go, kiedy było puste.

Na ulicy pojawił się ciemny samochód i wolno podpłynął do Avakena, który niedbale obrzucił go spojrzeniem — banalny Ghoters NT 497 kombi, nieco przestarzały — i włożywszy ręce do kieszeni szedł dalej, patrząc w ziemię. Samochód przesunął się obok niego i zatrzymał się cicho.

— Aveken! — usłyszał za sobą. Odwrócił się. Przy samochodzie stało dwóch ludzi, trzymających coś w rękach. Spojrzał na nich pytająco.

Odpowiedzią był zimny powiew gazu usypiającego, który przez chwilę czuł na policzkach.

*

— Av? — wsunęła nieśmiało głowę do mieszkania — Av, jesteś tu?

Cisza.

Weszła do przedpokoju. Drzwi zamknęły się za nią bezszelestnie. Zrzuciła płaszcz i buty, i założywszy miękkie kapcie podeszła do szafy.

W pokoju unosił się jeszcze delikatny zapach zgaszonego przed chwilą papierosa. „Mervilla" z długim, złotym filtrem, wypełnionego pomarańczową gąbką. Niewielu ludzi paliło te papierosy. Aveken należał do tej nielicznej grupki.

Chris przebrała się w domową sukienkę i nacisnęła przycisk wentylatora. Nie znosiła tego zapachu i to, że Av wciąż palił, doprowadzało ją do wściekłości. (Każdego dnia palił coraz więcej. Ostatnio po prostu odpalał jednego „Mervilla" od drugiego). Dwa dni temu pokłócili się o to. Pierwszy raz odkąd się poznali. Nie przypuszczała nigdy, że Av potrafi się z nią pokłócić.

Napiła się soku. Coś było nie tak. Jutro miał być ich ślub, ale od pewnego czasu coś się nagle zepsuło. Nie potrafiłaby powiedzieć — co. Jakieś nieuprzejme burknięcia znad papierosa, jakaś dziwna nerwowość...

Podeszła do stolika. Popielniczkę wypełniał stos niedopałków. Wypalił chyba ze dwie paczki. Obok złożona kartka papieru. Rozprostowała ją. Równe linie pisma, jego pisma, poroziągane nerwowo litery. Przebiegła je wzrokiem raz, drugi, i jeszcze raz, i znowu, jakby nie wierząc. Nie płakała, tylko nagle poczuła coś gorącego na policzkach i zaśmiała się nerwowo, jakby chciała powiedzieć „O Boże to jednak tak musiało być, wszyscy to mówili od dawna." Jeszcze raz przebiegła list wzrokiem. Rozprostowała palce. Biała kartka zniknęła w czeluści zsypu.

*

Drzwi sali operacyjnej rozsunęły się delikatnie i wytoczył się z nich wózek z uśpionym człowiekiem. Potoczył się przez salę, aż zatrzymał się w połowie drogi do przeciwległych drzwi, tuż przy Stentonie, który bezwiednie pochylił się nad leżącym.

Operacja nie pozostawiała żadnych śladów. Żadnych blizn, ubytków we włosach, niczego. Ten żołnierz miał za parę godzin obudzić się i wrócić do swej jednostki przekonany, że był na szkoleniu artyleryjskim. Tylko na jego mózgu, naznaczonym fatalną matrycą MC 234/128c przybyło jeszcze jedno włókno niewidzialnego łańcucha.

— Panie majorze — usłyszał za sobą głos jednego z asystentów. — Następny?

Podniósł głowę.

— Tak.

„Nie mają nawet tej szansy, co tamten" — pomyślał prostując się powoli. — „On przynajmniej przez kilka dni był wolny"

Sam zdziwił się, skąd przyszła mu do głowy taka myśl.

■

1 Przejście podziemne

(2)

Galeria

Dzielnicowy Banan przeszedł kilka razy wzdłuż ściany naszego przejścia, na której Zarząd Przejść Podziemnych i Biura Budowy Metra powiesił tablicę o zakazie handlowania. Postał, popatrzył — wyglądał jakby intensywnie medytował. Potem wyszedł na schody, zagadał coś do takiego kubełka, co mu dynda na pasku (z angielska Banan nazywa to łokitoki...) i zszedł do nas z twarzą opromienioną szczęściem człowieka, który podjął decyzję, obok szczęścia wszelako na jego sympatycznej twarzy rysowała się nielicha determinacja.

— Mareczek, Boleś, Beatka, Grunt, Szpenio-Psiarz, pan Konradek, Malowanka i Aktrysa — do mnie! — stanowczym bohaterskim tenorkiem ryknął Banan, wspomagany przez akustyczne właściwości naszego przejścia podziemnego. Nie ma co: gdy tak stał na najniższym stopniu schodów, ręce trzymając za plecami i kiwając się lekko na piętach, wyglądał władczo i imponująco...

— Panie i panowie, obywatele kochani, po pięć paczek — obwieścił i wyjął bloczek mandatowy. Słysząc to punkówa Margot pokazała Bananowi słynny gest Kozakiewicza, złapała swoją walizeczkę i błyskawicznie wyewakuowała się na powierzchnię.

My zostaliśmy — lata już nie te, refleks stępiła gnuśna egzystencja, poza tym jesteśmy ludzie poważni i odpowiedzialni.

— Za co, panie plutonowy? — Spytałem niepewnie, czując że dzielnicowy Banan ma zapewne rację, gdyż dotąd znaliśmy go jako nad wyraz praworządnego przedstawiciela odnośnych organów.

— Tablicę przeczytali? No to czemu się dziwią? Zresztą takie *dostałem wytyczne od porucznika Makucha:* brać po pięćset, na razie; w razie recydywy — kopernik i konfiskata — odparł Banan, wypisując pierwszy kwit.

Beatka góralka głęboko westchnęła, *rozpięła sweterek — co wywołało znaczne ożywienie* Banana *i całej* męskiej załogi przejścia — i z głębokiego rowu między dwiema falującymi luzem, chutliwie podrygującymi obfitymi połówkami swego aparatu oddechowo-pokarmowego, wyciągnęła woreczek (mówi, że sporządzony przez tatusia z moszny skłusowanego na Polanie Jarząbczej jelenia), z woreczka zwitek banknotów, ze zwitka jeden papierek o żądanym przez Banana *nominale.*

Grunt ściągnął kaszkiet, pozbierał od *nas* po brudasie, sam *też swojego dołożył*, a potem kupkę biletów *wrzucił do* leżącej na koszu od śmieci, opuszczonym przez *punkówkę* Margot, *czapki* dzielnicowego Banana, który mozolił się nad wypisywaniem tych paru kwitów. Gdy Banan skończył, Grunt nadstawił swój dekiel — zdetonowany dzielnicowy złożył w nim mandaty. Wszystko odbyło się z zachowaniem stosownego w kwestiach dyplomatycznych ceremoniału, nawet z ukłonami. Ale Banan wiedział, że to już koniec z naszą przyjaźnią, wyrosłą na gruncie wspólnych interesów...

Gdy już sobie poszedł, pewnie zdać urobek w kasie, po szybkiej naradzie postanowiliśmy pracować z ubezpieczeniem. Zenio Małolat wystawił PO na południowych schodach, Grunt filował w stronę zejścia północnego, wyjścia przystankowe obstawił pan Konradek...

System działał pół godziny. Banan niespodziewanie wyłonił się z baru od Mrówki. Cholerny pech — zapomnieliśmy o wentylacji, a przecież niedawno sami go tamtędy ewakuowaliśmy przed wściekłością bab. Gdyby wtedy ktoś mógł przewidzieć, jaki wampir wyrośnie z tego sympatycznego, tłustawego blondaska Banana... Raczej pozwolilibyśmy rozkawałkować go na ofiarnym ołtarzu feminizmu.

A tymczasem plutonowy zebrał po tauzenie, skonfiskował beatczyne oscypki (— na razie — przygroził...) i majestatycznie odpłynął.

Mrówka, obserwując naszą szamotaninę niczym taniec bezsilnych żab w kanalizacji, wystawił kontenerek z generałem Pułaskim. Po drugiej kolejce Grunt rzucił ideę, jak to się nietrzeźwym zdarza: — najlepiej, gdybyśmy mieli lokal... Na ten wariacki pomysł nikt nie zareagował — w ten sposób przecież dostalibyśmy się w tryby państwowej machiny podatkowej, czego unikać należy jak dżumy albo innego syfa. Zresztą i tak nie ma widoków na sklepik, bo gdzie i za co?

Tylko Mrówka zastanowił się, poszedł do kąta baru, popukał flaszką w ścianę i kazał nam podejść bliżej. Narysował paznokciem spory prostokąt i kopnął z całej siły. Coś rypnęło — wtedy na ścianę skoczyli Grunt z Mareczkiem: gipsowa płyta wypadła, a za nią puste miejsce... Wleźliśmy — nawet bardzo puste, ze sto metrów kwadratowych, kafelki, świetlówki, jedna ściana ze szkła, a tuż za nią ślepy mur.

— Miała tu być stała galeria ekspozycyjna pod tytułem „Osiągnięcia i perspektywy naszego przejścia podziemnego". Ale na otwarcie nie znaleźli eksponatów — a potem przyszły dyrektywy, żeby zamurować, bo już się niczego wystawiać nie będzie, zwłaszcza osiągnięć i perspektyw — samemu można było zostać wystawionym — refleksyjnie wspomniał Mrówka niedawne, acz bezpowrotnie odeszłe w niebyt czasy.

— O takim lokalu zapomnieć...

Wiecznie bezdomny Grunt westchnął nabożnie i jakby nowe siły weń wstąpiły:

— Urządzamy się tutaj. Podzielimy chawirę na boksy, skrzynkami po piwie, ściany na granatowo, pojemniki żółte po pepsi, zielone po browarze, czerwone po coli, reflektorki, lustra, regały z rurkowych rusztowań — styl hajtek!

— Co za kajtek? Jakieś porno? — dopytywali się Mrówka z Mareczkiem i Beatką.

— O wy głąby, hajtek — skrót od high technology. Ma być jak w skomputeryzowanej oborze; błysk, pic i rury.

— A co w tych rurach? — rzuciłem wątpliwość.

— Nasz towar, baranie. Założymy kooperatywę. Nazwa „Galeria" może zostać.

(cdn)

I. ROTACYJNY

2 Lewym okiem

Trudne powroty?

O losach Polaków, pracujących w Trzeciej Rzeszy podczas wojny, pisano niewiele. „Ta część *martyrologii* naszego narodu była dotąd opisywana dość rzadko, a jeszcze rzadziej przedstawiano stosunek Niemców do robotników — obcoplemieńców" — czytamy w notatce, w której „Odgłosy" informują o ukazaniu się książki Józefa Spychalskiego „Trudne powroty" („*opowieść o tragicznych* losach Polaków").

Ale przecież ta książka dowodzi od pierwszej do ostatniej strony, że to nie była żadna martyrologia i że te losy wcale nie były tragiczne.

Podchorąży Piotr Borowski, bohater powieści Józefa Spychalskiego, powinien doprawdy powiedzieć o sobie, że się w czepku urodził. Wprawdzie wspomina o jakiejś „drodze krzyżowej" w obozach jenieckich w pierwszych miesiącach wojny, ale na czym ta męka polegała nie mamy pojęcia, bo rzecz się zaczyna od momentu, kiedy wszystko układa się jak w sielance. Przyjeżdża dwóch Niemców i podchorążowie — jeńcy momentalnie podpisują zobowiązanie wydajnej pracy dla Trzeciej Rzeszy, pozbywając się skwapliwie mundurów i wszelkich praw, ujętych w międzynarodowych konwencjach o traktowaniu jeńców. Sam dostałem się do niewoli jako podchorąży i znalazłem się w obozie samych podchorążych, gdzie nie śniło się nikomu o warunkach, w jakich budował drogę Borowski. Nie mieliśmy ani łóżek, ani szafek, nie mieliśmy nic. Były wielkie szopy, gdzie spało się pokotem na ziemi, na cienkiej warstwie wrzosu, który zimą bielał od szronu. Owszem, były propozycje przejścia na status robotników cywilnych. Znalazło się dwóch — może pięciu — podchorążych, którzy podpisali deklarację, poza tym propozycję zignorowano, a „deklaranci" nie cieszyli się do końca wojny sympatią żołnierzy, którzy niczego podpisywać nie chcieli.

Teraz dopiero widzę, ileśmy stracili. Piotr jest wręcz uwielbiany i noszony na rękach przez całe miasteczko, w którym się znalazł. Nikt na niego nie podniesie głosu, przeciwnie: „Proszę mi wybaczyć, że nie zleciłam tego panu!" — mówi do niego małżonka bogatego pryncypała (str. 186). „Proszę mi wybaczyć, że to trwało tak długo!" — mówi pani Münnich, Niemka, parę stron dalej, tłumacząc się z opóźnienia w wykonaniu asygnat (str. 194). Piotr jest już mianowicie magazynierem i ostro rozkazuje Niemcom, podobnie jak inny podchorąży, Maks, równie hołubiony przez tubylców: „Odprowadź panią do domu i zostań z nią" — komenderował Maks służącej Niemce, popychając starą". To w czwartym roku wojny, podczas bombardowania!

Żegnając Niemca, odchodzącego na front, Polak potrząsa mu wielokrotnie rękę i życzy powodzenia (str. 208). Kiedy — jedyny raz! — spotkał się Borowski z przyganą ze strony samego szefa za wyniesienie puszki marmolady, unosi się podchorążackim honorem i rzuca klucze na biurko dyrektora: „Panie Kramer, jeśli pan i pańska matka uważacie mnie za złodzieja, nie mogę dalej pełnić moich funkcji w fabryce..." (str. 204). Co prawda trzy strony dalej czytamy, że „nie przechowywał w domu rzeczy pochodzących z kradzieży" — i to czyni nam Piotra bliższym, bośmy wszyscy kradli jak kruki i uważali to za zwyczajną rewindykację...

Właściwie coś z martyrologii zaczęło się dopiero po zakończeniu wojny. Alianci dokuczają jak mogą, byli jeńcy i niewolnicy cierpią głód, zimno, dzieci dostają wrzodów, ciasno, pluskwy *i dokoła* minowe pola. *Nie dziw*, że Piotr odwiedza swoich Niemców z torbą pełną czekolady, a pani Willmann ścieląc mu łóżko wspomina dobre wojenne czasy: „Proszę wybaczyć, że spanie nie będzie takie jak dawniej..." (str. 400). Polscy podchorążowie — deklaranci o wiele szybciej rozgrzeszyli Niemców, niż oni to uczynili sami. Kiedy Niemka wspomina łupy, zwożone podczas wojny z Paryża, i nagle spostrzegłszy, że palnęła gafę zaczyna przepraszać, Polacy tylko „uśmiechnęli się lekko": proszę się tym nie przejmować. Było, minęło (str. 400).

Pewnie tak bywało, pewnie to są wspomnienia prawdziwe, czemuż mielibyśmy wątpić. Ale też są tak bardzo, tak bulwersująco nietypowe, że ze zdziwieniem wielkim czyta się nagle na stronie 197 o szpitalu dla Polaków: „prawie połowa z nich leży z obrażeniami na skutek wypadków przy pracy lub pobicia". Skąd pobicia, jeśli wszędzie stykamy się z takim Wersalem?

Jeszcze jedno: Piotr Borowski mógł nie znać języka niemieckiego, mogło mu się zdawać że zna, ale przecież trudno o to podejrzewać samych Niemców. Tymczasem Niemcy mówią tak: „Die Polen *wird* immer frecher" (str. 146); „Retten Sie *mein* Mann!" (str. 279); „Wir kennen *Ihnen* als einen anstandigen Mensch" (str. 292). To są szpetne błędy (jest ich więcej), które powinien był wyłapać redaktor książki. Nie mówiąc o takim: „Jej zachowanie *sięgło szczytu*" (str. 368).

Muszę niestety powiedzieć, że moje zadowolenie po przeczyniu „Trudnych powrotów" nie sięgło szczytu.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Spojrzenie znad szachownicy

Zupka regeneracyjna

Straciłem już, prawdę mówiąc, nadzieję, że kiedykolwiek — a przynajmniej przed „The Day After" — uda mi się objaśnić czytelnikom wszystkie zawiłości szachów, przedstawiając zarazem rozliczne korzyści płynące z przenoszenia szachowego myślenia na grunt publicznego życia. Ciągle ktoś albo coś staje mi na przeszkodzie, wtrącam się w jakieś spory, próbuję jałowej mediacji, słowem tracę czas na różności bez żadnego widomego pożytku.

Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Z niejakim poślizgiem przypomniałem sobie mianowicie, że z dawien dawna miałem solenny zamiar jedynie przez trzy lata z rzędu pisywać felietoniki sympatyczne i głęboko słuszne, natomiast w roku kolejnym, przestępnym, zajmować się produkowaniem kawałków mało słusznych, a nawet wrednych. Taki płodozmian uważam za pożądany dla higieny psychicznej czytujących i pisujących, w ogólnym zaś rachunku wręcz konieczny, pomnąc iż jedynie niesłuszne teksty pozwalają ewentualnym polemistom wyżarliwić się i błysnąć słusznością.

Prosząc o zaliczenie całej uprzedniej tegorocznej produkcji na poczet roku minionego (jednak nie w wymiarze finansowym, zaznaczam) inauguruję tedy nowy, paskudny cykl, który poprzedziłem zresztą równie paskudnym uczynkiem.

2.

Otóż przed premierą „Dziadów" w sposób absolutnie nie licujący z powagą chwili puściłem ohydną plotkę, że dbała o kondycję widzów dyrekcja w czasie drugiej przerwy wydawać będzie zupkę regeneracyjną. Plotka żwawo obiegła foyer i widownię, pobudziła apetyty, a choć zupki nikt się nie doczekał, publiczność ogołociła bufet, co w wyprorokowanej przeze mnie drugiej przerwie pozwalało podziwiać widok podniosły: cały teatr nabożnie poruszał ustami konsumując herbatniki różnych odmian oraz tak zwane krówki, zresztą wcale niezłe.

Oczywiście prócz innych licznych talentów posiadam rzadki dar prekognicji, czyli umiejętność przewidywania przyszłości, tym razem nie musiałem się jednak nim posługiwać, gdyż wystarczyło ordynarne rozumowanie. Sprawa w tym, iż druga przerwa w łódzkich „Dziadach" wypada około godziny dziesiątej, a więc w porze gdy teatromani — nasyciwszy się już estetycznie i intelektualnie — zwykli dopychać żołądki. Cały zaś spektakl — i to będzie nas dziś interesować — trwa mniej więcej cztery i pół godziny, a z doliczeniem oklasków i szamotaniny przy szatni — do pięciu.

„Kordian" w Teatrze Studyjnym '83 im. Tuwima — tego przedstawienia jeszcze nie widziałem, opieram się na opublikowanym oświadczeniu dyrekcji — trwa około czterech godzin. „Walkiria" w Teatrze Wielkim — tyleż samo. „Hrabina Marica" w Teatrze Muzycznym, już po skrótach, zamyka się ponoć w trzech i pół godzinach, choć na premierze było dłużej. A wszystko to, jak łatwo zgadnąć, przez głęboki szacunek dla Mickiewicza, Słowackiego, Wagnera oraz Kalmana i jego librecistów. Publiczność jest w tym rachunku jakby owocnie nieobecna.

3.

Bodaj Jan Rem miał stosunkowo niedawno odwagę napisać, że percepuje równocześnie głową i pupą, wszelako ta ostatnia okazuje się niekiedy mniej cierpliwa i wyrozumiała od głowy.

(Jeżeli nie był to Jan Rem, lub źle odczytałem jego myśl — przepraszam, nie mam jednak możliwości sprawdzić, gdyż niemal wszystko, co jest zadrukowanym papierem, zamienia się ostatnio w moim domu na dobra użytkowe wyższego rzędu. Zarazem przegrałem niestety demokratyczne wybory do komisji orzekającej, co jest makulaturą, a co należałoby jeszcze zachować...)

Rem jednak czy nie Rem, myśl jest zdrowa, każdy bowiem percepuje dokładnie tak samo, choć nie każdy umie się do tego przyznać. A że nogi — przynajmniej wedle świeższych badań anatomicznych — wyrastają raczej z pupy, niźli z głowy, zaistnieć może takie mniej więcej dramatyczne rozdarcie.

GŁOWA mówi: — Zabieram was na Mickiewicza (Słowackiego, Wagnera, Kalmana — niepotrzebne skreślić), iżbyśmy wspólnie porozkoszowali się tym pięknem... PUPA: — Pięć godzin, albo coś koło tego, nie ma mowy, nie wyrobię po prostu: GŁOWA: — Cóż za ordynarną część ciała przydała mi matka natura! Przecież potem pójdziemy do domu i położymy się do łóżeczka... NOGI: — Jedno będzie percepować, drugie wygrzewać w fotelu, a my, nogi, mamy człapać do domu na piechotę!? Czy głowa była uprzejma pomyśleć, jak kursują nocne tramwaje?

GŁOWA wykonuje sugerowaną pracę myślową i każe RĘCE sprawdzić zawartość portfela. Ta stwierdza, że mimo osławionego nawisu inflacyjnego pomieniony jest raczej chudy i trudno będzie wygrzebać dodatkową stówę na nocną taksówkę. Zniesmaczony tym rozgardiaszem CZŁOWIEK, jako całość rezygnuje z ekstrawaganckich pomysłów, pocieszając się, że „Dziady" może przecież po prostu przeczytać (czego — dodajmy — nie czyni)

4.

Zarysowany tu problem gorąco polecam młodym teatrologom, jako temat pracy magisterskiej. Będą mogli wprowadzić w zakłopotanie swojego promotora odwołując się do statystyki, a nawet wyższej matematyki, zwracam jedynie nieśmiało uwagę, iż przyszły naukowiec pod żadnym pozorem nie powinien używać słowa „pupa".

JERZY P.

4 Sport

Smutny koniec żywotu gwiazdy

Żywot sportowej gwiazdy można wpisać w następujący schemat: dobrze zapowiadający się młodzieniec, nadzieja polskiego sportu, kandydat na mistrza, medalista i rekordzista oraz natychmiastowy koniec kariery. Wiele już było gwiazd polskiego sportu, których kariera przebiegała według takiego schematu. Przykładem może być też... Władysław Kozakiewicz.

Był dobrze zapowiadającym się tyczkarzem gdyńskiego Bałtyku, ale kiedy zaczął startować na zagranicznych stadionach, więcej szans dawano Tadeuszowi Ślusarskiemu. To on był kandydatem do medali na mistrzostwach Europy w 1974 roku. Ale tytuł wicemistrza i srebrny medal zdobył Władysław Kozakiewicz. Tak wystartował po światowe laury. Wszyscy cieszyliśmy się z jego rekordów świata i ze złotego medalu olimpijskiego zdobytego w 1980 roku w Moskwie. Jeszcze później — w 1982 roku — wywalczył brązowy medal w Halowych Mistrzostwach Europy w Mediolanie, ale już w 1983 roku w Helsinkach zajął tylko 8 miejsce i ogłoszono — wprawdzie nieoficjalnie — że Władysław Kozakiewicz już się skończył.

Nie on zresztą jeden. Podobny los spotkał Jacka Wszołę, Tadeusza Ślusarskiego, Mariana Woronina. Niby nic złego się nie dzieje. Są, funkcjonują, jeżdżą na mityngi... Ale nie przeprowadza się już z nimi wywiadów, nie fotografuje się ich tak często jak niegdyś, nie pisze tyle o nich. Zrobili swoje i niech odejdą w cień. Jednak nie tylko o to chodzi. Sportowcy przygotowują się teraz do kolejnej olimpiady. Organizuje się obozy treningowe poza granicami Polski. Oni na takie obozy już nie jadą. Na nich już się nie liczy...

— „Byliśmy przygotowani na wyjazd do Grecji — powiedział Władysław Kozakiewicz Maciejowi Petruczenko z „Przeglądu Sportowego". — Takie konkurencje jak sprint, skok wzwyż i skok o tyczce powinny mieć przy tego rodzaju zgrupowaniach priorytet — uzasadniony i potrzebami szkoleniowymi, i klasą zawodników. Gdy siedząc w Zakopanem dowiedzieliśmy się, że w najbliższej perspektywie zamiast Aten proponuje nam się Spałę, z lekka osłupieliśmy z wrażenia."

I nie dlatego, że Spała już nie odpowiada mistrzom, ale dlatego, że o tej porze może „zaoferować jedynie wiosenne błoto i przepełnienie — zwłaszcza w sali treningowej". A przecież można było pomyśleć o innym ośrodku treningowym, gdzieś w cieplejszej części Europy, w którymś z krajów socjalistycznych. Nie pomyślano...

Nie pomyślano również o nowym sprzęcie dla mistrzów. Tadeusz Ślusarski ma stary kontrakt z Pacerem i otrzymuje od niego sprzęt. Władysław Kozakiewicz takiego kontraktu nie ma i sprzętu nie otrzymuje, bo fama głosi, że sobie sam coś tam załatwia, więc i PZLA też mu sprzętu importowanego nie przydziela. Używa więc do dziś tyczki, którą dostał w... 1978 roku. Od tej pory wymyślono już nowsze rozwiązania tyczek dla skoczków. W zasadzie jednej tyczki używa się przez rok. „U nas — powiada Władysław Kozakiewicz — niech będzie ze względów oszczędnościowych wykorzystywana przez 2-3 sezony, ale nie dłużej. Potem traci wartość."

Ludzie sobie myślą, że taki sportowiec jak Władysław Kozakiewicz, to pieniędzy ma jak lodu. Zapewne ma, ale nie można go w żadnym wypadku przyrównać do piłkarza, który kończy karierę w kraju i rusza w świat po zarobek na resztę życia. Mistrzów lekkiej atletyki zaprasza się na różne mityngi, ale zarobione tam pieniądze tylko w części idą do jego kieszeni.

— „W roku ubiegłym — powiada mistrz Władysław Kozakiewicz — w sześciu spośród moich dziesięciu startów „spłacałem" koszt takich zgrupowań. (zagranicznych — przyp. B. M.) A są to koszty niebagatelne — rzędu 18-20 tysięcy dolarów. PZLA ma zatem z nas nie tylko propagandowe korzyści".

Związek powinien zatem dbać o mistrzów. A nie dba!

— „Kozak zrobił swoje — powiada z goryczą W.K. — Kozak może odejść. A ja jeszcze nie składam broni."

I tu się wyłania problem nieco szerszy niż szybki koniec kariery sportowej gwiazdy. Władysław Kozakiewicz ma zresztą podobne zdanie. Otóż największe pretensje do PZLA należało mieć w 1980 roku, kiedy to po sukcesie Kozaka w Moskwie młodzież gorąco się zainteresowała skokami o tyczce. Z tego zainteresowania nie skorzystano. Nie potrafiono złapać byka za rogi. I nie tłumaczy PZLA gorący ówczesny czas, podziały i spory polityczne. Z szansy nie skorzystano.

Gwiazdy mają to do siebie, że prędzej czy później gasną i pozostają po nich tylko wspomnienia. Ale gwiazdy mają też i to do siebie, że w ich blasku rozpalają się talenty młodych. I o tym trzeba pamiętać. Być może i Władysławowi Kozakiewiczowi — choć jeszcze nie składa broni — byłoby łatwiej odchodzić, gdyby miał świadomość, że wśród młodych rosną jego następcy, że są już dobrze zapowiadający się młodzieńcy...

Wszystko wydaje się raczej wskazywać, że takich nie ma, bo mało zrobiono, aby ich odnaleźć i zapalić ich talenty od blasku gwiazd.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Tomasz Sas** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska.**

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. Mickiewicza 11, kod 90-439 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji 36-80-99. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny. — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu: 36782.

Zam. 889. E-2.

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach

O tym, jak Renata Turoń tańcząc nago, oczekiwała nocy mieszania krwi

Wobec mężczyzn zachowywała się prowokująco i chyba dziesiątki razy leżała w ramionach mężczyzn, ale w krytycznej sytuacji wyrywała ją z nich gwałtowna myśl o obrzydliwym akcie zbliżenia. Po wielu podobnych doświadczeniach wiedziała już, że nie zdoła przełamać w sobie bariery wstrętu, dlatego zaczęła pragnąć, aby ktoś ją zgwałcił. W ten sposób — jak myślała — dozna przyjemności bez konieczności aprobaty dla fizjologii aktu płciowego. Niestety, mimo wielu prowokacji, nikt jej nie zgwałcił. Była duża, rosła, silna — broniła się ze zbyt dużym przekonaniem, bo w rzeczy samej w takich sytuacjach naprawdę chciała się obronić. Aż wreszcie upiła się na studenckiej zabawie i, nieprzytomną, rozprawiczył ją jakiś kolega. Który? Nawet tego nie wiedziała. Podobnie jak nie przeżyła uczucia wstrętu ani rozkoszy. Ten fakt przyjęła jako coś w rodzaju osobistej tragedii, optymistycznej jednak, gdyż wreszcie zdecydowała przełamać w sobie barierę wstrętu i obrzydzenia przed zbliżeniem z mężczyzną. Podjąwszy to postanowienie nie była już, niestety, zdolna do przekształcenia całej swej struktury osobowej. Zanim położyła się z mężczyzną w czystej, wykrochmalonej i wyperfumowanej pościeli, dwa razy kąpała się w wannie, suszyła, wycierała i podcierała — aż doznawała rozkoszy, a mężczyzna wielkiego bólu. Nie chciał jej więcej — ale nie wyjawił dlaczego. Odtąd wielokrotnie i z coraz innymi mężczyznami kładła się w czystej pościeli, tylko na ten jeden raz. Jej nieszczęściem żaden z kochanków nie powiedział prawdy. Była kobietą na jedno zbliżenie — zrozumiała to rychło, choć przyczyny nigdy nie stała się świadomą. Jak wiele kobiet w podobnej sytuacji, źródła swych niepowodzeń nie upatrywała w sobie, ale w całym systemie otaczających ją odniesień moralnych, psychologicznych, a nawet socjologicznych. Myślała: „Za mało imponuję mężczyznom. Posiadłszy mnie raz, nie znajdują już we mnie niczego interesującego". Odtąd zaczęła się jeszcze pilniej uczyć, zdobywała tytuły naukowe, wygłaszała referaty, brała aktywny udział w sympozjach naukowych. Idąc z mężczyzną do łóżka, starała się przekonać go o swej intelektualnej potędze, wywyższyć się nad niego, zaimponować mu. Robiła to w łóżku po zakończeniu miłosnego aktu — i stała się nie tylko postrachem mężczyzn, ale i przedmiotem ich drwin. Mając trzydzieści dwa lata zrozumiała nagle, że oprócz tytułów naukowych nie osiągnęła żadnego z upragnionych celów, nie stała się ową ładną i pachnącą kobietą mknącą w pięknym samochodzie obok małych domków z ubikacjami za stodołą, a co najgorsze — nie potrafiła zaspokoić swego pożądania. Nie miała męża, domu, dzieci. Tedy dokonała gwałtownego zwrotu w swym postępowaniu i całą swoją uwagę skupiła na skromnej osobie Romana Turonia, magistra filozofii, człowieka cichego, skromnego, nie znającego kobiet i odrobinę wobec nich lękliwego. Był brzydki i mimo młodego wieku już jak gdyby bardzo stary, nawet zębów mu brakowało. Mieszkał w pokoju podobnym do niedźwiedziego barłogu i zadowalał się skromną pensją urzędnika w podrzędnej instytucji. To nie był ktoś, kto mógłby ją wozić w pięknym samochodzie obok małych domków przydrożnych. Ale był mężczyzną. Zaprowadziła go do urzędu stanu cywilnego i pomna, że pozostawała dotąd kobietą tylko na raz, oddała mu się dopiero po ślubie. Roman Turoń ucierpiał jak wszyscy jego poprzednicy, lecz uczynił rzecz zadziwiającą — podczas pierwszego aktu płciowego zapłodnił Renatę, czyniąc ją matką, a siebie ojcem. Próbował jeszcze zbliżyć się do żony, lecz za każdym razem doznawał cierpień i wkrótce już na samą myśl o tym obawa przed bólem kurczyła mu członek. Nie miał doświadczenia z innymi kobietami, toteż nie pojmował przyczyny swych bólów, sądził, że tak musiało być i to raczej on sam jest winien, ponieważ oprócz lęku przed bólem drążyły go jeszcze i inne strachy. Trwał więc w poczuciu winy, przytłaczany nieustannie potęgą intelektualną małżonki, która z czasem zaczęła nim pogardzać i wobec jego brzydoty, bezzębności i niechlujstwa odczuwała obrzydzenie. Ale to, jak wiemy, budziło w niej jeszcze większe pożądanie. Czegóż nie próbowała, aby zmusić go do wypełnienia mężowskich powinności? Pieściła i drapała, krzyczała i biła, wchodziła na niego i wślizgiwała się pod niego; odwiedzała z nim najlepszych krawców i dentystów, kąpała i wprowadzała w towarzyskie dysputy filozoficzne. Na próżno — Turoń nie chciał nosić protezy, nowy garnitur już nazajutrz wyglądał na nim jak worek; a im goręcej go nakłaniała do męskich czynności, tym większy budziła w nim opór. Dwukrotnie usiłowała rzucić się pod tramwaj, trzykrotnie chciała wyskoczyć z balkonu na wysokim piętrze wieżowca, ale za każdym razem powstrzymywała ją myśl o dziecku, któremu winna przecież dać matczyną opiekę. Trudności ze znalezieniem gosposi domowej i opiekunki do dziecka i krzepiąca wiara, że poprzez nowe tytuły, udział w sympozjach naukowych i wygłaszanie coraz nowych referatów skłoni do siebie jakiegoś wspaniałego mężczyznę — spowodowały, że zmusiła męża do porzucenia jego skromnej posady urzędniczej, założenia fartuszka gosposi, kucharki i opiekunki do dziecka. Turoń to zresztą bardzo polubił i rad żył na utrzymaniu swej żony. Renata coraz bardziej gardziła mężem, widziała już tylko jego nicość, gdy nagle odkryła zjawisko przerażające: Roman Turoń tak się zżył ze swoją nicością, że stał się kimś. To było tak, jak gdyby kiedyś wniosła do domu ogromny głaz, który można opluwać, kopać, bić, lekceważyć, pomijać, lecz dla głazu nie ma to żadnego znaczenia. Głaz jest odporny na plucie i lekceważenie, a poprzez swoją nieruchawość staje się przedmiotem znaczącym i ważnym. Każde przesunięcie głazu na inne miejsce wymagało tak ogromnego wysiłku, że po kilku latach Renata Turoń zrezygnowała z podobnych przedsięwzięć i pogodziła się ze świadomością, że ma w domu potężny głaz, może go opluwać i obijać, ale zarazem musi go omijać, w pewien określony sposób układać naokoło niego nie tylko sprzęty, ale i całe swoje życie. Obecność tego głazu dyktowała odtąd Renacie Turoń styl życia, układała jej plany na przyszłość, warunkowała sposób myślenia. Gdziekolwiek by się nie chciała ruszyć, co by nie chciała uczynić, zawsze musiała pamiętać, że posiada w domu wielki głaz. W wędrówce przez życie musi ten głaz wziąć na swoje barki i dźwigać. Roman Turoń odniósł nad nią zwycięstwo, ponieważ okazał się odporny na pogardę, a poza tym — był dobrym kucharzem, sprzątaczem i opiekunem do dziecka które bardzo kochał, gdyż ono stanowiło jego owoc, zaprzeczało faktowi, że jest wyłącznie głazem. Poprzez istnienie dziecka Turoń dokumentował tlące się w nim życie, wszedł do gatunku istot, u których granica między tym co martwe i tym co żywe pozostaje bardzo płynna. Niekiedy Renata podejrzewała, że martwota jej męża pozostaje jedynie maską lub tarczą ochronną, w istocie rzeczy Turoń był istotą żywą do szpiku kości, zdolną do samodzielnego myślenia, a nawet złośliwości. Nigdy mu przecież nie mówiła o owej ładnej i pachnącej kobiecie, która w dzieciństwie prowadziła do ubikacji za stodoła. A przecież Turoń jakby był świadom tego faktu, niechętnie korzystał z mydła, okazywał lekceważenie dla higieny, głośno w jej towarzystwie wydalał z siebie gazy, jego kalesony były zawsze brudne, jakby nie istniała lignina i papier toaletowy. Czy myślała o wygnaniu z domu męża lub rozwodzie? O tak, wiele razy. „Jestem jeszcze zgrabna i piękna, bez trudu mogę mieć innego mężczyznę" — myślała często. Zarazem jednak wolała nie szukać potwierdzenia tej wizji, ponieważ podświadomie lękała się prawdy, która mogła zostać przed nią objawiona z niezwykłą brutalnością. „Nie rozwodzę się ze względu na dobro dziecka", wyjaśniała znajomym. Aż zdarzył się dzień, gdy podczas wakacji w małej wiosce nad wielkim jeziorem usłyszała historię o wspólnym kopulowaniu w starym młynie. Uczucie wstrętu podeszło w niej aż do gardła, zarazem ogarnęła ją błogość zadziwiająca i wielkie podniecenie. Dygocąc z obrzydzenia zdecydowała się dokładniej zbadać tę sprawę i poświęcić jej kolejną pracę naukową. Odtąd co roku przybywała do Skiroławek z czerwonym notesem, aby bogacić swą wiedzę o barbarzyńskich i niehigienicznych praktykach ludzi w tej małej wiosce. Ileż to razy — w swym warszawskim mieszkaniu i podczas pobytu w Skiroławkach — wyobrażała sobie, że w imię nauki wędruje nocą do młyna, gdzie mimo lekkiego oporu z jej strony, zostaje, dla dobra nauki, kilkakrotnie zgwałcona przez jakichś obrzydliwych staruchów, a także rosłych młodzieńców. Drążyła ją tęsknota do ogromnego anonimowego gwałtu — dla dobra nauki, w imię prawdy o ludziach. I tak — wstręt, naukowe ambicje i pożądanie splotły się w jeden gruby sznur, który wiązał ją ze Skiroławkami i każdej nocy trzymał przy oknie w domu gajowego Widłąga. To nic, że płaciła za te chwile bezsennością i brakiem sił; już samo oczekiwanie i marzenie dawało jej ogromną radość i wprowadzało ciało w podniecające drżenie. Dziś była u doktora Niegłowicza po lekarstwo na bezsenność, lecz on odprawił ją z niczym. Widziała u niego głupią panią Basieńkę i zwykłą dziwkę, która za pieniądze rozbierała się publicznie w nocnych lokalach. W slipkach pisarza Lubińskiego odznaczało się coś dużego — czy nie chciał tym czymś jej obrazić? Chyba winien był domyślić się, że ma przed sobą kobietę, która brzydzi się fizjologią. Odpłynęli — a ona samotnie opalała się nago w ustronnym miejscu, skromna, bo nie oddana na łup męskiego wzroku. Czy nie potrafiłaby się rozbierać do naga, podobnie jak owa Elwira? Czy jej ciało nie było równie ponętne jak ciało tamtej? Co stało na przeszkodzie, aby upewnić się o tym, choćby wobec jedynego widza, jakim był ten na wpół martwy człowiek, który leżał na materacu koło drzwi i od czasu do czasu wydzielał gazy, przez co dawał dowód, że nie śpi, gdyż przez sen nigdy tego nie robił. Tedy Renata Turoń oderwała się od okna i stanąwszy na środku pokoju w nikłym blasku od włączonego radia, jak wielka kobra wyginać się zaczęła w takt egzotycznej muzyki, którą właśnie nadawano. To unosiła się w powietrzu na czubkach palców, to znów wirowała w koło, lekka i zwiewna mimo ogromu swego ciała. Kolejno opadały na podłogę poszczególne części je garderoby. Aż naga, wciąż gnąc się na podobieństwo trzciny smaganej wiatrem, tańczyła kręcąc pośladkami i dość dużym brzuchem, dyndając wątłymi piersiami. Raz po raz migała też czarnym trójkątem obrośniętego łona. To przykucnęła raptownie, to znów stawała na jednej nodze, drugą podnosząc do góry, ale niezbyt wysoko, gdyż uda miała grube i ciężkie. I znowu wirowała, podrygiwała, kręciła się jak wielki bąk. A jej mąż, Roman, widział ją w blasku oświetlonej skali radiowej i uśmiechał się lekko swoimi bezzębnymi ustami. Bo choć widok nagiej tańczącej kobiety wydawał mu się piękny i ciekawy, i choć, przymrużywszy oczy, starał się sobie wyobrazić, że to nie jego żona tak tańczy, ale panna Elwira, to jednak nie potrafił tym powołać do życia swojego zwiotczałego penisa. I to nie tylko dlatego, że jak w początkach jego małżeństwa z Renatą, porażała go myśl o bólu, który potem miał się stać jego udziałem. Ten ból w końcu można było jakoś przemóc, pójść do lekarza, zwierzyć się jakiemuś zaufanemu mężczyźnie i od niego uzyskać dobrą radę. Ale poza bólem kryła się jeszcze jedna, bardzo ważna przyczyna — jej zaś nie był nikt w stanie usunąć. To jeszcze w latach szkolnych, podczas lekcji gimnastyki, pewna wulgarna koleżanka, chichocząc, zwróciła uwagę na fakt, że w przeciwieństwie do innych chłopców, nosi on swój członek nie w lewej, lecz w prawej nogawce. „Ty prawy fiucie" — zawołała do niego ze śmiechem i odtąd koledzy i koleżanki tak go właśnie nazywali. Przez to, że był „prawym fiutem", unikał starannie wszelkich kontaktów z kobietami, nie chodził na plażę, nosił niemodne spodnie z szerokimi nogawkami. I nie z powodu bólu po stosunku nie sypiał z Renatą, ale dlatego, że zaprowadziwszy go do krawca głośno wyraziła swoje zdziwienie, że jej mąż nosi penis w prawej nogawce. W pojęciu Turonia w ten sposób zadrwiła z niego, przywołała w nim pamięć o przeżytych upokorzeniach. Odtąd, podświadomie broniąc się przed zbliżeniem, karał ją nie tylko za ból, ale i za drwinę, za drwiny wszystkich dziewcząt. I odmawiając zbliżenia — czuł się szczęśliwy, ponieważ każdą odmową przeżywał rozkosz zemsty. Karał ją też, głośno wydalając z siebie gaz, a teraz, w tej chwili — karał ją ironicznym skrzywieniem bezzębnych ust, gdy ona tańczyła przed nim nago, kręcąc pośladkami i raz po raz ukazując czarny trójkąt obrośniętego łona. Podziwiał jej ogromne ciało, podobały mu się nawet jej dyndające piersi, wolał jednak wyobrażać sobie, że to nie ona tańczy, lecz panna Elwira i ów taniec odbywa się nie w małym pokoiku w domu gajowego Widłąga, lecz w hotelu „Astoria". Pomyślał nawet, że byłoby czymś cudownym, gdyby raptem wstał z posłania, chwycił żonę za szyję jak kaczkę czy kurczaka i powoli dusząc w niej oddech, patrzył, jak się trzepocze i podryguje kręcąc pośladkami i dyndając piersiami. A później wyniósłby jej nagie zwłoki do lasu i porzucił gdzieś wraz z jej ubraniem. Wyobrażenie tej chwili podziałało na niego podniecająco, przez krótki moment wydawało mu się, że drgnął jego członek, dotąd malutki jak robaczek. Zaraz jednak przeraził się śmiałością swej wyobraźni i przymknął powieki, aby nie widzieć migających mu przed oczami pośladków żony, jej wypukłego brzucha, dyndających piersi i czarnego trójkąta. Myśl jego stała się czystą, nie zmąconą żadnymi zmysłowymi pragnieniami. Raptem wyobraził sobie, że podnosi sklepienie czaszki swej żony, a także swej własnej i pod ich twardymi pokrywami widzi kilka pojemników zawierających wiedzę i doświadczenie życiowe. Każdy z tych pojemników stanowił jednak całość szczelnie zamkniętą, o grubych ściankach. I to, co znajdowało się w jednym, nie mogło w żaden sposób przeniknąć do drugiego czy trzeciego. Czy żona jego, Renata, nie prowadziła wspaniałych wykładów, na których setki młodych kobiet i mężczyzn uczyła, jak należy wychowywać małe dzieci? Czyż w swej pracowni nie dawała niezwykle trafnych ocen rozmaitych sytuacji rodzinnych, udzielała porad i pouczeń zgodnych ze współczesną wiedzą o człowieku? A jednocześnie we własnym domu, dumna ze swego ciała, paradowała nago przed synem, cieszyła się, że ich mały chłopak dostrzega w niej nie tylko matkę, lecz i kobietę? A czyż on, Roman Turoń, nie wiedział, że „lewy" czy „prawy" fiut nie ma żadnego znaczenia dla pożycia seksualnego. Ale z tego co wiedział i co zapewne znajdowało się w jednym pojemniku w jego czaszce, nic nie przenikało do innych pojemników, nie liczyło się w codziennym życiu i praktycznym działaniu. Mógł przecież zbuntować się, nie prać jej bielizny, nie chodzić po zakupy, nie gotować obiadu, nie sprzątać mieszkania. Mógł znowu przyjąć posadę. A jednak nie czynił tego, tylko wysłuchiwał jej rozkazów i głośno wydalał z siebie gazy. Co paraliżowało jego wolę? Co uniemożliwiało przeniknięcie zawartości jednego pojemnika do pojemnika drugiego i trzeciego? Z czego zbudowane były owe pojemniki, że miały ściany tak twarde i niepodatne na żadną myślową korozję? Co powoduje, że gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka, wzrok jego bywa niekiedy niezwykle przenikliwy i bystry, ale kiedy spojrzy w lustro, raptem ślepnie? I otworzywszy szeroko swoje oczy Roman Turoń znowu zobaczył nagą żonę, wirującą w pokoju jak bąk. Chciał krzyczeć bardzo głośno, krzyczeć aż do utraty tchu, ale tylko głośniej niż zwykle pierdnął. Turoniowa raptem upadła na swoje łóżko i leżała na nim ciężko oddychając. Po chwili swoje nagie ciało nakryła kołdrą, oddech jej stał się równy i spokojny. Przez radio spiker podawał ostatnie wiadomości, później zabrzmiał hymn państwowy. Roman Turoń podniósł się ze swego leża na ziemi i na czworakach zbliżył się do radia, aby przycisnąć klawisz. Cisza i ciemność towarzyszyła jego powrotnej wędrówce na legowisko. Kładąc się wyobraził sobie nagle rozłożyste i duże ciepłe ciało śpiącej na łóżku kobiety, jego mały robaczek zaczął powoli podnosić głowę, nabrzmiewać i prężyć się. Rozum mówił mu, że byłoby czymś pięknym pójść teraz do łóżka do żony, zdjąć z niej kołdrę i położyć się na niej. Ale ona obudziłaby się natychmiast i otworzyłaby oczy. A choć być może tych oczu nie widziałby w ciemności, to przecież potrafił sobie wyobrazić ich wyraz — zdumiony, a może pogardliwy — i ocknął się w nim opór. Robaczek kurczył się, malał, jakby konał, stawał się obumarłym narządem, którego już nikt wskrzesić do życia nie zdoła.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

O tym, że dużo zła bierze się z braku lub nadmiaru wyobraźni

Wiele złego na świecie powstaje z braku wyobraźni u niektórych ludzi. Albo też z jej nadmiaru.

Tak twierdził Nepomucen Maria Lubiński, pisarz, człowiek doświadczony przez życie, światły i oczytany w „Pismach semantycznych" Gottloba Frege.

Pozbawiony wyobraźni polityk lub ekonomista, niezdolny do przedstawienia sobie skutków swych decyzji — w sposób oczywisty musi wkrótce doprowadzić swój kraj do ruiny. Pozbawiona wyobraźni kobieta lub mężczyzna do podobnej ruiny doprowadzi wkrótce własne małżeństwo i dom rodzinny.

Człowiek bez wyobraźni rzuca w lesie pustą butelkę po wódce, która, działając jak soczewka, wznieca pożar. Ogień wkrótce ogarnia las i niekiedy pochłania tego, który rzucił butelkę. To przy braku wyobraźni kasjer w banku bezczelnie podbiera z sejfu pieniądze, a ekspedientka w sklepie robi manko — choć wiadomym powinno im być, że pierwsza dokładniejsza kontrola odkryje ubytki tak w sejfie, jak i w sklepie. Ten sam brak wyobraźni cechuje osobnika, który po kilku kieliszkach wódki zasiada za kierownicą samochodu. Zamiast przedstawić sobie skutki jazdy po pijanemu: rozbity na drzewie samochód, krwawe zwłoki na szosie i siebie za kratkami lub w szpitalu — on, pozbawiony tej wizji, jedzie samochodem i powoduje wypadek. To nie etyka, zasady moralne, czy szacunek dla prawa, ale właśnie wyobraźnia powoduje, że wielu ludzi nie popełnia czynów przestępczych. Wizja sali sądowej i celi więziennej nakazuje im wstrzymać się przed czymś sprzecznym z zasadami prawa, moralności lub etyki. Cóż bowiem widywał Lubiński w oczach zbrodniarzy, zasiadających na ławie oskarżonych? Poczucie winy, skruchę, strach przed karą? Przede wszystkim znajdował zdumienie, że ich czyny wywołały tak potworne skutki, a także, iż zostały łatwo odkryte, choć już w chwili popełnienia przestępstwa było oczywiste, że ujawnienie sprawcy jest tylko kwestią godzin, dni, co najwyżej miesięcy. Stąd — jak logicznie wnioskował Lubiński — w istotach ludzkich należy nie tylko umacniać zasady moralne i prawne, ale przede wszystkim — rozwijać wyobraźnię.

Co można powiedzieć o mężczyźnie, który po pięciu latach małżeństwa raptem ze zdumieniem stwierdza, że choć ożenił się z istotą szczupłą i młodą, ma przy sobie kobietę grubą i starą. Czy nie ostrzegali go przyjaciele, że bierze sobie za żonę dziewczynę ze skłonnościami do tycia i szybkiego starzenia się? On jednak nie znalazł dość wyobraźni, aby siebie i ją ujrzeć po pięciu latach wspólnego pożycia.

c.d.n.